

Eoin
COLFER



ARTEMIS
FOWL
KOD
WIECZNOŚCI



Kolejna
szaleńcza jazda
dla wielbicieli
Artemisa.

„Booklist”

COLFER EOIN

**Artemis Fowl #3 Kod do
wiecznosci**

EOIN COLFER

Kod do wieczności

Rodzinie Powerów po tej i po tamtej stronie płotu

Prolog

Wyjątek z dziennika Artemisa Fowla. Dysk 2. Zaszyfrowany

Dwa lata bez ingerencji rodziców i moje interesy kwitną. W tym okresie sprzedałem zachodniemu biznesmenowi piramidy, podrobiłem i zlicytowałem zaginione dzienniki Leonarda da Vinci oraz pozbawiłem Lud Wróżek sporej części drogocennego złota. Lecz moja swoboda już się kończy; w chwili, gdy piszę te słowa, mój ojciec przebywa w szpitalu w Helsinkach, gdzie dochodzi do zdrowia po dwuletniej niewoli w rękach rosyjskiej mafii. Po tylu przejściach nadal jest nieprzytomny, lecz wkrótce się obudzi i z powrotem przejmie kontrolę nad finansami Fowlów.

Mieszkając w rodzinnym dworze, pod czujnym okiem obojga rodziców, nie będę mógł dalej prowadzić swych licznych nielegalnych przedsięwzięć. Upřednio ten problem nie istniał, albowiem ojciec mój był większym złoczyńcą ode mnie; niestety, matka postanowiła, że od tej chwili Fowlowie będą postępować uczciwie.

Jednak mam jeszcze czas na jedną, ostatnią robotę. Z pewnością moja matka by jej nie pochwaliła; wróżki także nie byłyby zachwycone. A więc nic im nie powiem.

Część I

Atak

Rozdział pierwszy

Kostka

Restauracja Gruba Ryba, Knightsbridge, Londyn

Artemis Fowl był prawie zadowolony. Jego ojciec lada dzień miał zostać wypisany ze szpitala uniwersyteckiego w Helsinkach, on sam zaś wiele sobie obiecywał po spóźnionym, lecz smacowym obiedzie w Grubej Rybie, londyńskiej restauracji rybnej. Osoba, z którą umówił się w interesach, powinna niebawem się zjawić. Wszystko szło zgodnie z planem.

Jego ochroniarz Butler nie był aż tak spokojny. Ale z drugiej strony Butler prawie nigdy nie tracił czujności – nie stałby się najgroźniejszym zabójcą na świecie, gdyby przestał uważać. Teraz również ogromny Eurazjata dyskretnie przechadzał się między stolikami bistro, jak zwykle starannie rozmieszczając zabezpieczenia i sprawdzając drogi ucieczki.

–Włożyłeś zatyczki do uszu? – zapytał swego pracodawcę.

–Tak, Butler – westchnął Artemis. – Chociaż, prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby coś nam groziło. Na litość boską, to jest spotkanie w biały dzień, całkowicie legalne!

Wzmiankowane zatyczki były właściwie filtrującymi dźwięk gąbkami, które Butler pozyskał z kasków Sił Krasnoludzkiego Reagowania. Owe kaski, wraz z całą skarbnicą wróżkowej technologii, zostały zdobyte rok wcześniej, gdy w rezultacie jednego z chytrych planów Artemisa ochroniarz zmierzył się z oddziałem komandosów SKR. Gąbki, wyhodowane w laboratoriach SKR, składały się z maleńkich porowatych błonek, które zaciskały się automatycznie, kiedy liczba decybeli przekraczała normę bezpieczeństwa.

–Być może, Artemisie, ale zamachowcy mają to do siebie, że na ogół lubią atakować znienacka.

–Zapewne – odparł Artemis, z uwagą studiując menu przystawek. – Ale któż miałby powód nas zabić?

Butler obrzucił wściekłym spojrzeniem jedną z sześciu goszczących w restauracji

osób. W końcu dama ta mogła coś knuć, nawet jeśli wyglądała na co najmniej osiemdziesiątkę.

–Zabójca nie musi polować akurat na nas. Pamiętaj, że Jon Spiro to potężny człowiek. Wykończył już wiele przedsiębiorstw. Możemy się znaleźć na linii ognia.

Artemis skinął głową. Butler jak zwykle miał rację, dzięki czemu obaj wciąż jeszcze żyli. Jon Spiro, oczekiwany rozmówca Artemisa, należał do ludzi, którzy bardziej niż inni przyciągają kule zamachowców – miliarder o niejasnej przeszłości, odnoszący sukcesy w branży informatycznej, podejrzewany o kontakty z mafią. Krążyły pogłoski, że jego firma, Fission Chips, wybiła się dzięki kradzieży badań naukowych. Oczywiście, niczego nie udowodniono, ale prokurator okręgowy w Chicago bardzo się starał. Kilkakrotnie.

Do stolika podeszła kelnerka i obdarzyła ich promiennym uśmiechem.

–Witaj, młody człowieku. Masz ochotę spojrzeć na zestaw dla dzieci?

W skroni Artemisa zaczęła pulsować żyłka.

–Nie, mademoiselle. Nie życzę sobie oglądać zestawu dla dzieci. Chociaż z pewnością sam zestaw jest znacznie smaczniejszy niż wyszczególnione w nim potrawy. Chciałbym zamówić z karty. Chyba że nie podajecie ryby nieletnim?

Uśmiech kelnerki skurczył się, skrywając kilka trzonowych zębów. Sposób, w jaki wyrażał się Artemis, miał taki wpływ na większość ludzi.

Butler przewrócił oczami. I Artemis jeszcze się zastanawia, kto miałby ochotę go zabić! W pierwszej kolejności wszyscy kelnerzy i krawcy w Europie!

–Ależ oczywiście, sir – wyjąkała nieszczęsna kelnerka. – Jak pan sobie życzy, sir.

–Życzę sobie filetów z rekina i ryby piły z patelni w garniturze z warzyw i młodych ziemniaków.

–A do picia?

–Woda źródłana. Z Irlandii, jeśli to możliwe. I proszę bez lodu; niewątpliwie robicie go z kranowy, która trochę psuje smak.

Kelnerka pomknęła do kuchni, z ulgą oddalając się od bladego młodzieńca przy szóstym stoliku. Kiedyś widziała film o wampirach – owe niemogące umrzeć kreatury miały dokładnie takie samo hipnotyczne spojrzenie. A może ten mały mówi jak dorosły, bo w rzeczywistości liczy sobie pięćset lat?

Artemis, nieświadom wywołanej przez siebie konsternacji, uśmiechnął się na myśl o jedzeniu.

–Na szkolnych potańcówkach robiłbyś furorę – mruknął Butler.

–Przepraszam?

–Biedna dziewczyna prawie się popłakała. Nic by ci się nie stało, gdybyś czasem był miłszy.

Artemis zdumiał się wielce – Butler rzadko zabierał głos w sprawach osobistych.

–Jakoś się nie widzę na szkolnych potańcówkach.

–Nie chodzi o tańce, chodzi o kontakty międzyludzkie.

–Kontakty? – zdumiał się panicz Fowl. – Wątpię, czy jest na świecie drugi nastolatek, który ma równie bogate słownictwo!

Butler właśnie zaczął wyjaśniać różnicę między gadaniem i kontaktem, gdy wtem drzwi restauracji stanęły otworem, ukazując niskiego, smagłego mężczyznę z prawdziwym olbrzymem u boku. Jon Spiro i jego obstawa.

–Uważaj, Artemisie. Znam tego dużego ze słyszenia – szepnął Butler do podopiecznego.

Spiro, niewiele wyższy od Artemisa, szczupły jak trzcina Amerykanin w średnim wieku, siedł ku nim między stolikami, wyciągnąwszy ręce w powitalnym geście. W latach osiemdziesiątych zajmował się frachtem morskim, w latach pięćdziesiątych obłowił się na udziałach i akcjach, obecnie zaś jego dziedziną była komunikacja. Jak zwykle miał na sobie biały lniany garnitur, a biżuterii, zdobiącej jego palce i przeguby, wystarczyłoby, aby pozłocić Tadż Mahal. Artemis podniósł się, by powitać gościa.

–Witam, panie Spiro.

–Cześć, młody Artemisie! Jak się miewasz, do licha? Artemis uścisnął dłoń przybyłego. Biżuteria zabrzczała niczym ogon grzechotnika.

–Dobrze. Cieszę się, że mógł pan przyjść.

Spiro przysunął sobie krzesło. – Skoro Artemis Fowl zadzwonił z propozycją, przyszedłbym nawet po tłuczonym szkle.

Za plecami rozmówców mierzyli się wzrokiem ochroniarze. Mimo zbliżonych gabarytów, byli diametralnie różni. Butler stanowił uosobienie dyskretnej

skuteczności; w czarnym garniturze, z ogoloną głową, wyglądał, jakby przy dwumetrowym wzroście chciał jak najmniej rzucać się w oczy. Nowo przybyły miał tlenione, jasne włosy, obcięty T-shirt, a w uszach srebrne pirackie kolczyki. Nie robił wrażenia człowieka, który pragnie, by o nim zapomniano lub choćby nie zwracano nań uwagi.

–Arno Blunt – powiedział Butler. – Słyszałem o tobie.

Blunt zajął pozycję u boku Jona Spiro.

–Butler. Jeden z tych Butlerów – odrzekł z nowozelandzkim akcentem. – Słyszałem, że jesteście najlepsi. Tak powiadają. Mam nadzieję, że nie będziemy zmuszeni się o tym przekonać.

Spiro zaśmiał się. Dźwięk ten przypominał granie świerszcza, zamkniętego w pudełku.

–Arno, daj spokój. Jesteśmy wśród przyjaciół. To nie jest dobry dzień na groźby.

Butler nie był tego taki pewien. Niemal słyszał szum u podstawy czaszki – jego instynkt żołnierza brzęczał ostrzegawczo niczym gniazdo szerszeni. W pobliżu czaiło się niebezpieczeństwo.

–A więc, przyjacielu, do roboty – powiedział Spiro, wbijając w Artemisa spojrzenie blisko osadzonych oczu. – Już nad Atlantykiem leciała mi ślinka. Co masz dla mnie?

Artemis zmarszczył brwi. Miał nadzieję zaczekać z interesami, aż zjedzą obiad.

–Nie chce pan przejrzeć menu?

–Nie. Ostatnio nie jem dużo. Głównie płyny i pigułki. Kłopoty z brzuchem.

–Dobrze więc – zgodził się Artemis, kładąc na stole aluminiową aktówkę. – Do roboty.

Otworzył wieko, ukazując czerwony sześciąt wielkości odtwarzacza minidysków, otulony niebieską gąbką.

Spiro przetarł okulary szerszym końcem krawata.

–A co my tu mamy, synu?

Artemis postawił lśniącą kostkę na stole.

–Przyszłość, panie Spiro. Wcześniej, niż ktokolwiek się spodziewał.

Jon Spiro przyjrzał się uważnie.

–Wygląda jak przycisk do papieru.

Arno Blunt zachichotał, spoglądając wyzywająco na Butlera.

–Cóż, zrobimy pokaz – oznajmił Artemis, unosząc sześcian i naciskając guzik. Gadżet ożył z cichym pomrukiem. Ścianki odsunęły się, ukazując ekranik i głośniki.

–Urocze – mruknął Spiro. – Leciałem pięć tysięcy kilometrów, żeby obejrzeć miniaturowy odbiornik telewizyjny?

Artemis skinął głową.

–Miniaturowy telewizor, ale także komputer sterowany głosem, telefon komórkowy oraz urządzenie diagnostyczne. Ta mała kostka potrafi odczytać każdy rodzaj informacji zapisany na absolutnie każdym nośniku, elektronicznym bądź organicznym. Odtwarza wideo, DVD, łączy się z Internetem, czyta pocztę elektroniczną, włamie się do każdego komputera. Zrobi panu USG klatki piersiowej, żeby sprawdzić, jak bije pańskie serce. Bateria wytrzymuje dwa lata, no i oczywiście urządzenie jest całkowicie bezprzewodowe.

Artemis urwał, by rozmówca miał czas ochłonać. Oczy Spiro za szklami okularów wydawały się ogromne.

–Chcesz powiedzieć, że ta kostka...

–...sprawi, że cała dotychczasowa technologia stanie się przestarzała. Pańskie fabryki komputerów utracą wszelką wartość.

Amerykanin kilkakrotnie odetchnął głęboko.

–Ale... jak? Jak?

Artemis odwrócił kostkę do góry dnem. Na odwrocie pulsowało łagodnie światełko czujnika podczerwieni.

–Oto cała tajemnica. Omniczujnik. Odczytuje wszystko, co pan zechce. A jeśli odpowiednio go zaprogramować, podepnie się do każdego satelity, jaki pan wybierze.

–To nielegalne, prawda? – pogroził palcem Spiro.

–Ależ skąd – odparł Artemis z uśmiechem. – Nie ma przepisów zabraniających czegoś takiego. I nie będzie co najmniej przez najbliższe dwa lata. Niech pan sobie przypomni, ile czasu zajęło zamknięcie Napstera.

Amerykanin ukrył twarz w dłoniach. Tego było już za wiele.

–Nie rozumiem. To wyprzedza wszystko, co mamy, o całe lata, nie, o dziesięciolecia! A ty jesteś tylko trzynastoletnim chłopcem. Jak to zrobiłeś?

Artemis zamilkł na chwilę. Co miał powiedzieć? Że rok i cztery miesiące temu Butler zmierzył się z grupą Odzysku SKR i zarekwirował im najnowsze wytwory techniki wróżek? I że on, Artemis, rozebrał owe urządzenia na części, z których następnie zbudował to cudowne cacko? Raczej nie.

–Powiedzmy po prostu, że jestem bardzo zdolnym chłopcem, panie Spiro.

Oczy Spiro zwięzły się.

–Może nie tak zdolnym, jak ci się zdaje. Chcę zobaczyć, jak to działa.

–Słusznie – skinął głową Artemis. – Ma pan telefon komórkowy?

–Oczywiście.

Spiro położył na stole swój telefon – rzecz jasna, najnowszy model Fission Chips.

–Zabezpieczony, jak mniemam? Spiro wyprężył się arogancko.

–Pięćsetbitowe szyfrowanie. Najlepszy w swojej klasie. Nie da się wejść do Fission Chips bez kodu.

–Zobaczymy. Artemis skierował sensor w stronę aparatu. Na ekranie natychmiast pojawił się obraz mechanizmu telefonicznego.

–Załadować? – zapytał z głośnika metaliczny głos.

–Potwierdzam.

W niespełną sekundę było po wszystkim.

–Ładowanie zakończone – powiadomił głos z nutką satysfakcji.

–Nie do wiary! – zawołał Spiro wstrząśnięty. – Ten system kosztował mnie dwadzieścia milionów dolarów!

–Wyrzucone pieniądze – rzekł Artemis, wskazując ekran. – Może chce pan zadzwonić do domu? Albo przelać jakieś fundusze? Doprawdy, nie powinien pan przechowywać numerów kont bankowych na karcie SIM.

Amerykanin zasępił się.

–To jakaś sztuczka – oznajmił w końcu. – Musiałeś coś wiedzieć o moim telefonie. W jakiś sposób, nie wiem jaki, zyskałeś do niego dostęp.

–Rozumuje pan logicznie – zgodził się Artemis. – Sam też byłbym podejrzliwy. Niech pan sam wyznaczy mu zadanie.

Spiro zabębnił palcami po stole i rozejrzał się po restauracji.

–Tam – powiedział, wskazując półkę z kasetami wideo za barem. – Puść jedną z tych taśm.

–Tylko tyle?

–Na razie wystarczy.

Arno Blunt ostentacyjnie przejrzał kasety. W końcu wybrał jedną bez nalepki i rzucił ją na stół, aż podskoczyły grawerowane srebrne sztucce.

Artemis, z trudem oparłszy się pokusie, by przewrócić oczami, postawił czerwoną kostkę na obudowie kasety.

Małeńki plazmowy ekran wyświetlił obraz wnętrza.

–Załadować? – zapytała kostka. Artemis przytaknął:

–Załadować, skompensować i odtworzyć.

I znów cała operacja nie trwała nawet sekundy. Na wyświetlaczu ożył fragment starego angielskiego serialu.

–Jakość DVD – zwrócił uwagę Artemis. – Niezależnie od źródła Kostka K skompensuje braki.

–Co?

–Kostka K – powtórzył Artemis. – Tak nazwałem to małe pudełeczko. Przyznaję, nazwa się raczej narzuca. Ale jest stosowna. Kostka, która wszystko kojarzy.

Spiro chwycił kasetę wideo.

–Sprawdź – warknął, rzucając ją Arno Bluntowi. Tleniony ochroniarz włączył telewizor przy barze i włożył taśmę do odtwarzacza. Na ekranie rozbłysnął odcinek *Coronation Street*. Ten sam program. Ale jakoś z pewnością nie ta sama.

–Przekonany? – zapytał Artemis. Amerykanin zaczął nerwowo obracać jedną ze swych licznych bransolet.

–Prawie. Ostatnia próba. Wydaje mi się, że rząd mnie namierza. Możesz to sprawdzić?

Artemis zastanawiał się przez chwilę, po czym zwrócił się do czerwonego sześcianu.

–Kostko, czy odbierasz jakieś sygnały skierowane na ten budynek?

Urządzenie zaszumiało.

–Źródło najsilniejszego strumienia jonów znajduje się osiemdziesiąt kilometrów na zachód. Sygnał emituje satelita USA, numer kodowy ST1132P, zarejestrowany w Centralnej Agencji Wywiadowczej. Szacowany czas namiaru osiem minut. Kilka czujników SKR, połączonych...

Artemis nacisnął przycisk „Wycisz”, zanim Kostka zdążyła powiedzieć coś więcej. Najwyraźniej komputer, złożony z wrózkowych elementów, potrafił rozpoznać także urządzenia produkowane przez Mały Lud. W niewłaściwych rękach informacja ta mogła oznaczać katastrofę dla systemu bezpieczeństwa wrózek.

–Zaraz, zaraz, mały! Pudełko coś gadało. Kto to jest SKR?

–Nic za darmo, jak mawiacie wy, Amerykanie. Jeden przykład wystarczy. CIA, no, no.

–CIA – mruknął Spiro. – Podejrzewają, że sprzedają tajemnice wojskowe. I ściągnęli ptaszka z orbity tylko po to, by mnie śledzić!

–Albo mnie – wtrącił Artemis.

–Oo, taak – zakpił Spiro. – Z każdą chwilą stajesz się groźniejszy.

Arno Blunt zachichotał szyderczo.

Butler go zignorował. W końcu ktoś musiał zachowywać się jak zawodowiec.

Spiro z trzaskiem rozprostował palce – zwyczaj, którego Artemis nie znosił.

–Mamy osiem minut, więc przejdźmy do rzeczy. Mały, ile chcesz za to pudełko?

Artemis, zdenerwowany, że Kostka niemal ujawniła informację o SKR, nie zwracał na niego uwagi. Sekunda nieostrożności, a byłby naraził swych podziemnych przyjaciół na zagrożenie ze strony osobnika, który z pewnością by ich wykorzystał!

–Przepraszam, co pan mówił? – ocknął się wreszcie.

–Pytałem, ile chcesz za to pudełko?

–Po pierwsze, nazywa się Kostka. A po drugie, nie jest na sprzedaż.

Jon Spiro z wysiłkiem zaczerpnął tchu.

–Jak to, nie na sprzedaż? Kazalesz mi lecieć przez Atlantyk, żeby pokazać mi coś, czego nie zamierzasz sprzedać? Co tu jest grane?

Butler zacisnął palce na kolbie pistoletu za paskiem. Dłoń Arno Blunta zniknęła za jego plecami. Napięcie podskoczyło o kolejny stopień.

Artemis złożył dłonie.

–Panie Spiro. Jon. Nie jestem kompletnym idiotą. Zdaję sobie sprawę z wartości mojej Kostki. Na całym świecie nie ma dość pieniędzy, żeby zapłacić za taki towar. Nieważne, ile mi pan da, po tygodniu Kostka będzie warta tysiąckrotnie więcej.

–Więc co proponujesz, Fowl? – zapytał Spiro przez zaciśnięte zęby. – Czego chcesz?

–Proponuję panu dwanaście miesięcy. Za odpowiednią cenę jestem gotów przez rok nie wypuszczać Kostki na rynek.

Jon Spiro obrócił bransoletkę identyfikacyjną – prezent, który sam sobie sprawił na urodziny.

–Zataisz tę technologię przez rok?

–Tak jest. Z pewnością zdąży pan sprzedać akcje, zanim stracą na wartości. A za te pieniądze kupi pan udziały w Przedsiębiorstwach Fowl.

–Nie istnieją Przedsiębiorstwa Fowl.

–Na razie – Artemis stłumił uśmiezek wyższości.

Butler ścisnął ramię pracodawcy. Igranie z takim człowiekiem jak Jon Spiro to nie był dobry pomysł.

Ale Spiro nawet nie zauważył drwiny. Całkowicie pochłonięty obliczaniem, obracał bransoletkę niczym amulet przeciwko zmartwieniom.

–A twoja cena? – zapytał w końcu.

–Złoto. Jedna tona – odparł dziedzic majątku Fowlów.

–Sporo.

–Lubię złoto. – Artemis wzruszył ramionami. – Nie zmienia wartości. A poza tym, to grosze w porównaniu z sumą, którą zaoszczędzi pan na tej transakcji.

Spiro zamyślił się. Stojący u jego boku Blunt nieruchomo wpatrywał się w Butlera. Natomiast ochroniarz Fowla mrugał bez przerwy – w razie konfliktu suchość gałek ocznych mogła zmniejszyć jego przewagę. Rywalizacja, kto wytrzyma czyje spojrzenie, to zabawa dla amatorów.

**–Powiedzmy, że nie podobają mi się twoje warunki – oświadczył w końcu Jon Spiro.
– Powiedzmy, że odbiorę ci ten mały gadżet tu i teraz.**

Arno Blunt wypiął pierś o kolejny centymetr.

–Nawet jeżeli ukradniesz mi Kostkę – rzekł z uśmiechem Artemis – nie na wiele ci się przyda. Wykorzystana w niej technologia wykracza poza wszystko, co twoi inżynierowie kiedykolwiek widzieli.

Spiro uśmiechnął się blado.

–Och, jestem pewien, że jakoś by sobie poradzili. Nawet gdyby to miało trwać kilka lat. Dla ciebie to nie ma znaczenia: nie tam, dokąd się udajesz.

–Dokądkolwiek się udam, sekret Kostki K uda się tam wraz ze mną. Każda jej funkcja reaguje wyłącznie na kod, zbudowany na podstawie wzorca mojego głosu. To dość sprytny kod.

Butler lekko ugiął kolana, gotując się do skoku.

–O ile zakład, że go złamiemy? Mamy w Fission Chips cholernie dobry zespół.

–Pan wybaczy, ale pański „cholernie dobry zespół” nie robi na mnie wrażenia – sarknęła Artemis. – Jak dotąd, wleczenie się o kilka lat za Fonetiksem.

Spiro zerwał się na równie nogi. Bardzo nie lubił słowa na „F” – firma Fonetix była jedyną w branży komunikacyjnej, której akcje stały wyżej niż aktywa Fission Chips.

–Dobra, mały, koniec zabawy. Teraz moja kolej. Ja co prawda muszę zniknąć, zaraz dotrze tu sygnał satelitarny, ale pan Blunt zostaje. – Pogłaskał swego ochroniarza po ramieniu. – Wiesz, co masz robić.

Blunt przytaknął. Wiedział. I bardzo się z tego cieszył.

Po raz pierwszy od początku spotkania Artemis zapomniał o jedzeniu. Sytuacja nie rozwijała się zgodnie z planem.

–Panie Spiro, chyba nie mówi pan poważnie. Znajdujemy się w miejscu publicznym, otoczeni przez ludność cywilną. Pański człowiek nie może się równać z Butlerem. Jeśli będzie się pan upierał przy tych śmiesznych groźbach, wycofam propozycję i natychmiast wypuszczę Kostkę K na rynek.

Spiro oparł się dłońmi o stół.

–Słuchaj no, mały – szepnął. – Podobasz mi się. Za kilka lat mógłbyś nawet zostać kimś takim jak ja. Ale powiedz: czy kiedykolwiek przystawiłeś człowiekowi pistolet do głowy i pociągnąłeś za spust?

Artemis nie odpowiedział.

–Nie? – mruknął Spiro. – Tak myślałem. Czasem po prostu trzeba mieć odwagę. A ty jej nie masz.

Artemisowi zabrakło słów. Od chwili, gdy skończył pięć lat, coś takiego zdarzyło mu się zaledwie dwa razy. Butler uznał, że pora go wyręczyć – otwarte groźby były raczej jego domeną.

–Niech pan nie próbuje blefować, panie Spiro. Owszem, Blunt jest duży, ale ja złamię go jak gałązkę. I wówczas zostaniemy sam na sam. Proszę mi uwierzyć, na pewno by pan tego nie chciał.

Uśmiech Spiro rozlał się po jego splamionych nikotyną zębach niczym łyżka syropu.

–Och, nie sądzę, żebyśmy zostali sam na sam. Butlera ogarnęło poczucie beznadziei – takie, jakie ogarnia człowieka, gdy na jego piersi skupia się kilka celowników laserowych. Wystawiono ich! Spiro w jakiś sposób zdołał przechytrzyć Artemisa!

–No, Fowl? – zagadnął Amerykanin. – Ciekawe, dlaczego tak długo nie podają ci obiadu.

W owej chwili Artemis ostatecznie pojął, w jakie wpadł tarapaty.

Wszystko trwało krócej niż jedno uderzenie serca. Spiro strzelił palcami i w rękach wszystkich gości Grubej Ryby zaśniła broń. Osiemdziesięcioletnia dama z rewolwerem w kościstej garści nabrała złowieszczego wyglądu. Butler nie zdążył nawet porządnie odetchnąć, gdy z kuchni wyłonili się dwaj kelnerzy z automatami.

–Szach i mat, mój mały – rzekł Spiro, przewracając solniczkę.

Artemis usiłował się skupić. Musiało istnieć jakieś wyjście. Zawsze było jakieś wyjście... lecz jakoś nie chciało się pojawić. Dał się nabrać, być może z fatalnym

skutkiem. Żadna istota ludzka nie przechytrzyła dotąd Artemisa Fowla. Ale, z drugiej strony, jeden raz w zupełności wystarczył...

–Idę sobie – oznajmił Spiro, wkładając Kostkę K do kieszeni – zanim dopadnie mnie ten sygnał z satelity, no i te pozostałe. Hmm, SKR... nigdy nie słyszałem o takiej agencji. Kiedy tylko uruchomię to cacko, pożałują, że w ogóle się o mnie dowiedzieli. Miło robić z tobą interesy.

Zmierzając do drzwi, Spiro puścił oko do Blunta.

–Masz sześć minut, Arno. Spełnienie marzeń, co? Zostaniesz sławny jako facet, który załatwił wielkiego Butlera. – Odwrócił się do Artemisa, nie mogąc się powstrzymać przed ostatnim ukłuciem: – A propos, Artemis to imię kobiece, prawda?

I wyszedł, znikając w wielobarwnym tłumie turystów na ulicy.

Starsza pani zamknęła za nim drzwi. Trzaśnięcie rozległo się echem po restauracji.

Artemis po raz ostatni spróbował przejąć inicjatywę.

–Cóż, proszę państwa – zaczął, starając się nie patrzeć w czarne otwory luf. – Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia...

–Artemisie, bądź cicho!

Dopiero po chwili mózg Artemisa zdołał przyswoić sobie fakt, że Butler rozkazał mu zamilknąć. I zrobił to nader obcesowo.

–Chwileczkę...

Butler zacisnął dłoń na ustach pracodawcy.

–Artemisie, milcz. To są zawodowcy, nie da się z nimi targować.

Blunt pokręcił głową, rozluźniając ścięgna karku.

–Święta racja, Butler. Jesteśmy tu po to, by was zabić. Obstawiliśmy tę knajpę, jak tylko zadzwonił pan Spiro. Człowieku, wciąż nie mogę uwierzyć, że dałeś się nabrać. Chyba się starzejesz.

Butler też nie mógł w to uwierzyć. W swoim czasie przez tydzień sprawdzałby miejsce spotkania, zanim by uznał, że wszystko w porządku. Może faktycznie się starzał – wszystko jednak wskazywało na to, że już się bardziej nie zestarzeje...

–Okej, Blunt – powiedział, unosząc do góry puste ręce. – Ty i ja. Jeden na jednego.

–Co za rycerskość! – zadrwił Blunt. – To pewnie ten wasz azjatycki kodeks honorowy. Ja tam nie mam żadnego kodeksu. Jeśli sądzisz, że zaryzykuję, że mi zwiejesz, to chyba ci odbiło. Sprawa jest bardzo prosta. Ja cię zastrzelę. Ty umrzesz. Żadnych targów, żadnych pojedynków.

Leniwie sięgnął za pasek. Po co miał się śpieszyć? Jeden ruch Butlera, a tuzin kul trafi do celu.

Mózg Artemisa najwyraźniej przestał działać, zwykły strumień pomysłów wysechł do cna. Umrę, pomyślał chłopiec. Nie do wiary!

Butler coś mówił. Artemis spojrzał na niego nieprzytomnie.

–Czemu patrzysz, żabko zielona, na głupiego fanfarona – powtórzył ochroniarz głośno i wyraźnie.

–Co ty gadasz? – zdziwił się Blunt, przykręcając tłumik do lufy swego ceramicznego pistoletu. – Co to za brednie? Nie mów, że wielki Butler pęka? Poczekaj, niech no opowiem chłopakom!

Ale starsza pani zamyśliła się.

–Czemu patrzysz, żabko... ja to skądś znam... Artemis też to znał. Tak brzmiało prawie całe hasło, detonujące granat soniczny wrózek, przytwierdzony magnezem pod blatem stołu – jedno z urządzeń zabezpieczających Butlera. Wystarczy, że wymówią jeszcze jedno słowo, a granat eksploduje; przez budynek niczym lita ściana przemknie fala dźwięku, popękają szyby i bębenki uszne. Nie będzie ognia ani dymu, ale każda osoba w promieniu dziesięciu metrów, nie mająca w uszach zatyczek, po pięciu sekundach odczuje okropny ból. Wystarczy jedno słowo.

Starsza pani podrapała się po głowie lufą rewolweru.

–Żabko zielona? Już pamiętam, zakonnice uczyły nas tego w szkole. Czemu Patrzysz, Żabko Zielona, Na Głupiego Fanfarona. Taka sztuczka mnemoniczna. Kolory tęczy.

Tęcza. Ostatnie słowo. Artemis wreszcie przypomniał sobie, żeby rozluźnić szczęki. Gdyby zacisnął zęby, fala dźwiękowa rozbiłaby je na proch jak taflę cukru.

Granat wybuchł, uwalniając sprężoną falę dźwiękową, która rzuciła jedenaście osób w najdalsze kąty sali imiotnęła nimi o ściany. Szczęśliwcy trafili w przepierzenia, przez które przelecieli na wylot; mniej fortunni zderzyli się z murem pustaków, doznając stłuczeń i złamań. Pustaki pozostały całe.

Artemis tkwił bezpiecznie w niedźwiedzim uścisku Butlera, który, uczepiony

masywnej framugi, pochwycił lecącego chłopca w ramiona. Mieli przewagę nad zbirami Spiro także pod kilkoma innymi względami: zachowali zęby, niczego sobie nie złamali, a zatyczki filtrujące spełniły zadanie, ratując ich bębrenki uszne przed perforacją.

Butler rozejrzył się po pomieszczeniu. Zabójcy leżeli na podłodze, trzymając się kurczowo za uszy. Jeszcze przez kilka dni będą mieli zęza, pomyślał ochroniarz, po czym wyciągnął spod pachy sig sauera.

–Zostań tutaj – zarządził. – Idę sprawdzić kuchnię.

Artemis opadł na krzesło, oddychając nierówno. Otaczał go chaos i kurz, zewsząd dobiegały jęki. A więc Butler po raz kolejny uratował im życie! Nie wszystko stracone; być może zdoła dogonić Spiro, zanim ten opuści kraj. Butler miał znajomego w służbie bezpieczeństwa na lotnisku Heathrow, Sida Commonsa, byłego komandosa, kolegę ochroniarza, z którym pracował w Monte Carlo.

W polu widzenia pojawiła się wielka postać, na chwilę przesłaniając światło. To Butler wracał z rekonesansu. Artemis westchnął głęboko, czując nietypowe wzruszenie.

–Butler? – zagadnął. – Naprawdę musimy porozmawiać o twoim wynagrodzeniu.

Ale to nie był Butler. Stał przed nim Arno Blunt z wyciągniętą lewą dłonią, na której leżały dwa stożki żółtej gąbki.

–Zatyczki – splunął przez wybite zęby. – Zawsze je wkładam przed strzelaniną. Dobry zwyczaj, no nie?

Prawa ręka goryla ścisnęła pistolet z tłumikiem.

–Najpierw ty – oznajmił. – Potem ten małpolud. Odbezpieczył broń, wymierzył i wypalił.

Rozdział drugi

Blokada

Oaza City, Niższa Kraina

Chociaż nie było to zamiarem Artemisa, podjęta przez Kostkę próba wykrycia sygnałów kierunkowych miała nieprzewidziane i dalekosiężne skutki. Parametry poszukiwania okazały się tak nieprecyzyjne, że Kostka wysłała promienie sondujące daleko w przestrzeń kosmiczną oraz, rzecz jasna, głęboko do wnętrza naszej planety.

Tymczasem siły policyjne Niższej Krainy robiły bokami, usiłując zaprowadzić ład po niedawnym buncie goblinów. Przez trzy miesiące, które upłynęły od nieudanego zamachu stanu, zdołano pojmać większość przywódców, jednak w odosobnionych tunelach Oazy wciąż grasowały niedobitki triady B'wa Kell, uzbrojone w nielegalne lasery Softnose.

Aby zakończyć Operację Sprzątanie przed rozpoczęciem sezonu turystycznego, zaangażowano wszystkich możliwych funkcjonariuszy. Myśl, iż spodziewane rzesze turystów uznają centralny plac Oaza City za zbyt niebezpieczne miejsce przechadzek i postanowią wydać nadmiar złota na Atlantydzie, spędzała Radzie Miejskiej sen z powiek. W końcu osiemnaście procent dochodów stolicy pochodziło z turystyki.

Kapitan Holly Nieduża została oddelegowana do operacji z Korpusu Rozpoznawczego. Jej obecne obowiązki polegały na tropieniu wrózek, które udały się na powierzchnię bez wizy. Gdyby choć jedna taka wróżka-renegat wpadła w ręce Błotnych Ludzi, Oaza przestałaby być Oazą. Wszyscy co do jednego członkowie goblinów musieli znaleźć się bezpiecznie za kratkami w zakładzie poprawczym na Wzgórzu Wyjców, gdzie już bez przeszkód mogli lizać sobie gałki oczne; a zatem Holly, tak jak każdy funkcjonariusz SKR, miała obecnie tylko jedno zadanie – natychmiast reagować na każdy alarm związany z B'wa Kell.

Jej dzisiejsza akcja polegała na eskortowaniu czterech hałaśliwych goblinów oprychów do aresztu w Komendzie Głównej. Znalezione ich śpiących w owadnich delikatesach z brzuchami rozdętymi po nocnym obżarstwie. Mieli szczęście, że Holly zjawiała się w porę – właściciel sklepu, krasnal, zamierzał właśnie wrzucić łuskowatą czwórkę do frytkownicy z wrzącym olejem.

Partnerem Holly na czas Operacji Sprzątanie był kapral Pędrak Wodorost, młodszy brat słynnego kapitana Kłopoty Wodorosta, jednego z najhojniej odznaczonych oficerów SKR. Jednak Pędrak nie posiadał stoickiego temperamentu brata.

–Zadarłem sobie paznokcie, obręczając tego ostatniego – poskarżył się, obgryzając kciuk.

–Pewnie boli – odparła Holly z udawanym współczuciem.

Jechali do Komendy magnapasem, wioząc skutych złoczyńców na skrzyni furgonetki SKR. Prawdę mówiąc, nie była to furgonetka regulaminowa – w czasie swego krótkiego buntu gangsterzy z B’wa Kell spalili tak wiele policyjnych wozów, że SKR zarekwirowały do przewozu więźniów wszystkie pojazdy, mające silnik i choćby odrobinę miejsca z tyłu. Samochód, prowadzony przez Holly, w cywilu służył do obwoźnej sprzedaży curry. Gnomy z warsztatów po prostu zaspawały okienko dla obsługi i usunęły kuchenkę, po czym prowizorycznie namalowały na burcie policyjny emblemat żołędzi. Niestety, zapachu nie dało się usunąć.

Pędrak z uwagą studiował swój zraniony palec.

–Te kajdanki mają zbyt ostre krawędzie. Złożę skargę.

Holly skupiła się na prowadzeniu, chociaż magnapas w gruncie rzeczy sam kierował pojazdem. Nie byłaby to pierwsza skarga Pędraka, a nawet nie dwudziesta. Braciszek Kłopotą czepiał się dosłownie wszystkiego i we wszystkim, z wyjątkiem własnej osoby, widział same wady. A teraz akurat zupełnie nie miał racji: wykonane z perpeksu próżniowe kajdanki nie posiadały żadnych ostrych krawędzi. Gdyby było inaczej, aresztowany goblin mógłby wpaść na pomysł, by jedną rękawicą przedziurawić drugą i zapewnić dłoniom dostęp tlenu, a przecież nikt nie chciał mieć za plecami goblinów, ciskających kule ogniste.

–Wiem, że skarga z powodu paznokcia wygląda małodusznie, ale jak dotąd nikt nie mógł mi zarzucić małoduszności.

–Ty! Małoduszny! Dobrze sobie!

–W końcu jestem jedynym członkiem grupy Odzysku SKR, który stawiał czoło człowiekowi Butlerowi! – nadał się Pędrak.

Holly jęknęła głośno. Miała żarliwą nadzieję, że jakoś zniechęci Pędraka do kolejnej relacji z wojny z Artemisem Fowlem. Za każdym razem jego opowieść stawała się coraz dłuższa i bardziej fantastyczna, choć wszyscy wiedzieli, że w rzeczywistości Butler schwytał go, po czym wypuścił jak wędkarz małą płotkę.

Ale do Pędraka nie docierały żadne aluzje.

–Pamiętam dobrze tę ciemną noc... – zaczął dramatycznie.

I w tym momencie, jakby jego słowa posiadały niewiarygodną magiczną moc, w

całym mieście zgasy światła. Na domiar złego znikło zasilanie magnapasa i pojazd Holly utknął na samym środku znieruchomiałej autostrady.

–To chyba nie przeze mnie, co? – wyszeptał wstrząśnięty Pędrak.

Holly, jedną nogą za drzwiami furgonetki, nie odpowiedziała. Nad jej głową szybko gasły świetlówki, imitujące blask słońca. Mrużąc oczy w zapadającym mroku, spojrzała w głąb Tunelu Północnego. Było tak, jak myślała – śluza powoli opadała w dół, błyskając reflektorami awaryjnymi umieszczonymi na dolnej krawędzi. Po chwili sześćdziesiąt metrów litej stali oddzieliło Oazę od świata zewnętrznego; takie same śluzy opadły w strategicznych punktach na obrzeżach miasta. Blokada! Rada mogła zarządzić całkowitą blokadę tylko z trzech powodów: powodzi, kwarantanny i... odkrycia przez rasę ludzką.

Holly rozejrzała się. Nikt nie tonął i nikt nie był chory. A więc Błotni Ludzie wreszcie nadeszli. Ziszczał się najgorszy koszmar Ludu Wrózek.

Nad autostradą zamigotały światła awaryjne. Miękki biały blask słonecznych świetlówek zastąpiła niesamowita pomarańczowa poświata. W takich razach samochody służbowe otrzymywały z magnapasa zastrzyk energii, który pozwalał im dotrzeć na parking. Zwykli obywatele nie mieli tyle szczęścia i setkami opuszczali swoje pojazdy, zbyt przerażeni, by protestować. Na to miał przyjść czas później.

–Kapitan Nieduża! Holly!

Pędrak ją wołał. Pewnie chciał złożyć skargę...

–Kapralu – warknęła, odwracając się do samochodu. – Nie czas na panikę. Musimy dawać przykład...

Słowa zamarły jej na ustach, gdy zobaczyła, co się dzieje w furgonetce. Pojazdy SKR zapewne dostały już z magnapasa dziesięć dodatkowych minut zasilania, dzięki którym mogły bezpiecznie dostarczyć swój ładunek na miejsce. Energia ta pozwalała również utrzymać próżnię w perspektowych kajdankach. Ale Holly i Pędrak nie mieli służbowego auta i zasilanie awaryjne im nie przysługiwało – a gobliny najwyraźniej zdawały sobie z tego sprawę, gdyż właśnie usiłowały wypalić sobie drogę na wolność.

Z szoferki wytoczył się Pędrak w kasku usmolonym sadzą.

–Kajdanki się otworzyły, więc próbują przepalić drzwi – wydyszał, oddalając się czym prędzej.

Gobliny. Mały dowcip ewolucji: wziąć najgłupsze istoty na całym globie i obdarzyć je zdolnością wyczarowywania ognia. Jeśli nadal będą miotać płomieniami we

wzmocnioną karoserię furgonetki, pomyślała Holly, za chwilę zostaną zalane roztopionym metalem – nieprzyjemny koniec, nawet dla stworzeń odpornych na ogień.

Uruchomiła megafon w policyjnym kasku.

–Hej, wy tam, w środku! Wstrzymajcie ogień! Pojazd się stopi i wpadniecie w pułapkę!

Przez chwilę z otworów wentylacyjnych wydobywał się jedynie dym. Potem samochód osiadł na obręczach, a w otworze ukazała się gęba.

–Masz nas za głupich, elfico? – przez siatkę wyslizgnął się rozdwojony język. – Przepalimy sobie drogę przez tę kupę żelastwa!

Holly zbliżyła się, zwiększając moc głośników.

–Słuchajcie no, gobliny! Przyjmijcie do wiadomości, że jesteście głupie i dajcie sobie spokój! Miotanie ognistymi kulami we wnętrzu pojazdu skończy się stopieniem dachu! Zaleje was deszcz odłamków! Jesteście ognioodporne, ale nie kuloodporne!

Goblin polizał się po oczach bez powiek i popadł w zadumę.

–Kłamiesz, elfico! – oświadczył w końcu. – Wypalimy dziurę w tym więzieniu, a potem przyjdzie kolej na ciebie!

Pod wznowionym atakiem goblinów ściany furgonetki zadrżały i wygięły się.

–Nie ma sprawy – rzekł Pędrak z bezpiecznej odległości. – Gaśnice ich załatwią.

–Załatwiłyby – poprawiła go Holly – gdyby nie były podłączone do głównego zasilania, które jest nieczynne.

Zanim obwoźny punkt gastronomiczny, taki jak ten, postawił na magnapasie choćby jedno koło, musiał spełnić najsurowsze normy przeciwpożarowe. Szczególnie ważne było wyposażenie w gaśnice, które w ciągu kilku sekund wypełniały całe wnętrze powstrzymującą płomienie pianą. Pianka miała tę miłą cechę, że w kontakcie z powietrzem twardniała na amen; mniej miły okazał się fakt, że gaśnice uruchamiały włącznik elektryczny. Nie było prądu, nie było pianki.

Kapitan Nieduża wyciągnęła z kabury neutrino 2000.

–Po prostu muszę sama zerwać plombę i uruchomić gaśnice.

Zatrzasnęła przyłbicę i wspięła się do szoferki, w miarę możliwości starając się unikać zetknięcia z metalem; choć bowiem mikrowłókna w kombinezonach SKR zostały

zaprojektowane tak, by odprowadzać zbędne ciepło, nie zawsze działały, jak należały.

Leżące na wznak gobliny miały ognistymi kulami w podsufitkę.

–Dosyć! – rozkazała Holly, celując z lasera w kratę oddzielającą szoferkę od skrzyni wozu.

Trzej więźniowie nie zwrócili na nią uwagi. Czwarty, być może przywódca, obrócił w stronę kraty łuskowate oblicze. Holly dostrzegła tatuaż na jego gałce ocznej. Gdyby bandy B'wa Kell nie zostały zawczasu rozpędzone, ów dowód skrajnej głupoty z pewnością zapewniłby mu awans.

–Nie dopadniesz wszystkich naraz, elfico – oznajmił goblin, ziejąc dymem z ust i nozdry. – A wtedy jeden z nas dopadnie ciebie.

Goblin miał rację, choć zapewne nie wiedział, dlaczego. Nagle Holly przypomniała sobie, że podczas blokady nie wolno otwierać ognia. Przepisy zakazywały używania niezaekranowanych źródeł energii, na wypadek gdyby ktoś namierzał Oazę.

Jej wahanie dostarczyło goblinowi niezbędnego potwierdzenia.

–Wiedziałem! – ryknął, od niechcienia rzucając w kratę ognistą kulą.

Pręty rozżarzyły się, na przyłbicę Holly spadł snop iskier. Dach nad głowami goblinów niebezpiecznie się wybrzuszył; lada chwila mógł się całkiem zapaść.

Holly wyjęła zza pasa grot na lince i załadowała go do wyrzutni umieszczonej na głównej lufie lasera.

Wyrzutnia była sprężynowa i podobnie jak staromodny harpun nie wydzielala ciepła ani w ogóle niczego, co mogłoby pobudzić jakiegokolwiek czujniki.

Goblin okazał ogromne rozbawienie – częsty stan goblinów przed aresztowaniem, co zresztą wyjaśnia, dlaczego ich tak wiele siedzi w areszcie.

–Igielka? Masz zamiar zakłuć nas na śmierć, elfico? Holly wycelowwała w plombę, zwalniającą zawór gaśnicy, wiszącej z tyłu furgonu.

–Mógłbyś się wreszcie zamknąć? – zawołała i nacisnęła spust.

Grot przeleciał nad głową goblina, po czym uwiązał w plombie między dwoma zaciskami. Ciągająca się za nim linka napięła się mocno.

–Pudło! – zachichotał goblin figlarnie, wywijając rozdwojonym językiem. Było to kolejne świadectwo jego głupoty: uwięziony w rozżarzonej samochodzie podczas blokady, trzymany na muszce przez funkcjonariusza SKR, nadal uważał, że panuje

nad sytuacją.

–Mówiłam, żebyś się zamknął! – warknęła Holly, szarpiąc za linkę i zrywając plombę.

Osiemset kilo piany gaśniczej wytrysnęło z wylotu rozpylacza z prędkością przeszło trzystu km/godz. Rzecz jasna, wszystkie kule ogniste natychmiast zgasły. Uderzenie gęstniejącej w oczach pianki przygwoździło goblina do podłogi, a ich przywódca został rzucony o kratę z taką siłą, że z łatwością dało się odczytać tatuaże na jego oczach. Jeden głośił „Mama”, a drugi „Pupa” – zapewne była to literówka, choć goblin o tym nie wiedział.

–Au! – zawołał, bardziej z niedowierzania niż z bólu. Nie powiedział nic więcej, gdyż tężejąca pianka wypełniła mu usta.

–Nie bój się – uspokoiła go Holly. – Pianka jest porowata, więc będziesz mógł oddychać, ale również całkowicie ognioodporna. Jeśli chcesz ją przepalić, życzę powodzenia.

Gdy wygramoliła się z szoferki, Pędrak wciąż jeszcze przyglądał się swemu paznokciowi. Zdjęła osmolony kask i otarła przyłbicę rękawem kombinezonu. Teoretycznie przyłbica powinna być pokryta materiałem antyprzylepnym; może należało odesłać ją do renowacji?

–Wszystko w porządku? – zapytał Pędrak.

–Tak, kapralu. Wszystko w porządku. Ale nie dzięki tobie.

Pędrak miał czelność zrobić obrażoną minę.

–Zabezpieczałem teren, pani kapitan. Nie wszyscy mogą być bohaterami ostatniej akcji.

Typowe dla Pędraka – gotowy wykręt na każdą okazję. Holly uznała, że zajmie się nim później. Teraz musiała natychmiast pędzić do Komendy Głównej i dowiedzieć się, dlaczego Rada zamknęła miasto.

–Powinniśmy chyba wracać do bazy – zauważył Pędrak. – Jeśli to faktycznie najazd z góry, chłopcy z wywiadu będą chcieli mnie przesłuchać.

–To ja powinnam wracać do bazy – oświadczyła Holly. – Ty zostaniesz tutaj i będziesz pilnował podejrzanych, dopóki nie włączy się zasilanie. Sądzisz, że dasz sobie radę? Czy może ten paznokiec ci przeszkadza?

Ruda czupryna Holly zamieniła się w gęstwę sterczących, śliskich od potu kosmyków, okrągłe orzechowe oczy elficzki patrzyły na Pędraka wyzywająco.

Niechby tylko spróbował się klócić...!

–Nie, Holly... znaczy, pani kapitan. Proszę mi zaufać. Panuję nad sytuacją.

Wątpię, pomyślała Holly, ruszając pędem w stronę Komendy Głównej.

Miasto ogarnął całkowity zamęt. Ludność wyległa na ulice, z niedowierzaniem wlepiając wzrok w swoje nieczynne urządzenia. Niektóre młodsze wróżki, niemogące się pogodzić z utratą telefonów komórkowych, osuwały się na bruk, szlochając cicho.

Budynek policji otaczał tłum zaniepokojonych mieszkańców, pchających się niczym śmy do źródła światła – w tym przypadku do jedyne go światła w mieście. Szpitale i pojazdy specjalne nadal miały zasilanie, lecz spośród gmachów rządowych tylko Komenda Główna SKR była jeszcze czynna.

Holly z trudem przepchnęła się przez ciżbę do holu. Kolejki interesantów ciągnęły się po schodach aż na zewnątrz, a wszystkich nurtowało jedno pytanie – co się stało z prądem?

To samo pytanie cisnęło się na usta Holly w chwili, kiedy wpadła do sali narad, ale zatrzymała je dla siebie. Zebrali się tutaj w komplecie wszyscy kapitanowie w czynnej służbie oraz trzech komendantów regionów i siedmioro członków Rady.

–Aaa – rzekł przewodniczący Cahartez. – Pani kapitan jak zwykle ostatnia.

–Nie miałam awaryjnego zasilania – wyjaśniła Holly. – Niesłużbowy samochód.

Cahartez poprawił oficjalną, spiczastą czapkę.

–Szkoda czasu na wyjaśnienia, pani kapitan. Pan Ogierek wstrzymywał odprawę, czekając, aż pani tu dotrze.

Holly zajęła miejsce przy kapitańskim stole, obok Kłopoty Wodorosta.

–Pędrak w porządku? – zapytał ją szeptem.

–Zadarł sobie paznokieć. Kłopot przewrócił oczami.

–Pewnie złoży skargę.

Na salę wbiegł truchtem centaur Ogierek, ściskając pod pachą kilka dysków. Ogierek był geniuszem technicznym SKR, i to głównie dzięki jego innowacjom w zakresie zabezpieczeń istoty ludzkie dotąd nie odkryły podziemnego schronienia wrózek. Być może ten stan rzeczy miał właśnie ulec zmianie.

Centaur wprawdzie podpiął dyski do systemu operacyjnego. Na wielkim plazmowym ekranie otworzyło się kilka okien, w których pojawiły się algorytmy i skomplikowane wykresy falowe.

Ogierek odchrząknął głośno.

–Oto dane, na podstawie których doradziłem przewodniczącemu Cahartezowi, aby zarządził blokadę.

Komendant Bulwa z Korpusu Rozpoznawczego przygryzł niezapalone grzybowe cygaro.

–Zapewne wypowiadam się w imieniu całej sali – oświadczył – ale widzę tu jedynie kupę kresek i gryzmołów. Może taki sprytny kucyk jak ty świetnie się w nich orientuje, lecz nam, prostym wróżkom, trzeba to wyjaśnić w prostym gnomickim języku.

Ogierek westchnął.

–Powiem prosto. Bardzo prosto. Ktoś nas wypingował. Jasne?

Jasne jak słońce. Sala niemal zadrżała od cichego zdumienia zebranych. Pingowanie było określeniem z zamierzchłej epoki okrętów wojennych, kiedy powszechnie stosowaną metodą wykrywania obiektów pływających był sonar. „Być wypingowanym” oznaczało w żargonie po prostu „być odkrytym”. Ktoś wiedział, że tu, na dole, mieszkają wróżki.

Pierwszy odzyskał głos Bulwa.

–Wypingowali nas? Kto taki?

–Nie wiem – Ogierek wzruszył ramionami. – Sygnał trwał tylko kilka sekund. Nie dał się wyśledzić i nie miał rozpoznawalnej sygnatury.

–Co wykryli?

–Sporo. Wszystko w północnej Europie. Anteny teleskopowe, satelity strażnicze, kamery. Zdążyli załadować informacje o każdym z tych urządzeń.

To była katastrofalna wiadomość. Ktoś – lub coś – w zaledwie kilka sekund dowiedział się wszystkiego o wróżkowym systemie nadzoru północnej Europy.

–Ludzie – zapytała Holly – czy Obcy? Ogierek wskazał na cyfrowy zapis sygnału.

–Nie mam pewności. Jeśli to przyszło od ludzi, to coś zupełnie nowego. Pojawiło się znikąd. O ile mi wiadomo, nikt nie pracował nad taką technologią. Cokolwiek to jest,

czyta w nas jak w otwartej księdze. Moje zabezpieczenia padły, jakby ich w ogóle nie było.

Cahartez z wrażenia aż zdjął oficjalną czapkę.

–Co to oznacza dla Ludu?

–Trudno powiedzieć. Istnieje wariant zły i dobry. Nasz tajemniczy gość może dowiedzieć się o nas wszystkiego, co zechce, i postąpić z naszą cywilizacją, jak mu się będzie podobało.

–A dobry wariant? – zapytał Kłopot. Ogierek odetchnął głęboko.

–To jest dobry wariant.

Komendant Bulwa wezwał Holly do swego biura. Pomimo wbudowanego w biurko filtra oczyszczającego, pomieszczenie cuchnęło dymem. Ogierek już był na miejscu i jego zwinne palce migotały nad klawiaturą komputera dowódcy.

–Sygnał wyemitowano gdzieś w Londynie – oznajmił. – Zauważyłem go tylko dlatego, że właśnie patrzyłem na monitor. – Wyprostował się i pokręcił głową. – Niesamowite. Jakaś technologia hybrydowa. Prawie taka sama, jak w naszych systemach jonowych – tylko o włos gorsza.

–Nieważne „jak” – zasepił się Bulwa. – W tej chwili ważne jest „kto”.

–Co mam robić, sir? – zapytała Holly.

Bulwa wstał i podszedł do mapy Londynu na ściennym ekranie plazmowym.

–Proponuję, żebyście pobrali zestaw rozpoznawczy, udali się na górę i zaczekali. Jeśli znowu nas wypingują, chcę mieć na górze kogoś, gotowego do działania. Nie potrafimy zarejestrować sygnału, ale zobaczymy go na wizji. Kiedy tylko pokaże się na ekranie, podamy wam współrzędne i ruszycie do akcji.

Holly skinęła głową.

–Kiedy następny palnik?

Palnikami w slangu SKR określano wybuchy magmy z jądra Ziemi – ogniowe flary, dzięki którym tytanowe kapsuły funkcjonariuszy Korpusu Rozpoznawczego wzbijały się na powierzchnię. Ta karkołomna procedura była określana przez pilotów jako „jazda na palniku”.

–Masz pecha – odparł Ogierek. – Nie ma nic przez następne dwa dni. Będziesz musiała lecieć promem.

–A blokada?

–Przywróciłem zasilanie w Stonehenge i w zestawach satelitarnych. Trudno, trzeba zaryzykować; musisz polecieć na górę, a my musimy mieć z tobą kontakt. Być może od tego zależy przyszłość naszej cywilizacji.

Holly poczuła, jak na jej ramionach osiada brzemień odpowiedzialności. Te historie z „przyszłością cywilizacji” powtarzały się ostatnio coraz częściej.

Rozdział trzeci

Na lodzie

Gruba Ryba, Knightsbridge

Wybuch podłożonego przez Butlera granatu sonicznego wyrwał drzwi do kuchni i rozrzucił przybory z nierdzewnej stali, które legły pokotem niczym źdźbła trawy. Po śliskich kaflach podłogi, zalanej wodą ze strzaskanego akwarium i usłanej odłamkami perpeksu, biegały przerażone homary z uniesionymi szczypcami.

Personel restauracji leżał na podłodze związany i przemoczony, ale żywy. Butler ich nie uwolnił – akurat teraz niepotrzebne mu były ataki hysterii. Przyjdzie czas, by wszystkimi się zająć, teraz jednak musiał zneutralizować zagrożenie.

Jedna z zabójczyń poruszyła się – owa starsza pani, obecnie przewieszona przez zburzoną ściankę działową. Ochroniarz sprawdził jej źrenice; miała zezę i niezogniskowany wzrok. Nie stanowiła zagrożenia, mimo to zabrał jej broń i schował do kieszeni. Ostrożności nigdy dosyć – tej lekcji musiał nauczyć się od nowa.

Gdyby madame Ko zobaczyła, jak się popisał dzisiejszego popołudnia, z pewnością usunęłaby laserem tatuaż, który dostał na zakończenie kursu.

Pomieszczenie było czyste, ale ochroniarza wciąż coś męczyło. Jego żołnierski instynkt zgrzytał jak kośćcówki złamanej kości. Raz jeszcze Butler wspomniął madame Ko, swoją sensei z Akademii. *Podstawowym zadaniem ochroniarza jest ochrona pryncypała. Nie można zastrzelić pryncypała, przed którym stoi ochroniarz* Madame Ko zawsze określała pracodawców mianem pryncypałów. Z pryncypałami nie należało się bliżej zadawać.

Dlaczego przypomniła mu się właśnie ta maksyma – dlaczego akurat ta, spośród setek, które madame Ko wbijała mu do głowy? Chociaż... odpowiedź była oczywista. Pozostawił pryncypała bez opieki, tym samym łamiąc pierwszą zasadę osobistej ochrony. W gruzach legła również druga zasada: *Nie będziesz się wiązał z pryncypałem uczuciowo*. Butler był tak przywiązany do Artemisa, że zaczynało to wpływać na jego osady.

Niemal widział przed sobą madame Ko w mundurku khaki: niepozorną, zda się przeciętną japońską gospodynię domową. Jednak ile gospodyń domowych na świecie umie zadawać ciosy tak szybko, że tylko świszczy? *Hańba, Butler. Byłoby lepiej, gdybyś zaczął naprawiać buty. Twój pryncypał właśnie został unieszkodliwiony.*

Butler miał wrażenie, że śni. Pędząc w stronę kuchennych drzwi, czuł, że nawet powietrze stawia mu opór. Wiedział, co musiało się stać. Arno Blunt był zawodowcem. Być może zarozumiałym – to główny grzech ochroniarzy – niemniej zawodowcem. A gdy zawodowcy spodziewali się wymiany ognia, zawsze wkładali do uszu zatyczki.

Kafle podłogi były bardzo śliskie. Butler biegł pochylony do przodu, wbijając w nie czubki gumowych podeszew. Przez nienaruszone zatyczki do jego uszu dobiegły lekkie drgania. Rozmowa! Artemis do kogoś mówił, zapewne do Blunta. Za późno!

Wpadł w służbowe drzwi z prędkością, która nie przyniosłaby wstydu olimpijczykowi, i zaczął kalkulować szanse już w chwili, gdy na siatkówce jego oka pojawił się obraz. Blunt właśnie naciskał spust – na to nic nie dało się już poradzić. Pozostała jedna, ostatnia możliwość. Butler wybrał ją bez wahania.

W prawej dłoni Blunt ścisnął pistolet z tłumikiem.

–Najpierw ty – oznajmił. – Potem ten małopolud.

Odbezpieczył broń, wymierzył i wypalił.

Butler pojawił się znikąd. Jego ciało stojące na drodze pocisku zdawało się wypełniać cały pokój. Gdyby odległość była większa, kuloodporna kamizelka pewnie by wytrzymała; teraz jednak wystrzelona z bliska kula w teflonowym płaszczu przebiła kevlar jak gorący pogrzebacz przebija warstwę śniegu i wbiła się w pierś Butlera centymetr poniżej serca. Tym razem nie było pod ręką kapitan Niedużej, która ocaliłaby go siłą wróżkowej magii.

Pod uderzeniem pocisku rozpędzony ochroniarz runął na Artemisa, przygwożdżając go do wózka z deserami. Widać było tylko jeden mokasyn od Armaniego.

Butler ledwie oddychał, ponadto całkiem stracił wzrok, ale wciąż żył. Resztką pozostałej w jego mózgu elektryczności uporczywie podtrzymywała jedną myśl: chronić pryncypała.

Zaskoczony Arno Blunt westchnął i Butler sześciokrotnie wystrzelił w stronę źródła dźwięku. Zapewne, ujrawszy rozrzut, wielce by się zmartwił – niemniej jedna z kul trafiła w cel. Muśnięty w skroń Blunt natychmiast utracił przytomność. Wstrząs mózgu był nieunikniony i goryl dołączył do swej ekipy na podłodze.

Ignorując ból, który ścisnął mu pierś niczym dłoń olbrzyma, Butler ze wszystkich sił starał się dosłyszeć odgłos poruszeń. Jednak w najbliższym otoczeniu panowała cisza, tylko pazurki homarów drapały lekko o kafle. Gdyby teraz któryś z nich zaatakował Artemisa, chłopiec byłby zdany na własne siły.

Nic więcej nie dało się zrobić. Albo Artemis był bezpieczny, albo nie. Jeżeli nie, to w swoim obecnym stanie Butler doprawdy nie zdołałby wywiązać się z kontraktu. Ta świadomość przyniosła mu ogromny spokój. Koniec z odpowiedzialnością. Teraz będzie mógł żyć po swojemu, przynajmniej przez kilka sekund. A poza tym, Artemis to nie tylko pryncypał... stanowił część życia ochroniarza... był jego jedynym przyjacielem. Ten stan rzeczy z pewnością nie spodobałby się madame Ko, lecz niewiele mogła na to poradzić. Właściwie nikt nie mógł już nic poradzić.

Artemis, który nigdy nie lubił deserów, ocknął się unurzany po uszy w eklerach, sernikach i szarlotce. Jego garnitur został całkowicie zniszczony. Oczywiście, mózg Artemisa skupiał się na owych faktach, aby uniknąć myślenia o tym, co się stało. Ale trudno jest długo ignorować dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi.

Szczęśliwie dla Artemisa, padający Butler pchnął go na niższą półkę wózka, sam natomiast pozostał na górnej, gdzie stały lody. Tort szwarcwaldzki najwyraźniej wystarczająco zamortyzował upadek chłopca, pozwalając mu uniknąć poważnych obrażeń wewnętrznych. Niemniej Artemis nie miał wątpliwości, że wizyta u chiropraktyka okaże się wskazana; być może Butler także powinien iść do lekarza, choć z drugiej strony służący miał kondycję trolla...

Artemis, przy każdym ruchu atakowany przez złośliwe rurki z kremem, wygramolił się spod ochroniarza.

–Doprawdy, Butler – wystękał – będę musiał staranniej dobierać współników. Nie ma dnia, żebyśmy nie padli ofiarą jakiegoś spisku.

Z ulgą dostrzegł na podłodze restauracji ciało nieprzytomnego Arno Blunta.

–Kolejny złoczyńca załatwiony. Dobry strzał, Butler, jak zwykle zresztą. I jeszcze jedno: postanowiłem od dzisiaj wkładać na wszystkie zebrania kamizelkę kuloodporną. To ci pewnie ułatwi pracę. Ej?

Dopiero w tej chwili Artemis zauważył koszulę Butlera. Jej widok zaparł mu dech w piersi jak niewidzialny tłok. Nie chodziło tylko o dziurę w tkaninie – chodziło o to, że ciekła z niej krew.

–Butler, jesteś ranny! Postrzelili cię! Ale przecież kevlar...

Ochroniarz nie odpowiedział. Nie musiał; Artemis znał fizykę lepiej niż większość naukowców. Prawdę mówiąc, często publikował w Internecie artykuły pod pseudonimem Em. Ce. Kwadrat. Najwyraźniej impet pocisku był zbyt wielki, by kamizelka zdołała stawić mu opór, możliwe także, że pocisk został pokryty teflonem dla większej skuteczności.

Przeważającą częścią swego jestestwa Artemis zapragnął otoczyć ramionami ciało

ochroniarza i zapłakać nad nim jak nad bratem, ale szybko stłumił ten odruch. Teraz musiał szybko znaleźć ratunek.

Gorączkowe rozmyślania przerwał chłopcu urywany szept Butlera:

–Artemis... to ty?

–Tak, to ja – odparł Artemis drżącym głosem.

–Nie martw się... Julia będzie cię chronić. Nic ci się nie stanie.

–Przestań gadać, Butler. Leż spokojnie. Rana nie jest poważna.

Butler zakrztusił się śliną – najbardziej zbliżony do śmiechu odgłos, na jaki było go stać.

–No dobrze – przyznał Artemis – owszem, jest poważna. Ale coś wymyślę. Po prostu się nie ruszaj.

Butler uniósł dłoń resztką sił.

–Żegnaj, Artemisie... – wyszeptał. – Przyjacielu... Artemis chwycił wyciągniętą dłoń. Łzy popłynęły strumieniem. Niepowstrzymanie.

–Żegnaj, Butler.

Niewidzące oczy Eurazjaty były spokojne.

–Artemisie... mów mi... Domowej.

Imię to powiedziało Artemisowi dwie rzeczy. Po pierwsze, jego anioł stróż miał na imię tak samo jak słowiański duch opiekuńczy. Po drugie, absolwenci Akademii madame Ko mieli zakaz ujawniania swych imion pryncypałom. To ułatwiało zachowanie klarownych stosunków. Butler nigdy nie złamałby tego zakazu... chyba że nie miał już on znaczenia.

–Żegnaj, Domowej – wyszlochał chłopiec. – Żegnaj, mój drogi.

Dłoń opadła. Butler odszedł.

–Nie! – zawołał Artemis, cofając się chwiejnie o kilka kroków.

Nie tak miało być! To nie mogło się tak skończyć! Z jakiegoś powodu zawsze wyobrażał sobie, że umrą razem, stawiając czoło arcytrudnemu wyzwaniu w jakimś egzotycznym miejscu, może na krawędzi krateru rozbudzonego Wezuwiusza albo na brzegach potężnego Gangesu. Razem, jak przyjaciele. Po tym wszystkim, co

przeszli, Butler po prostu nie mógł zginąć z ręki jakiegoś nadętego drugorzędnego mięśniaka.

Ochroniarz był już raz bliski śmierci. Dwa lata wcześniej został ciężko poturbowany przez trolla rodem z najgłębszych tuneli pod Oaza City. Wtedy uratowała go Holly Nieduża za pomocą magii wróżek. Ale teraz Butlera nie mogła ocalić żadna wróżka. Teraz wrogiem był czas. Gdybyż tylko Artemis miał go więcej, wymyśliłby, jak skontaktować się z SKR i przekonać Holly, by jeszcze raz użyła swej mocy. Ale czasu już nie było. Za mniej więcej cztery minuty mózg Butlera się wyłączy – a to za mało nawet dla takiego intelektu, jaki posiadał Artemis. Musiał zyskać na czasie, być może nawet go ukraść.

Myśl, chłopcze, myśl. Wykorzystaj to, co jest pod ręką. Artemis stłumił płacz. Znajdował się w restauracji w restauracji rybnej. Bez pożytku! Bez wartości! Niewykluczone, że w instytucji medycznej zdołałby coś zrobić, ale tutaj? Czym dysponuje? Piecykiem, zlewozmywakiem, przyborami kuchennymi? A gdyby nawet miał pod ręką odpowiednie narzędzia, to przecież nie ukończył jeszcze studiów medycznych! W dodatku, na chirurgię konwencjonalną było już za późno chyba że istniała metoda przeszczepiania serca, trwająca krócej niż cztery minuty.

Cykały sekundy. Artemisa ogarniała coraz większa wściekłość. Czas działał przeciwko nim. Czas był ich wrogiem. Należało powstrzymać czas! Nagle w mózgu Artemisa zaiskrzył neuronowym rozbłyskiem pewien pomysł. Skoro nie może powstrzymać czasu, to zatrzyma wędrówkę Butlera w czasie! Procedura ryzykowna, w rzeczy samej, ale innej szansy nie było!

Zwolnił stopą hamulec wózka z deserami i pociągnął go w stronę kuchni, przystając kilkakrotnie, aby usunąć z drogi jęczących skrytobójców.

Na ulicach Knightsbridge zawyły syreny nadjeżdżających pojazdów ratunkowych. Oczywiście, wybuch granatu dźwiękowego musiał zwrócić uwagę. Artemisowi zostało tylko kilka chwil, aby wyprodukować jakąś wiarygodną historyjkę na użytek władz. Chyba lepiej, żeby go tu w ogóle nie było... Odciski palców nie stanowiły problemu – restaurację odwiedzało mnóstwo gości. Po prostu musiał wydostać się z lokalu przed przybyciem kwiatu londyńskiej policji.

Kuchnia wyglądała jak wykuta z nierdzewnej stali. Po wybuchu granatu okapy, pokręta i powierzchnie robocze ociekały płynami; w zlewach trzepotały ryby, na kaflach podłogi klekotały odnóża skorupiaków, z sufitu zwisała bieluga.

Tam! Na samym końcu! Rząd zamrażarek, niezbędnych w bistro, podającym owoce morza! Artemis pchnął wózek, kierując go ku tylnej części kuchni.

Największa zamrażarka należała do olbrzymów z wysuwanymi przegrodami, jakie

często produkowano na zamówienie dużych restauracji. Artemis wyciągnął szufladę i szybko usunął z niej łososie, sumy i szczupaki, inkrustowane odłamkami lodu.

Kriogenika. To była ich jedyna szansa. Metoda naukowa, polegająca na zamrożeniu ciała do chwili, gdy w medycynie dokona się postęp, który pozwoli je reanimować. Na ogół lekceważona przez społeczność lekarską, mimo to corocznie przynosiła miliony, wpłacane przez ekscentryków, którym nie dość było jednego życia, aby wydać wszystkie pieniądze. Przy budowie komór kriogenicznych obowiązywały bardzo ściśle zalecenia, lecz w tej chwili nie było czasu na wysokie Artemisowe standardy. Należało natychmiast schłodzić czaszkę Butlera, ratując w ten sposób komórki jego mózgu. Póki ten funkcjonował poprawnie, istniała teoretyczna możliwość przywrócenia zmarłego do życia, nawet jeśli serce przestało bić.

Artemis manewrował wózkiem dotąd, aż blat znalazł się nad otwartą szufladą, a następnie zepchnął ciało Butlera w parujący lód, pomagając sobie srebrną tacą. Pojemnik był ciasny, lecz ochroniarz jakoś się w nim zmieścił z lekko zgiętymi nogami. Artemis obsypał go lodem i nastawił termostat na cztery stopnie poniżej zera, aby uniknąć uszkodzenia tkanek.

–Wrócę tu – obiecał, patrząc na wyzierającą spod kryształków twarz towarzysza. – Śpij dobrze.

Syreny były już blisko.

–Trzymaj się, Domowej – szepnął Artemis, słysząc pisk opon, po czym zatrzasnął zamrażarkę.

Opuścił lokal tylnymi drzwiami, natychmiast znikając w tłumie gapiów i ludzi z sąsiedztwa. Świadom, że ktoś z policji pewnie fotografuje zebranych, szybko minął kordon; prawdę mówiąc, nawet nie obejrzał się za siebie. Podążył prosto do Harrodsa i usiadł przy wolnym stoliku w kawiarni na galerii.

Kiedy już upewnił kelnerkę, że bynajmniej nie zgubił mamusi, i pokazał, że ma dość gotówki, aby zamówić dzbanek herbaty Earl Grey, wyjął telefon komórkowy i wybrał numer ze skróconego menu.

Po drugim dzwonku telefon odebrał mężczyzna.

–Halo? Mów szybko, kimkolwiek jesteś. W tej chwili mam mnóstwo spraw na głowie.

Mówiący, niejaki Justin Barre, pełnił funkcję inspektora wydziału śledczego Scotland Yardu. Jego chrapliwy głos był skutkiem ciosu nożem w krtań podczas bójki w barze kilka lat temu. Gdyby Butler nie powstrzymał wówczas krwawienia, Justin Barre na wieki zostałby sierżantem. Przyszła pora, by odebrać dług.

–Inspektor Barre? Mówi Artemis Fowl.

–Jak się masz, Artemisie? Jak tam mój stary kumpel Butler?

Artemis potarł czoło.

–Obawiam się, że kiepsko. Trzeba mu pomóc.

–Zrobię dla wielkoluda wszystko, co się da.

–Słyszał pan o incydencie w Knightsbridge?

W słuchawce zapadła cisza. Artemisa dobiegł szelest papieru, jakby ktoś odrywał faks z rolki.

–Tak, właśnie przyszedł meldunek. W jakiejś restauracji stłukło się kilka okien. Nic poważnego. Jacyś turyści zostali ogłuszeni. Według wstępnego raportu to lokalne trzęsienie ziemi, masz pojęcie? Posłaliśmy tam dwa samochody. Nie chcesz chyba powiedzieć, że stoi za tym Butler?

Artemis zaczerpnął tchu.

–Chcę prosić, żeby zabronił pan swoim ludziom zbliżać się do zamrażarek.

–To dziwna prośba, Artemisie. Masz tam coś, czego nie powinienem oglądać?

–Nic nielegalnego – zapewnił go Artemis. – Proszę mi wierzyć, dla Butlera to kwestia życia i śmierci.

Barre nie wahał się długo.

–Dobrze. To nie całkiem moja parafia, ale możesz uważać sprawę za załatwioną. I pewnie chcesz wyjąć z zamrażarki to coś, czego nie wolno mi oglądać?

Policjant czytał Artemisowi w myślach.

–Jak najszybciej. Potrzebuję tylko paru minut.

Barre zastanowił się chwilę.

–Okej. Uzgodnijmy plan. Przez kilka najbliższych godzin będzie tam pracowała ekipa techniczna. Nic na to nie poradzę. Ale mogę zagwarantować, że punktualnie o szóstej trzydzieści nie zastaniesz tam nikogo. Daję ci pięć minut.

–To mi całkowicie wystarczy.

–Świetnie. I przekaz wielkoludowi, że jesteśmy kwita.

–Dobrze, panie inspektorze – Artemis starał się mówić spokojnie. – Przekażę.

Jeżeli kiedykolwiek będę miał okazję, pomyślał.

Lodowcowa” nieopodal Harley Street,

Londyn

Właściwie Instytut Kriogeniki „Epoka Lodowcowa” nie stał przy Harley Street. Dokładnie rzecz biorąc, skrywał się tuż za rogiem Dicken’s Lane, w zaułku, odchodzącym od południowego końca słynnego bulwaru medyków. Mimo to kierowniczka obiektu, niejaka doktor Konstancja Lane, uznała za stosowne umieścić adres „Harley Street” na całej papeterii „Epoki Lodowcowej”. Takiego prestiżu nie sposób kupić za żadne pieniądze – widząc na wizytówce owe magiczne słowa, klasy wyższe wręcz przebierały nogami, aby czym prędzej dać zamrozić swe cenne zwłoki.

Artemis Fowl nie dawał się nabrać na takie sztuczki, nie miał jednak wielkiego wyboru. „Epoka Lodowcowa” była jednym z trzech ośrodków kriogeniki w mieście i jedynym, który w tej chwili dysponował wolnymi miejscami. Chociaż neonowy napis „Komórki do wynajęcia” to doprawdy przesada!

Na widok kliniki Artemis aż się wzdrygnął. Fasadę licowano polerowanym aluminium, najwyraźniej starając się upodobnić budynek do pojazdu kosmicznego; zasuwane drzwi wejściowe pochodziły prosto z serialu *Star Trek*. Co się stało z kulturą? I ze sztuką? Jak uzyskano zezwolenie, by postawić takie okropieństwo w zabytkowej dzielnicy Londynu?

Recepcji strzegła pielęgniarka odziana w biały mundurek z wykrochmalonym czepkiem włącznie.

Artemis od razu zwątpił w jej autentyczność – być może z powodu papierosa, jaki osoba ta trzymała w palcach, ozdobionych sztucznymi paznokciami.

–Proszę pani?

Pielęgniarka leniwie uniosła wzrok znad plotkarskiego pisemka.

–Tak? Szukasz kogoś?

Artemis zacisnął pięści za plecami.

–Owszem, chciałbym się widzieć z doktor Lane. To tutejsza chirurg, czy tak?

Pielęgniarka rozgniotła papierosa w przepelnionej popielniczce.

–Mam nadzieję, że nie chodzi o szkolny referat? Doktor Lane zarządziła, że koniec z referatami.

–Nie. Nie chodzi o referat.

–I chyba nie jesteś prawnikiem? – dopytywała się podejrzliwie pielęgniarka. – Jednym z geniuszków, którzy dostają dyplom w powijkach?

Artemis westchnął.

–Owszem, jestem geniuszem. Ale nie prawnikiem. Jestem klientem, mademoiselle.

Nagle z pielęgniarki zaczął emanować zawodowy urok.

–Ach tak, klientem? Czemu pan nie mówił od razu? Zaraz pana zapowiem. Czy życzy pan sobie filiżankę herbaty albo kawy, sir? A może coś mocniejszego?

–Mam trzynaście lat, mademoiselle. – Sok?

–Herbata będzie doskonała. Earl Gray, jeśli macie. Rzecz jasna, bez cukru – mógłbym po nim przejawić niezdrową aktywność.

Pielęgniarka, gotowa znosić sarkazm każdego klienta, byle miał pieniądze, bez mrugnięcia okiem zaprowadziła Artemisa do saloniku, również utrzymanego w stylu kosmicznym – mnóstwo lśniących obić i niekończące się lustra.

Artemis zdążył wypić połowę płynu, który stanowczo nie był herbatą Earl Gray, kiedy drzwi gabinetu doktor Lane wreszcie się otworzyły i stanęła w nich wysoka kobieta.

–Proszę – rzekła zaskoczona.

–Mam iść o własnych siłach? – zapytał Artemis. – Czy też ściągnie mnie pani przy użyciu jakichś promieni?

Ściany gabinetu pokrywały najróżniejsze zaświadczenia w ramach oraz dyplomy pani doktor, z których większość, jak podejrzewał Artemis, dałoby się załatwić w jeden weekend. Na wprost wisiało kilka portretów fotograficznych, zwieńczonych napisem: „Miłość śpi i śni”. Artemis z trudem stłumił pokusę, by wstać i wyjść, jednak jego sytuacja była rozpaczliwa.

Za biurkiem zasiadła doktor Konstancja Lane, olśniewająca kobieta o bujnych, rudych włosach i smukłych palcach artystki. Jej kitel pochodził od Diora, nawet jej uśmiech był doskonały. Zbyt doskonały; przyjrząwszy się bliżej, Artemis uświadomił sobie, że cała twarz pani doktor stanowi dzieło chirurga plastycznego. Ta kobieta

najwyraźniej poświęciła życie oszukiwaniu czasu. A zatem znalazł się we właściwym miejscu.

–No więc, młody człowieku, Tracy mówi, że chciałbyś zostać naszym klientem? – Pani doktor usiłowała się uśmiechnąć, lecz napięta skóra załśniła jak nadmuchany balonik.

–Osobiście nie – odparł Artemis. – Ale chciałbym wynająć jeden z waszych pojemników. Na krótko.

Konstancja Lane wyjęła z szuflady firmową ulotkę i zakreśliła na czerwono kilka liczb.

–Nasze stawki są dość wysokie. Artemis nawet na nie nie spojrzał.

–Pieniądze nie grają roli. Mogę natychmiast dokonać przelewu z mojego banku w Szwajcarii. Za pięć minut na pani koncie osobistym znajdzie się sto tysięcy funtów. Potrzebuję pojemnika na jedną noc.

Suma zrobiła wrażenie. Ileż zmarszczek i fałdek można by za nią usunąć, pomyślała Konstancja. Ale wciąż się wahała.

–Na ogół nie pozwalamy nieletnim oddawać nam krewnych na przechowanie. Właściwie, prawo tego zabrania.

Artemis pochylił się ku niej.

–Pani doktor. Droga Konstancjo. Być może to, co robię, nie jest całkiem legalne, ale nikomu nie stanie się krzywda. Jedna noc i będzie pani bogata. Jutro o tej porze stąd zniknę. Żadnych ciał, żadnych pretensji.

Dłoń pani doktor powędrowała ku podbródkowi.

–Jedna noc?

–Tylko jedna. Nawet pani nie zauważy naszej obecności.

Konstancja wyjęła z szuflady ręczne lusterko i uważnie przyjrzała się swemu odbiciu.

–Dzwoń do tego banku – powiedziała.

Stonehenge, Wiltshire

W południowej Anglii znajdowały się wyloty dwóch szybów SKR. Jeden, w sercu Londynu, został zamknięty dla ogółu wróżek – pięćset metrów nad lądowiskiem wahadłowców leżały tereny klubu piłkarskiego Chelsea. Drugi mieścił się w Wiltshire, w miejscu, które istoty ludzkie nazywały Stonehenge.

Błotni Ludzie stworzyli wiele teorii na temat przeznaczenia owej budowli – od lądowiska dla pojazdów kosmicznych do pogańskiego miejsca kultu. Prawda była znacznie mniej malownicza: w rzeczywistości w Stonehenge mieścił się punkt sprzedaży potraw na drożdżowych plackach, czyli, mówiąc po ludzku, pizzeria.

Zorientowawszy się, że turyści udający się na górę często zapominają o kanapkach, pewien gnom imieniem Szlam postanowił założyć przy terminalu interes. Obsługa szła nadzwyczaj gładko – podjeżdżało się do okienka, wybierało dodatki, i po dziesięciu minutach można było napchać się do woli. Oczywiście, z chwilą gdy Błotni Ludzie zaczęli mówić pełnymi zdaniami, Szlam musiał przenieść swoją firmę pod ziemię, poza tym od tego całego topionego sera ziemia zaczęła rozmiękać. Kilka okienek wręcz się zawaliło.

Cywilnym wróżkom rzadko wydawano wizy na powierzchnię ze względu na panujący w okolicy nieustanny ruch. Chociaż, z drugiej strony, hipisi widywali wróżki niemal codziennie, i jakoś nie trafiało to na pierwsze strony gazet.

Holly, jako policjantka, nie miała z wizą najmniejszego problemu; błysk odznaki Korpusu Rozpoznawczego otwierał jej drogę na samą górę. Ale nawet przynależność do Korpusu nie mogła zmienić faktu, że w przewidywalnej przyszłości nie spodziewano się żadnego wybuchu magmy. Szyb Stonehenge od trzystu lat pozostawał nieaktywny – ani iskiereki. Z braku palnika Holly musiała polecieć komercyjnym wahadłowcem.

Wszystkie miejsca na najbliższy lot były zarezerwowane, na szczęście jednak w ostatniej chwili ktoś zrezygnował i obyło się bez wyrzucania pasażera. Sam prom okazał się luksusowym, pięćdziesięcioosobowym statkiem, wynajętym przez Bractwo Szlama w celu odwiedzin w firmie patrona. Członkowie Bractwa, przeważnie gnomy całkowicie oddane idei pizzy, w każdą rocznicę otwarcia interesu Szlama czarterowali wahadłowiec i urządzali na powierzchni piknik, składający się z pizzy, piwa z bulw oraz lodów pizzowych. Nie trzeba dodawać, że przez cały dzień nie zdejmowali z głów gumowych czapek w kształcie pizzy.

A więc Holly przez sześćdziesiąt siedem minut siedziała ściśnięta między dwoma gnomami-piwozami, śpiewającymi pizzową piosenkę:

Pizza, pizza.! Napchaj sobie twarz! Im grubsze jest ciasto, Tym lepiej się masz!

Piosenka liczyła sto czternaście zwrotek, z których każda następna była gorsza od poprzedniej. Jeszcze nigdy widok światła lądowiska w Stonehenge tak Holly nie ucieszył.

W obszernym terminalu mieściły się trzy stanowiska kontroli wizowej, centrum rozrywki oraz sklepy bezcłowe. Ostatni szaf w branży pamiątkowej stanowiła lalka hipisowatego Błotniaka, która po naciśnięciu brzuszka mówiła: „Pokój z tobą, bracie”.

Holly użyła odznaki, aby przedrzeć się przez kolejkę do kontroli celnej, po czym wsiadła do bezpiecznej windy na powierzchnię. Ostatnio, odkąd Błotni Ludzie ogrodzili teren, wyjście w Stonehenge stało się łatwiejsze. Podobno zrobili to, aby chronić swoje dziedzictwo – albo tak im się wydawało. Ciekawe, pomyślała Holly, że bardziej przejmowali się przeszłością niż teraźniejszością.

Przypięta skrzydła i po uzyskaniu zezwolenia z boksu kontrolnego opuściła śluzę powietrzną. Niebo na wysokości dwóch tysięcy metrów spowijała warstwa gęstych chmur, lecz mimo to elficzka uruchomiła tarczę. Teraz już nikt ani nic nie może jej wykryć – stała się niewidzialna dla oczu ludzkich i mechanicznych. Tylko szczury oraz dwa gatunki małp były w stanie przejrzeć na wylot tarczę wróżek.

Stery przejął automatyczny pilot, zainstalowany w komputerze skrzydeł Holly. Przyjemnie było znów znaleźć się nad ziemią, i to o ulubionej porze dnia – o zachodzie słońca. Twarz pani kapitan powoli rozjaśniła się w uśmiechu. Mimo dramatyzmu sytuacji Holly poczuła głębokie zadowolenie. To był jej żywioł: rozpoznanie. Wiatr w oczy i spotkanie twarzą w twarz z przygodą.

Knightsbridge, Londyn

Od chwili, gdy postrzelono Butlera, minęły prawie dwie godziny. Panuje opinia, że po czterech minutach od ustania akcji serca dochodzi do nieodwracalnego uszkodzenia mózgu, ale czas ten ulega wydłużeniu, jeśli temperatura ciała pacjenta zostanie obniżona. Na przykład reanimacja ofiar utonięć jest możliwa nawet w godzinę po ich pozornej śmierci. Artemis mógł się jedynie modlić, aby szuflada z lodem utrzymała Butlera w stanie homeostazy, dopóki nie uda się go przenieść do pojemnika w „Epoce Lodowcowej”.

Instytut posiadał ruchomą komorę kriogeniczną, służącą do transportu pacjentów z prywatnych klinik, w których zmarli. Komora była wyposażona w generator i kompletną salę operacyjną. Nawet jeśli wielu lekarzy uważało kriogeenikę za rodzaj znachorstwa, sam pojazd spełniał najsurowsze normy techniczne i higieniczne.

–Cena jednostki wynosi milion funtów – poinformowała Artemisa doktor Konstancja Lane w nieskazitelnie białym gabinecie zabiegowym. Na stojącym między nimi wózku tkwił walcowaty kriopojemnik. – Zamawiamy w Monachium specjalne furgonetki pancerne. Ten wóz mógłby wjechać na minę i nawet tego nie poczuć.

Artemis wyjątkowo nie był zainteresowany gromadzeniem informacji.

–Bardzo ładnie, pani doktor, ale czy możemy jechać szybciej? Mojemu współpracownikowi się śpieszy. Minęło już sto dwadzieścia siedem minut.

Konstancja Lane próbowała zmarszczyć brew, ale skóra na jej czole nie była dostatecznie luźna.

–Dwie godziny. Jeszcze nikogo nie reanimowano po upływie tak długiego czasu; ale z drugiej strony, jeszcze w ogóle nikogo nie reanimowano po zamrożeniu.

Na ulicach Knightsbridge jak zwykle panował zamęt. U Harrodsa odbywała się jednodniowa wyprzedaż i przez cały kwartał przewalały się tłumy zmęczonych klientów, zmierzających do domu. Dojazd do wejścia służbowego Grubej Ryby zajął kolejne siedemnaście minut. Zgodnie z obietnicą nie było tam żadnych policjantów, z jednym wyjątkiem – na straży przy drzwiach stał detektyw inspektor Justin Barre we własnej osobie.

Był to istny olbrzym, zdaniem Butlera, syn narodu Zulusów. Artemis bez trudu wyobrażał sobie tych dwóch mężczyzn, walczących ramię w ramię w jakiejś dalekiej krainie.

Niebywałym zrządzeniem losu znaleźli wolne miejsce do parkowania. Artemis wysiadł z furgonetki.

–Kriogenika – rzekł Barre, wskazując napis na burcie pojazdu. – Sądzisz, że to mu jakoś pomoże?

–A więc zajrzał pan do zamrażarki?

–Jakże mogłem się oprzeć? Ciekawość to moja specjalność. Teraz mi smutno, że sprawdzałem; Butler był dobrym człowiekiem.

–Jest dobrym człowiekiem – odparł z uporem Artemis. – Nie zamierzam z niego zrezygnować.

Barre odsunął się, żeby przepuścić dwóch umundurowanych sanitariuszy z „Epoki Lodowcowej”.

–Według tego, co mówią moi ludzie, do lokalu wtargnęła grupa uzbrojonych bandytów, chcąc go obrabować, lecz przeszkodziło im trzęsienie ziemi. Gotów jestem zjeść własną odznakę, jeżeli to prawda. Nie zechciałbyś wyjaśnić mi, o co chodzi?

–Konkurencja nie zaakceptowała mojej strategii w interesach. Dezaprobatę wyrażono dość gwałtownie.

–Kto pociągnął za spust?

–Arno Blunt, Nowozelandczyk. Tlenione włosy, kolczyki w uszach, tatuaże na korpusie i rękach. Większości zębów brak.

Barre zrobił notatkę.

–Wyślę opis na lotniska. Nigdy nic nie wiadomo, może go złapiemy.

Artemis potarł oczy.

–Butler ocalił mi życie. Ta kula była przeznaczona dla mnie.

–Cały Butler – przytaknął Barre. – Gdybym mógł w czymś pomóc...?

–Pierwszy się o tym dowiesz – odparł Artemis. – Czy twoi funkcjonariusze znaleźli kogoś na miejscu przestępstwa?

Barre zajrzał do notatek.

–Kilkoro gości i członków personelu. Wszyscy złożyli wyjaśnienia, więc ich zwolniliśmy. Złodzieje uciekli przed naszym przybyciem.

–Nie szkodzi. Lepiej, żebym sam się nimi zajął. Barre starannie ignorował ruch w

kuchni za swymi plecami.

–Artemisie, przyrzeknij, że nie oberwę za to po głowie. Technicznie rzecz biorąc, mamy do czynienia z zabójstwem.

Artemis spojrzał Barre'owi prosto w oczy, co było nie lada wyczynem.

–Inspektorze, nie ma ciała, nie ma sprawy. Gwarantuję, że jutro Butler będzie zdrow i cały. Poproszę, żeby do pana zadzwonił, jeśli to uśmierzy pańskie obawy.

–Owszem.

Sanitariusze wytoczyli wózek z Butlerem. Jego twarz pokrywał szron. Końce palców już mu zsiniały.

–Chirurg, który umiałby temu zaradzić, byłby cudotwórcą!

Artemis spuścił wzrok.

–I o to chodzi, inspektorze. O to chodzi.

W furgonetce doktor Lane zastosowała zastrzyki z glukozy.

–Chodzi o to, żeby komórki nie popękały – powiadomiła Artemisa, masując klatkę piersiową Butlera, aby szybciej rozprowadzić lekarstwo. – Inaczej woda w jego krwi zamarznie, tworząc sopelki, które mogłyby przedziurawić błonę komórkową.

Butler leżał w otwartym kriopojemniku, wyposażonym w żyroskopy. Miał na sobie specjalny srebrzysty kombinezon zamrażarkowy; na jego ciele, niczym kostki cukru w cukiernicy, piętrzyły się torby z lodem.

Konstancja nie była przyzwyczajona, aby naprawdę słuchano jej wyjaśnień, lecz ten bładny młodzieniec przyswajał fakty szybciej, niż umiała je zaprezentować.

–Przecież i tak woda zamarznie, czyż nie? Glukoza nie zdoła temu przeciwdziałać.

Konstancja spojrzała na niego z uznaniem.

–W rzeczy samej, owszem, zamarznie. Ale w małych kawałkach, które mogą bezpiecznie unosić się między komórkami.

Artemis zanotował coś w palmtopie.

–Małe kawałki, rozumiem.

–Glukoza to tylko środek tymczasowy – ciągnęła pani doktor. – Następnym krokiem

jest zabieg chirurgiczny; musimy całkowicie wypłukać żyły pacjenta i zastąpić krew płynem konserwującym. Wtedy będziemy mogli obniżyć temperaturę ciała do minus trzydziestu stopni. Zrobimy to, kiedy wrócimy do instytutu.

Artemis zamknął komputer.

–Nie ma potrzeby. Chcę tylko, żebyście go przechowali przez kilka godzin. Potem to już bez znaczenia.

–Młody człowieku, odnoszę wrażenie, że nie rozumiesz – rzekła doktor Lane. – Współczesna medycyna nie jest dostatecznie zaawansowana, by leczyć tego typu zranienia. Jeśli wkrótce nie wykonamy kompletnej wymiany krwi, nastąpi poważne uszkodzenie tkanek.

Furgonetka podskoczyła na jednej z licznych londyńskich wyrw. Ramię Butlera drgnęło i przez chwilę Artemis uległ złudzeniu, że ochroniarz żyje.

–Pani doktor, o to proszę się nie martwić. – Ale...

–Sto tysięcy funtów, Konstancjo. Po prostu powtarzaj sobie tę liczbę. Zaparkuj ruchomą komorę na zewnątrz i zapomnij o nas. Rano nas tu nie będzie. Obu.

Doktor Lane znów się zdumiała.

–Zaparkować na zewnątrz? Nie chcecie nawet wejść?

–Nie, Butler zostanie tutaj – oświadczył Artemis. – Siedziby ludzkie stanowią pewien problem dla mojego... ee... chirurga. Ale czy mógłbym skorzystać z waszego telefonu? Muszę zadzwonić w dość szczególne miejsce.

Przestrzeń powietrzna Londynu

Światła Londynu rozpościerały się poniżej Holly niczym gwiazdy jakiejś burzliwej galaktyki. Na ogół funkcjonariuszy Rozpoznania obowiązywał zakaz lotów nad stolicą Anglii ze względu na cztery lotniska, z których bezustannie wzbijały się w niebo samoloty. Pięć lat temu kapitan Kłopot Wodorost cudem uniknął kolizji z airbusem z Heathrow do Nowego Jorku. Od tamtej pory wszystkie loty nad miastami posiadającymi lotniska wymagały zezwolenia samego Ogiereka.

–Ogierek? – zwróciła się Holly do mikrofonu w kasku. – Jakież lądowania, o których powinnam wiedzieć?

–Niech podniosę radar... Zaraz, zaraz... Na twoim miejscu zszedłbym o sto pięćdziesiąt metrów; za dwie minuty będzie tu rejsowy 747 z Malagi. Nie wpadnie na ciebie, ale twój kask może zakłócić działanie jego systemów nawigacyjnych.

Holly manewrowała, aż znalazła się na właściwej wysokości. Po chwili nad jej głową rozległo się wycie silników ogromnego odrzutowca; gdyby nie gąbki filtrujące w uszach, utraciłaby obydwie bębenki.

–Okej. Jeden rejs turystyczny z głowy. Co teraz?

–Czekamy. Odezwe się, jak będzie coś ważnego. Nie musiała czekać długo. Po niecałych pięciu minutach Ogierek znów przerwał ciszę radiową.

–Holly, mamy coś.

–Kolejny sygnał namierzający?

–Nie. To coś ze Strażnika. Nie wyłączaj się, przesyłam ci plik do kasku.

Wewnątrz przyłbicy Holly ukazał się wykres pliku dźwiękowego, podobny do zapisu sejsmografu.

–Co to jest, podsłuch telefoniczny?

–Nie całkiem – odparł Ogierek. – To jeden z miliarda śmieci, jeden z tych, które Strażnik wciąż nam przysyła.

System Strażnik składał się z szeregu jednostek obserwacyjnych, które Ogierek po kryjomu podczepił do przestarzałych satelitów USA i Rosji. Jego zadanie polegało na monitorowaniu całej ludzkiej telekomunikacji. Oczywiście, codzienne odsłuchiwanie wszystkich rozmów telefonicznych było niemożliwe, ale komputer, który nadzorował system, zaprogramowano w taki sposób, że wychwytywał pewne słowa kluczowe.

Jeżeli na przykład w rozmowie pojawiały się wyrazy „wróżka”, „oaza” i „podziemie”, program stawiał przy niej odpowiedni znacznik; im więcej było w niej odniesień do Małego Ludu, tym wyższy dostawała priorytet pilności.

–Tę rozmowę nagrano w Londynie kilka minut temu. Roi się w niej od słów kluczowych. Nigdy nic podobnego nie słyszałem.

–Odtwarzaj – rzekła dobitnie Holly. Pionowy kursor zaczął się przesuwać wzdłuż fali dźwiękowej.

–Lud – zabrzmiał głos, niewyraźny i zniekształcony – SKR, magia, Oaza, port wahadłowców, chochlik, B’wa Kell, troll, zatrzymanie czasu, Rozpoznanie, Atlantyda.

–To wszystko?

–Mało ci? Rozmawiający mógłby być naszym dziejopisem!

–To przecież tylko ciąg słów!

–Hej, kłótnia ze mną nie ma sensu – powiedział centaur. – Ja tylko zbieram informacje. Ale to musi mieć jakiś związek z poprzednim sygnałem. Niemożliwe, żeby coś takiego zdarzyło się dwukrotnie jednego dnia.

–Okej. Mamy dokładną lokalizację?

–Rozmowę przeprowadzono z instytutu kriogeniki w Londynie. Niska jakość nagrania Strażnika nie pozwala na zastosowanie procedury rozpoznawania głosu. Wiemy tylko, że rozmawiano z tego budynku.

–Do kogo dzwonił nasz tajemniczy Błotniak?

–Dziwna sprawa. Korzystał z bezpośredniej linii do redakcji krzyżówek w dzienniku „Times”.

–Może te wyrazy to były hasła w dzisiejszej krzyżówce? – zapytała Holly z nadzieją.

–Nie. Sprawdziłem rozwiązanie. Ani śladu czegokolwiek o wrózkach.

Holly nastawiła skrzydła na ręczne sterowanie.

–Okej. Pora się dowiedzieć, co knuje nasz rozmówca. Podaj mi współrzędne instytutu.

Podejrzewała, że to fałszywy alarm. Co roku namierzali tysiące podobnych telefonów. Ogierek tak obsesyjnie obawiał się inwazji Błotnych Ludzi, że dostawał ataku paranoi, ilekroć ktoś wymówił słowo „magia”. A przy obecnej modzie na filmy

fantasy i gry wideo, magiczne sformułowania przytrafiały się dosyć często.

Tysiące godzin pracy policji poszły na daremną obstawę domów, z których prowadzono owe rozmowy, po czym zazwyczaj okazywało się, że jakiś dzieciak uruchomił grę komputerową.

Dzisiejszy dziwaczny przekaz był najprawdopodobniej skutkiem zwarcia na łączach; pewnie jakiś hollywoodzki wyrobnik usiłował sprzedać scenariusz albo tajny agent SKR próbował zadzwonić do domu. Z drugiej strony, szczególnie dzisiaj takie wieści wymagały starannego sprawdzenia.

Holly wyprężyła się i weszła w lot nurkujący. Przepisy SKR surowo zabraniały nurkowania; wszystkie próby zbliżenia musiały być stopniowe i ściśle kontrolowane. Jednak po co latać, jeśli nie można poczuć pędu powietrza, szarpiącego końce palców u nóg?

Lodowcowa”, Londyn

Artemis stał oparty o tylny zderzak ruchomej komory kriogenicznej. Ciekawe, jak szybko człowiekowi zmienia się hierarchia ważności spraw: dziś rano zastanawiał się, które półbuty włożyć do garnituru, a teraz myślał jedynie o tym, że życie jego najdroższego przyjaciela wisi na włosku. I włoszek ten był coraz cieńszy.

Chłopiec otarł szron z okularów, wydobytych z kurtki ochroniarza. Nie były to zwykłe okulary – Butler miał doskonały wzrok. Te soczewki zostały specjalnie przystosowane do filtrów, wyjętych z kasku SKR. Filtrów przeciwtańczowych. Butler nosił je przy sobie, odkąd Holly Nieduża niemal go zaskoczyła we dworze Fowlów.

–Nigdy nic nie wiadomo – oświadczył wówczas. – Stanowimy zagrożenie dla sił bezpieczeństwa SKR, a komendanta Bulwę któregoś dnia może zastąpić ktoś inny, kto darzy nas mniejszą sympatią.

Artemis nie czuł się przekonany. Wróżki, generalnie rzecz biorąc, były ludem nastawionym pokojowo. Chłopcu nie chciało się wierzyć, że mogłyby kogoś skrzywdzić w odwecie za dawno popełnione zbrodnie, choćby ten ktoś był Błotniakiem. W końcu rozstał się z nimi w przyjaźni, a przynajmniej bez wrogości.

Miał nadzieję, że telefon podziała. Nie miał powodu w to wątpić – rządowe agencje bezpieczeństwa również monitorowały połączenia telefoniczne, używając systemu słów kluczowych i nagrywając rozmowy, które mogły stanowić zagrożenie dla kraju. A skoro robili to ludzie, można było śmiało się założyć, że Ogierek wyprzedza ich co najmniej o dwa kroki.

Artemis włożył okulary i wrócił do szoferki furgonetki. Dzwonił przeszło dziesięć minut temu; gdyby przyjąć, że Ogierek natychmiast przystąpił do zlokalizowania sygnału, wysłanie agenta na powierzchnię mogło zająć około dwóch godzin. To dawałoby prawie pięć godzin od chwili, gdy serce Butlera stanęło – tymczasem rekord czasu reanimacji narciarza alpejskiego zamarznętego w lawinie wynosił dwie godziny i pięćdziesiąt minut. Nikt nigdy nie próbował nikogo ożywić po upływie trzech godzin. Może i nie powinien.

Artemis zerknął na tacę z jedzeniem, przyslaną przez doktor Lane. Kiedy indziej miałyby zastrzeżenia do wszystkich potraw na talerzu, teraz jednak posiłek był dlań wyłącznie sposobem, by powstrzymać się przed zaśnięciem. Musiał dotrwać do przybycia kawalerii.

Pociągnął spory łyk herbaty z termosu i niemal usłyszał, jak płyn pluszcze mu w

pustym żołądku. W komorze furgonetki za jego plecami miarowo niczym zwykła domowa zamrażarka szumiał kriopojemnik Butlera i cicho popiskiwał komputer, okresowo wykonujący pomiary diagnostyczne. Artemis przypomniał sobie tygodnie, spędzone w Helsinkach na czekaniu, aż ojciec odzyska przytomność – czekaniu na skutki działania magicznej mocy wróżek...

Wyjątek z dziennika Artemisa Fowla.

Dysk 2. Zaszifrowany

Dzisiaj ojciec do mnie przemówił. Po raz pierwszy od dwóch lat usłyszałem jego głos. Brzmiał dokładnie tak, jak go zapamiętałem. Ale nie wszystko jest takie, jak niegdyś.

Minęły już dwa miesiące, odkąd Holly Nieduża użyła magicznej mocy, aby uzdrowić zmalretowane ciało ojca, a on nadal leżał w helsińskim szpitalu. Bez ruchu, bez przytomności. Lekarze nie mogli tego pojąć.

–Powinien się już obudzić – informowali mnie. – Fale mózgowe są silne, wręcz wyjątkowo silne. Serce mu bije jak u konia. To niesłychane; ten człowiek powinien być ledwie żywy, tymczasem ma kondycję dwudziestolatka!

Oczywiście, dla mnie to żadna tajemnica. Magia Holly uleczyła całe jestestwo ojca z wyjątkiem lewej nogi, którą utracił, gdy jego statek zatonął u wybrzeży Murmańska. Jego ciało i umysł dostały życiodajny zastrzyk.

Co się tyczy ciała, skutki magii mnie nie martwią, lecz zastanawiam się, jaki wpływ owa pozytywna energia wywrze na umysł ojca. Dla kogoś takiego jak on zmiana może być wielkim wstrząsem. Jest patriarchą rodu Fowlów. Całe jego życie obracało się wokół robienia pieniędzy.

Szesnaście dni czuwaliśmy przy ojcu w szpitalnej sali, czekając na oznaki powrotu świadomości. Przez ten czas nauczyłem się odczytywać wskazania przyrządów, toteż gdy pewnego ranka wierzchołki fal mózgowych ojca zaczęły się zaostrzać, natychmiast to zauważyłem. Doszedłem do wniosku, że ojciec niebawem się obudzi, i wezwałem pielęgniarkę.

Zostaliśmy pośpiesznie wyproszeni z sali, do której wtargnął zespół medyczny w sile co najmniej dwunastu osób – dwóch kardiologów, anestezjolog, neurochirurg oraz zastęp pielęgniarek.

Lecz okazało się, że ojciec nie potrzebuje żadnych zabiegów. Po prostu usiadł na łóżku, przetarł oczy i wymówił jedno słowo: „Angelina”.

Matkę poproszono do sali, zostawiając Butlera, Julię i mnie na pastwę niepewności.

Po kilkunastu minutach matka stanęła w drzwiach.

–Chodźcie wszyscy – rzekła. – Chce was zobaczyć. Nagle ogarnął mnie lęk. Mój ojciec, którego miejsce usiłowałem zajmować przez dwa lata, odzyskał świadomość.

Czy dorosnę do jego oczekiwań? Czy on dorośnie do moich?

Wszedłem niepewnie. Artemis Fowl Pierwszy siedział na łóżku, wsparty o kilka poduszek. Przede wszystkim zauważyłem jego twarz; nie blizny – te już prawie zniknęły – ale minę. Czoło ojca, zazwyczaj posępne niczym chmura gradowa, teraz było gładkie i pogodne.

Po tak długiej rozłące nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Ale ojciec nie miał wątpliwości.

–Arty! – zawołał, wyciągając do mnie ręce. – Jesteś już mężczyzną! Młodym mężczyzną!

Rzuciłem się w jego objęcia. Zapomniałem o wszelkich spiskach i knowaniach. Znow miałem ojca.

Lodowcowa”, Londyn

Wspomnienia Artemisa przerwał ukradkowy ruch na ścianie domu. Wyjrzał przez tylną szybę i zmrużywszy oczy, popatrzył uważnie przez okulary z filtrem. Na parapecie trzeciego piętra czaiła się wróżka – funkcjonariusz Korpusu Rozpoznawczego, w komplecie ze skrzydłami i kaskiem! Po upływie zaledwie kwadransa! A więc jego wybieg okazał się skuteczny: Ogierek przechwycił rozmowę i przysłał kogoś na rekonesans. Teraz należało tylko mieć nadzieję, że ta konkretna wróżka jest po uszy wypełniona magią i skora do pomocy.

Sytuacja wymagała subtelności. Nie chciał przecież wystraszyć funkcjonariusza SKR! Jeden fałszywy ruch, a obudzi się za sześć godzin, nie pamiętając niczego z dzisiejszych wydarzeń. To byłby wyrok śmierci na Butlera!

Ostrożnie otworzył drzwi i wyszedł z furgonetki na podwórko. Wróżka, przekrzywiając głowę, uważnie śledziła jego poruszenia. Ku swemu przerażeniu Artemis zobaczył, że mierzy do niego z platynowego pistoletu.

–Nie strzelaj – powiedział, unosząc ręce. – Nie mam broni. Potrzebuję twojej pomocy.

Wróżka uruchomiła skrzydła i z wolna opadła, aż jej przyłbica znalazła się na poziomie jego oczu.

–Nie obawiaj się – ciągnął chłopiec. – Jestem przyjacielem Ludu. Pomogłem wam pokonać B’wa Kell. Nazywam się...

Wróżka wyłączyła tarczę ochronną i uniosła przyłbicę.

–Wiem, jak się nazywasz, Artemisie – oznajmiła kapitan Holly Nieduża.

–Holly! – zawołał Artemis, chwytając ją za ramiona. – To ty!

Holly odtrąciła ręce człowieka.

–Wiem, że to ja. Co się tu dzieje? To ty dzwoniłeś, jak mniemam?

–Tak, tak. Szkoda teraz czasu. Potem ci wyjaśnię. Holly uruchomiła przepustnicę i wzbiła się na wysokość czterech metrów.

–Nie, Artemisie. Wyjaśnisz mi teraz. Dlaczego nie użyłeś własnego telefonu, skoro potrzebujesz pomocy?

Artemis zmusił się do odpowiedzi.

–Powiedziałaś, że Ogierek zlikwidował nasłuch moich połączeń, a poza tym nie byłem pewien, czy przysłałabyś, gdybyś wiedziała, że to ja.

Holly zamyśliła się.

–Okej. Możliwe, że bym nie przyszła. – Rozejrzała się. – A gdzie Butler? Pewnie nas śledzi z ukrycia?

Artemis nie odpowiedział, lecz patrząc na jego twarz, Holly dokładnie zrozumiała, dlaczego ją wezwał.

Artemis nacisnął guzik, uruchamiając pneumatyczne wieko kriopojemnika. Wewnątrz, okryty centymetrową warstwą lodu, leżał Butler.

–Och, nie – szepnęła Holly. – Co się stało?

–Przyjął na siebie kulę, przeznaczoną dla mnie – odparł Artemis.

–Kiedy ty się nauczysz, Błotniaku? – warknęła wróżka. – Przez te twoje małe spiski ktoś zawsze doznaje szwanku. Najczęściej ktoś, komu na tobie zależy.

Artemis nie odpowiedział. W końcu co prawda to prawda.

Holly uniosła worek pełen lodu.

–Jak długo?

Artemis zerknął na zegarek w telefonie komórkowym.

–Trzy godziny. Plus minus kilka minut. Kapitan Nieduża odgarnęła lód i położyła dłoń na klatce piersiowej Butlera.

–Trzy godziny. No, nie wiem, Artemisie. Nic tu nie słyszę. Ani drgnienia.

Artemis spojrzał na nią znad kriopojemnika.

–Dasz radę, Holly? Uratujesz go?

–Ja? – Holly cofnęła się o krok. – Ja nie zdołam go uzdrowić. Tylko zawodowy czarownik mógłby się tego podjąć.

–Ale mojego ojca uzdrowiłaś.

–To co innego. Twój ojciec nie był martwy. Nie był nawet w stanie krytycznym.

Przykro mi to mówić, ale Butler już odszedł. Dawno temu.

Artemis wyciągnął złoty medalion, zawieszony na szyi. W samiułku środku metalowego krążka widniał okrągły otwór.

–Pamiętasz? Dałaś mi to, bo dopilnowałem, aby przyszyto ci do dłoni obcięty palec spustowy. Powiedziałaś, że będzie mi przypominał, iż tli się we mnie isierka przyzwoitości. Właśnie usiłuję zachować się przyzwoicie, pani kapitan.

–Przyzwoitość nie ma tu nic do rzeczy. Tego po prostu nie da się zrobić.

Artemis w zamyśleniu zabębnił palcami o wózek.

–Chcę porozmawiać z Ogierkiem – rzekł wreszcie.

–Mówię w imieniu Ludu, Artemisie – zachnęła się Holly. – Nie przyjmujemy rozkazów od ludzi.

–Proszę cię – jęknął Artemis. – Nie mogę go tak zostawić. To przecież Butler.

Chcąc nie chcąc, Holly ustąpiła. W końcu Butler nie raz ocalił im skórę.

–Dobrze – powiedziała, odpinając od pasa rezerwowego zestaw komunikacyjny. – Ale Ogierek nie powie ci nic dobrego.

Chłopiec założył słuchawkę i poprawił mikrofon, ustawiając go przed ustami.

–Ogierek? Słyszysz nas?

–Żartujesz sobie? – dobiegła odpowiedź. – To lepsze niż ludzkie opery mydlane!

Artemis skupił się; musi przedstawić swoją prośbę przekonująco, inaczej los Butlera będzie przesądzony.

–Chcę tylko, żebyście spróbowali go uzdrowić. Pojmuję, że to może się nie udać, ale co szkodzi spróbować?

–To nie takie proste, Błotniaku – odparł centaur. – Uzdrowianie to nie jest prosty proces. Wymaga talentu i koncentracji. Holly robi to całkiem nieźle, przyznaję, ale do czegoś takiego potrzebny jest zespół wyszkolonych czarowników.

–Nie ma czasu – warknął Artemis. – Butler już i tak zbyt długo pozostaje w śpiączce. Trzeba to zrobić teraz, zanim glukoza zostanie wchłonięta przez krwiobieg. Ma uszkodzoną tkankę palców.

–Mózg też? – dopytywał się centaur.

–Nie. Udało mi się go schłodzić w ciągu kilku minut. Od chwili wypadku jego czaszka pozostaje zamrożona.

–Jesteś pewien? Nie chcielibyśmy ożywić ciała Butlera bez jego umysłu.

–Jestem pewien. Mózg jest w porządku. Ogierek przez dobrą chwilę się nie odzywał.

–Artemisie, jeżeli zgodzimy się spróbować, nie mam pojęcia, jakie będą skutki. Wynik może okazać się katastrofalny dla organizmu Butlera, nie mówiąc już o jego psychice. Nigdy nie przeprowadzaliśmy takiej operacji na istocie ludzkiej.

–Rozumiem.

–Naprawdę, Artemisie? Naprawdę rozumiesz? Jesteś gotów zaakceptować konsekwencje tego zabiegu? Mogą nastąpić rozmaite nieprzewidziane problemy. Cokolwiek wyłoni się z tego pojemnika, będziesz musiał się tym zająć. Weźmiesz na siebie taką odpowiedzialność?

–Wezmę – odparł Artemis bez wahania.

–No więc dobrze, decyzja należy do Holly. Nikt nie może jej zmusić do użycia magii – to wyłącznie jej sprawa.

Artemis spuścił wzrok. Nie potrafił spojrzeć w oczy elficzce z SKR.

–No, Holly? Spróbujesz? Zgodzisz się?

Holly odgarnęła lód z dłoni Butlera. Był dobrym przyjacielem Ludu.

–Spróbuję – powiedziała. – Niczego nie gwarantuję, ale zrobię, co się da.

Artemisowi z ulgi ugięły się kolana, lecz natychmiast się opanował. Na słabość przyjdzie pora później.

–Dziękuję, pani kapitan. Zdaję sobie sprawę, że to niełatwa decyzja. A teraz, w czym mogę ci pomóc?

Holly wskazała tylne drzwi.

–Możesz się stąd wynieść. Potrzebuję sterylne środowisko. Poproszę cię, kiedy będzie po wszystkim. I cokolwiek się stanie, cokolwiek usłyszysz, nie wchodź, póki nie zawołam.

Holly odpięła kamerę z kasku i powiesiła ją na otwartej pokrywie kriopojemnika, aby Ogierek lepiej widział pacjenta.

–Dobrze?

–Dobrze – odparł Ogierek. – Widzę górną połowę ciała. Kriogenika. Jak na człowieka, ten mały Fowl jest genialny. Zdajesz sobie sprawę, że miał mniej niż minutę na wymyślenie tego planu? Zmysłny Błotniaczek, nie ma co.

Holly starannie wyszorowała ręce nad zlewem.

–Ale za mało inteligentny, by uniknąć kłopotów. Nie do wiary, że się zgodziłam...! Uzdrawianie po trzech godzinach! Cóż, wszystkiego trzeba kiedyś spróbować...

–Technicznie rzecz biorąc, to jest uzdrawianie po dwóch minutach. Oczywiście, jeżeli rzeczywiście natychmiast zamroził mózg. Ale...

–Ale co? – zapytała Holly, energicznie wycierając palce ręcznikiem.

–Ale zamrażanie zakłóca biorytmy oraz pole elektromagnetyczne, rzeczy, których nawet Lud w pełni nie rozumie. Gra idzie o coś więcej niż skóra i kości. Nie mamy pojęcia, jaki wpływ ten uraz będzie miał na Butlera.

Holly wetknęła głowę pod kamerę.

–Ogierek, jesteś pewien, że to dobry pomysł?

–Żałuję, ale nie ma już czasu na dyskusję. Każda sekunda kosztuje twego przyjaciela dwie szare komórki. Teraz słuchaj, co mówię. Przede wszystkim musimy obejrzeć ranę.

Holly zdjęła z Butlera lodowe kompresy i rozpięła foliowy kombinezon. Pośrodku krwawej plamy na jego piersi krył się niczym w pąku kwiatu mały, czarny otwór wlotowy.

–Nie miał najmniejszych szans. Tuż pod serce. Zrobię zbliżenie.

Elficzka opuściła przyłbicę i za pomocą filtra powiększyła obraz rany Butlera.

–Ogierek, tu są jakieś włókna. Chyba kevlar. W słuchawce rozległ się jęk Ogierka.

–Tylko tego brakowało! Powikłania!

–Czy to robi jakąś różnicę? I nie pora na fachowy żargon, mów do mnie zwyczajnie po gnomicku.

–Okej, proszę bardzo. Chirurgia dla matolów. Jeżeli położysz palce na tej ranie, twoja magiczna moc powieli komórki Butlera razem z obcymi włóknami kevlaru. Wciąż będzie martwy, ale za to całkowicie kuloodporny.

Holly poczuła, że z napięcia sztywnieje jej kark.

–Więc co mam robić?

–Musisz zrobić inne nacięcie, przez które będzie wnikać magia.

Świetnie, pomyślała Holly. Nowa rana. Po prostu ma rozpruć starego przyjaciela.

–Ależ on jest twardy jak kamień!

–No, to trzeba go trochę rozmrozić. Użyj neutrino 2000 na najniższym poziomie, byle nie za mocno. Jeśli się obudzi, zanim skończymy, będzie po nim.

Pani kapitan dobytek neutrino i ustawiła poziom rażenia na minimalny.

–Gdzie proponujesz go nadtopić?

–Drugi mięsień piersiowy. Przygotuj się do uzdrawiania; ciepło szybko się rozejdzie. Butlera trzeba wyleczyć, zanim tlen dotrze do jego mózgu.

Holly wymierzyła laser w klatkę piersiową ochroniarza.

–Powiedz kiedy.

–Trochę bliżej. Mniej więcej piętnaście centymetrów. Dwusekundowy impuls.

Elficzka uniosła przyłbicę i kilkakrotnie głęboko zaczerpnęła tchu. Neutrino 2000 jako przyrząd medyczny. Kto by pomyślał?

Spust kliknął jeden raz. Następnie kliknięcie uruchamiało laser.

–Dwie sekundy.

–Okej. Już!

Klik! Z wylotu lasera wytrysnął pomarańczowy promień skoncentrowanego ciepła, który rozlał się po klatce piersiowej Butlera. Gdyby służący był przytomny, impuls ten z pewnością by go ogłuszył. Z roztopionego lodu wzbił się ku sufitowi obłoczek pary wodnej.

–Teraz – Ogierek aż zarżał z emocji. – Wyceluj i trochę skoncentruj promień.

Holly wprawnie ustawiła kciukiem kontrolne przyciski miotacza. Koncentracja promienia zwiększała jego moc, ponadto trzeba było dokładnie zogniskować strzał, inaczej Butler zostałby przecięty na pół.

–Ustawiam go na piętnaście centymetrów.

–Dobrze, ale śpiesz się, ciepło się rozchodzi. Pierś Butlera nabrała normalnego koloru, lód na jego ciele zaczął topnieć. Holly ponownie nacisnęła spust, wykonując na skórze ochroniarza nacięcie w kształcie półksiężyca. Z rany wyciekła pojedyncza kropla krwi.

–Nie płynie strumieniem – rzekł Ogierek. – To dobrze.

Holly schowała broń do kabury.

–Co teraz?

–Teraz włóż dłonie jak najgłębiej i pošlij mu tyle magii, ile w sobie masz. Nie wystarczy, że popłynie sama; musisz ją wypchnąć na zewnątrz.

Elficzka skrzywiła się. Bardzo tego nie lubiła. Choć miała za sobą wiele uzdrowień, wciąż nie mogła się przyzwycząić do wsadzania łap w cudze ciało. Złączyła kciuki i wsunęła je w nacięcie.

–Uzdrowiaj – szepnęła, a po jej palcach spłynęły magiczne iskierki. Nad raną Butlera rozblęła niebieska poświata, która zaraz zniknęła niczym potok gwiazd, opadający za linię horyzontu.

–Jeszcze, Holly – ponaglił ją Ogierek. – Jeszcze raz. Holly natężyła się. Błękitny potok, początkowo obfity, zaczął słabnąć; jej magia traciła na sile.

–To tyle – wydyszała. – Zostało mi tylko na uruchomienie tarczy w drodze do domu.

–Dobrze – powiedział Ogierek. – Teraz się odsuń i czekaj na moje polecenia. Zaraz rozpęta się piekło.

Holly przywarła do ściany. Przez kilka chwil nic się nie działo, po czym Butler wygiął się w łuk. Klatka piersiowa uniosła się; Holly wręcz usłyszała zgrzyt kręgow.

–Serce podjęło pracę – zauważył Ogierek. – To było łatwe.

Ciało opadło do pojemnika, brocząc krwią ze świeżej rany. Czarodziejskie iskierki zwarły się, tworząc nad torseм ochroniarza migotliwą siatkę. Butler zaczął podskakiwać na wózku niczym koralik w grzechotce – to magiczna moc naprawiała strukturę atomów.

Z jego porów wydobyły się wydalone z organizmu opary toksyn, błyskawicznie roztapiając resztki lodu. Kłęby pary wzbily się pod sufit i skroplone na zimnym metalu, opadły gęstym deszczem. Worki z lodem zaczęły pękać niczym baloniki,

sięjąc kryształkami po całej komorze. Holly poczuła się jak w sercu wielobarwnej burzy.

–Teraz musisz tam podejść! – wrzasnął jej w ucho Ogierek.

–Co?

–Podejdź! Magiczna moc przemieszcza się w górę wzdłuż kręgosłupa. Przytrzymaj mu głowę podczas uzdrawiania mózgu, inaczej uszkodzone komórki mogą się powielić. A raz „uzdrowione”, nie dadzą się już naprawić.

Świetnie, pomyślała Holly. Przytrzymać Butlera. Nie ma problemu. Przedarła się przez zawieruchę, odgarniając bijące w przyłbicę kryształki lodu.

Spowite w obłok pary ciało człowieka wciąż miało się w kriopojemniku.

Holly ze wszystkich sił ścisnęła dłońmi głowę Butlera. Jej ramionami wstrząsnęły vibracje, które przeniosły się na całe ciało.

–Trzymaj go, Holly! Trzymaj!

Elficzka pochyliła się nad pojemnikiem, całym ciężarem przyciskając czoło służącego. W panującym zamęcie nie mogła się zorientować, czy jej wysiłki przynoszą jakikolwiek skutek.

–Idzie! – krzyknął Ogierek. – Zaprzyj się!

Magiczna siatka otoczyła szyję i twarz Butlera. Błękitne iskry uderzyły w powieki i powędrowały wzdłuż nerwu wzrokowego do wnętrza mózgu. Oczy ochroniarza otworzyły się raptownie i obróciły w orbitach. Jego usta także ożyły, wypluwając długie, bezsensowne potoki wyrazów w różnych językach.

–Mózg przeprowadza próby – oznajmił Ogierek.

–Sprawdza, czy wszystko działa.

Każdy mięsień i staw został sprawdzony do kresu wytrzymałości, napięty, przekręcony i naciągnięty. Cebulki włosowe pracowały jak oszalałe, pokrywając zazwyczaj ogoloną czaszkę ochroniarza gęstą czupryną. Paznokcie wystrzeliły z palców niczym tygrysie pazury, na podbródku wykwitła kędzierzawa, postrzępiona broda.

Holly z trudem trzymała Butlera. Pomyślała, że zapewne tak właśnie czuje się kowboj na rodeo, dosiadający szczególnie wściekłego byka.

W końcu iskierki rozproszyły się i spiralą wleciały w górę niby unoszony wiatrem

żar z ogniska. Butler uspokoił się, po czym opadł w piętnastocentymetrową warstwę wody oraz płynu chłodzącego. Oddychał powoli i głęboko.

–Udało się – powiedziała Holly, ześlizgując się z pojemnika i opadając na kolana. – Żyje.

–Jeszcze za wcześnie, by świętować – rzekł Ogierek.

–Przed nami daleka droga. Nie odzyska świadomości co najmniej przez dwa dni, a nawet wtedy nie wiadomo, w jakim stanie będzie jego mózg. No i mamy ten problem...

Elficzka uniosła przyłbicę. – Jaki problem?

–Sama zobacz.

Kapitan Nieduża niemal obawiała się spojrzeć na to, co leżało w pojemniku. W jej myślach kłębiły się groteskowe wizje. Jakiegoż to zniekształconego ludzkiego mutanta udało im się stworzyć?

Pierwszą rzeczą, która rzuciła się jej w oczy, była klatka piersiowa Butlera. Otwór po kuli całkiem zniknął, ale skóra pociemniała, a w poprzek czarnej plamy biegła czerwona kreska. Wszystko razem wyglądało jak duże „T”.

–Kevlar – wyjaśnił Ogierek. – Kilka cząsteczek musiało się powielić. Nie tyle, żeby go zabić, ale dość dużo, aby spowolnić jego oddech. Z tymi włóknami przyklepionymi do żeber Butler nie pobiegnie już w żadnym maratonie.

–A czerwona kreska?

–Na oko, powiedziałbym, że to farba. Pewnie na kamizelce kuloodpornej były jakieś napisy.

Holly rozejrzała się po furgonetce. Kamizelka Butlera leżała porzucona w kącie. Na piersiach miała duży czerwony napis „FBI”. W środku litery „I” widniała mała dziurka.

–No cóż – westchnął centaur. – To niewielka cena za jego życie. Będzie mógł udawać, że to tatuaż. Ostatnio cieszą się wśród Błotniaków dużą popularnością.

Holly miała nadzieję, że wzmiankowany przez Ogierka „oczywisty problem” to właśnie wzmocniona kevlarem skóra, ale chodziło o coś innego. Owo coś natychmiast rzuciło się jej w oczy, kiedy spojrzała na twarz ochroniarza – a ściślej, na porastający ją zarost.

–O bogowie. – Wstrzymała oddech. – To się nie spodoba Artemisowi.

Artemis miarowo przemierzał dziedziniec, czekając na wynik magicznej operacji. Teraz, gdy jego plan niemal się ziścił, nie potrafił stłumić dręczących go wątpliwości. Czy słusznie postąpił? A jeśli służący nie będzie sobą? W końcu tego dnia, gdy jego ojciec odzyskał świadomość, był już niezaprzeczalnie innym człowiekiem. On, Artemis, nigdy nie zapomni tamtej rozmowy...

Wyjątek z dziennika Artemisa Fowla.

Dysk 2. Zaszyfrowany

Helsińscy lekarze stanowczo pragnęli napompować ojca witaminami. On równie stanowczo sobie tego nie życzył. A kiedy Fowl jest stanowczy, zazwyczaj dopina celu.

–Czuję się świetnie – upierał się. – Proszę, dajcie mi trochę czasu, żebym mógł ponownie zaprzyjaźnić się z rodziną.

Lekarze, rozbrojeni jego urokiem, ustąpili. Ogarnęło mnie zdumienie. Poprzednio ojciec nigdy nie posługiwał się wdziękiem osobistym. Realizował swoje plany niczym buldożer, miażdżąc każdego, kto był dostatecznie głupi, by stanąć mu na drodze.

Siedział w jedynym fotelu w szpitalnej sali, trzymając skróconą nogę na stołeczku. Matka przycupnęła na poręczy, olśniewająca w białym sztucznym futrze.

–Nie martw się, Arty – zaśmiał się, widząc, że przyglądam się jego nodze. – Jutro biorą miarę na protezę. Z Dortmundu przylatuje doktor Herman Gruber.

Słyszałem o Gruberze. Opiekował się drużyną niemieckich paraolimpijczyków. Był najlepszy.

–Poproszę o jakiś sportowy fason. Może w paski. Dowcip! To całkiem niepodobne do ojca! Matka zmierzwiła mu włosy.

–Nie kpij z Arty’ego, kochanie. Wiesz, że to dla niego trudna chwila. Był jeszcze dzieckiem, kiedy zniknąłeś.

–Mamo, doprawdy – zaprotestowałem. – Miałem jedenaście lat.

Ojciec uśmiechnął się do mnie z czułością. Może należało z nim porozmawiać, zanim jego dobry nastrój zamieni się w zwykłą opryskliwość?

–Ojczy, od czasu twojego zniknięcia wiele się zmieniło. Ja się zmieniłem.

Ojciec skinął poważnie głową.

–Tak, masz rację. Musimy pomówić o interesach. No, tak. O interesach. To był ojciec, jakiego pamiętałem.

–Sądzę, że znajdziesz konta bankowe rodziny w dobrym zdrowiu, ufam także, że zaaprobujesz portfel naszych akcji. W ubiegłym roku finansowym dały nam

osiemnaście procent dywidendy, co przy obecnym stanie rynku stanowi wynik wręcz wzorowy. Mam nadzieję, że cię nie zawiodłem.

–To ja ciebie zawiodłem, synu – rzekł Artemis senior – skoro sądzisz, że najważniejsze są dla mnie akcje i konta bankowe. Zapewne ja cię tego nauczyłem. – rzekł, przytulając mnie. – Niestety, Arty, jako ojciec nie byłem doskonały, wręcz przeciwnie. Zbyt dużo zajmowały mnie interesy. Wbito mi do głowy, że moim obowiązkiem jest zarządzanie imperium Fowlów – a jak obaj wiemy, jest to imperium przestępcze. Jeśli z mojego uprowadzenia w ogóle wynikło coś dobrego, to właśnie świadomość, co jest naprawdę ważne. Chcę, żebyśmy zaczęli nowe życie.

Nie wierzyłem własnym uszom. Jednym z moich najczęstszych wspomnień były wciąż przywoływane przez ojca słowa rodzinnej maksymy: *aurum potestas est* - złoto to władza. A teraz odwracał się plecami do zasad Fowlów! Co ta magia z niego zrobiła?!

–Złoto nie ma znaczenia, Arty – ciągnął ojciec. – Ani władza. We troje mamy wszystko, czego nam potrzeba.

Oniemiałem. Ale nie było to przykre uczucie.

–Ależ ojcze, zawsze mówiłeś... To niepodobne do ciebie. Jesteś nowym człowiekiem.

–Nie, Arty – wtrąciła mama. – Nie nowym, starym. Tym, w którym się zakochałam i za którego wyszłam, zanim imperium Fowlów mi go zabrało. A teraz go odzyskałam i znowu stanowimy rodzinę.

Popatrzyłem na rodziców, na ich wyraźne szczęście. Rodzinę? Czy to możliwe, żeby Fowlowie stali się normalną rodziną?

Zgiełk, który wybuchł w ruchomej komorze „Epoki Lodowcowej”, brutalnie wyrwał Artemisa z rozmyślań. Pojazd zakołysał się, a spod jego drzwi popłynął strumień niebieskich iskier.

Artemis nie wpadł w panikę. Widywał już uzdrowienia; w zeszłym roku, kiedy Holly przytwierdziła sobie obcięty palec wskazujący, opad magiczny roztrzaskał półtonową bryłę lodu – a przecież chodziło tylko o paluszek. Wyobrażał sobie, jakich zniszczeń dokona organizm Butlera, dochodząc do zdrowia po śmiertelnym postrzale!

Przez kilka minut w furgonetce panowało całkowite pandemonium. Dwie opony pękły, zawieszenie furgonetki zostało całkowicie zniszczone. Na szczęście instytut zamknięto na noc, inaczej doktor Lane z pewnością dopisałaby do rachunku koszt napraw.

W końcu magiczna burza ucichła. Samochód przestał dygotać i osiadł ciężko niczym kolejka górską po przejeździe. Tylne drzwi otworzyły się, ukazując Holly, ciężko wspartą o framugę. Była całkowicie wyczerpana, wyżęta. Mimo kawowej karnacji jej twarz okrywała chorobliwa bladość.

–No? – zawołał Artemis. – Żyje?

Holly nie odpowiedziała. Uzdrawienia bardzo ją męczyły i często przyprawiały o mdłości. Wyszła z furgonetki, kilka razy odetchnęła głęboko, po czym przysiadła na tylnym zderzaku.

–Żyje? – dopytywał się chłopiec. Skinęła głową.

–Żyje. Owszem, żyje. Ale...

–Ale co, Holly? Mów!

Holly znużonym gestem ściągnęła kask, który wysliznął się z jej palców i potoczył po bruku.

–Przykro mi, Artemisie, nie zdołałam zrobić więcej. Chyba nie mogła powiedzieć nic gorszego.

Artemis skoczył do furgonetki. Podłoga była śliska od wody i barwnych kryształków, z uszkodzonej kratki klimatyzacyjnej sączył się dym, świetlówki nad głową migotały niczym uwięzione w butelce błyskawice.

W rogu leżał przekrzywiony kriopojemnik, z którego żyroskopów wyciekał płyn. Przerzucona przez krawędź ręka Butlera rzucała na ścianę monstrualny cień.

Tablica rozdzielcza pojemnika nadal działała; Artemis z ulgą dostrzegł miarowe migotanie wskaźnika rytmu serca. Butler żył! Holly znów się udało. Ale coś wyraźnie zaniepokoiło panią kapitan.

Wystarczył jeden rzut oka do kriopojemnika, aby Artemis pojął, na czym polega problem. W świeżo odrośniętych włosach służącego widniały liczne siwe pasma. Butler wszedł do komory kriogenicznej jako czterdziestolatek – leżący przed Artemisem mężczyzna miał lat co najmniej pięćdziesiąt. W przeciągu zaledwie trzech godzin służący zestarzał się o dziesięć lat.

U boku Artemisa stanęła Holly.

–Przynajmniej żyje – mruknęła. Artemis skinął głową.

–Kiedy się obudzi?

–Za kilka dni. Być może.

–Jak to się stało? – zapytał chłopiec, odgarniając włosy z czoła Butlera.

–Nie wiem dokładnie – Holly rozłożyła ręce. – To domena Ogierka.

Artemis wyjął z kieszeni zestaw komunikacyjny i zaczepił za ucho przewód słuchawki.

–Ogierek? Masz jakąś teorię?

–Nie jestem pewien – odparł centaur. – Ale podejrzewam, że magiczna moc Holly nie wystarczyła, żeby uzdrowić Butlera; trzeba było zużyć część jego własnych sił witalnych. Tak na oko, z piętnaście lat życia.

–Można coś na to zaradzić?

–Obawiam się, że nie. Uzdrawienia nie da się cofnąć. Jeśli to dla ciebie jakaś pociecha, pewnie będzie żył dłużej niż normalnie. Ale jego młodość już nie wróci, co więcej, nie ma pewności, w jakim stanie jest jego mózg. Uzdrawienie mogło wyczyścić mu pamięć lepiej niż magnes działający na dysk.

Artemis westchnął głęboko.

–Co ja ci zrobiłem, przyjacielu?

–Nie ma na to czasu – przerwała mu Holly. – Musicie obaj szybko się stąd wynieść. Jestem pewna, że całe to zamieszanie zwróciło czyjąś uwagę. Macie jakiś środek transportu?

–Nie. Przylecieliśmy rejsowym lotem, a potem wzięliśmy taksówkę z Heathrow.

Holly wzruszyła ramionami.

–Chciałabym ci pomóc, Artemisie, ale i tak poświęciłam wam zbyt wiele czasu. Mam zadanie. Bardzo ważne zadanie i muszę się nim zająć.

Artemis cofnął się od pojemnika.

–Holly, właśnie, twoje zadanie...

Kapitan Nieduża powoli obróciła się ku niemu.

–Artemisie...

–Ktoś was namierzył, prawda? Jakiś sygnał przedostał się przez system obronny

Ogierka?

Holly wyciągnęła z plecaka wielką płachtę folii maskującej.

–Musimy porozmawiać. Na osobności.

Następne trzy kwadransy we wspomnieniach Artemisa stanowiły jedynie zamazaną plamę. Holly bezzwłocznie owinęła obu ludzi w płachtę i przypięła ich do pasa Moonbelt; pas ten skutecznie redukował ciężar do około jednej piątej normy ziemskiej, mimo to mechaniczne skrzydła z trudem zdołały wynieść całą trójkę w nocne niebo. Aby wzbić się na wysokość stu pięćdziesięciu metrów nad poziomem morza, Holly musiała do oporu otworzyć przepustnicę.

–Teraz uruchamiam tarczę – oznajmiła do mikrofonu. – Spróbuj zanadto się nie szarpać. Byłoby fatalnie, gdybym musiała odciąć jednego z was.

Po czym zniknęła, a na jej miejscu zawisła migotliwa gwiazdna plama w kształcie Holly. Uchwyty pasa zawibrowały, aż Artemisowi zaszczekały zęby. Ciasno zawinięty w folię, mając na zewnątrz jedynie głowę, czuł się niczym larwa w kokonie.

Początkowo lot nad miastem, ponad rzekami świateł samochodów, jadących głównymi arteriami, nawet sprawiał chłopcu przyjemność. Wkrótce jednak Holly złapała zachodni wiatr, który rzucił ją nad morze, we władanie prądów powietrznych. Nagle wokół Artemisa rozpętało się szaleństwo przenikliwego wichru, którego gwałtowne uderzenia były w pasażerów Holly oraz w zaskoczone ptaki. Obok chłopca, związane jak kiełbasa w prowizorycznych nosilkach, majtało się bezwładne ciało Butlera.

Folia pochłaniała większość kolorów, odbijając tylko dominujące barwy otoczenia. Nie był to kamuflaż doskonały, lecz z pewnością wystarczający na nocny lot przez morze do Irlandii.

–Ta folia jest niewidoczna dla radaru? – zwrócił się Artemis do mikrofonu. – Wolałbym, żeby jakiś nadgorliwy pilot harriera nie wziął nas za UFO.

–Masz rację – odparła Holly po zastanowieniu. – Chyba na wszelki wypadek powinnam zejść trochę w dół.

Dwie sekundy później Artemis gorzko pożałował, że przerwał ciszę radiową; Holly położyła się na prawe skrzydło i weszła w ostry lot nurkujący, kierując całą trójkę ku falam mrocznego, północnego morza.

Wyhamowała w ostatniej chwili, lecz Artemis byłby gotów przysiąc, że jeszcze trochę, a pęd powietrza zdarłby mu skórę z twarzy.

–Dostatecznie nisko? – zapytała Holly z wyczuwalnym śmiechem w głosie.

Lecieli, muskając szczyty fal, wśród bryzgów piany, rozpryskującej się na folii. Tej nocy ocean był wzburzony; Holly podążała tuż nad wodą, opadając i wznosząc się na przemian. Ze sztormowej kipieli, najwyraźniej wyczuwając ich obecność, wynurzyła się ławica humbaków; lśniące wieloryby trzydziestometrowym skokiem pokonały dolinę między dwoma grzbietami i zniknęły w czarnych głębinach. Delfinów nie było – owe miłe ssaki, szukając schronienia przed sztormem, skryły się w przesmykach i zatoczkach wybrzeża Irlandii.

Zrównali się z promem pasażerskim, lecąc tak blisko burty, że dobiegł ich głęboki puls maszyn. Dziesiątki przechylonych przez relingi pasażerów wymiotowało intensywnie, o włos omijając niewidzialnych podróżników poniżej.

–Uroczo, nie ma co – mruknął Artemis.

–Nie martw się – dobiegł go z nicości głos Holly. – Jesteśmy prawie na miejscu.

Minąwszy port promowy w Rosslaer, skierowali się wzdłuż wybrzeża na północ, ponad górami Wicklow. Artemis, choć zdezorientowany, nie mógł powstrzymać uczucia podziwu dla prędkości, z jaką się przemieszczali. Te skrzydła to doprawdy fantastyczny wynalazek! Pomyśleć tylko, ile pieniędzy można zarobić na takim patencie! Jednak pohamował się – Butler został ranny właśnie dlatego, że on, Artemis, usiłował handlować technologią wrózek.

Zwolnili i można już było rozróżnić poszczególne obiekty w terenie. Na wschodzie rozsiadł się Dublin, nad którym unosiła się żółta aureola świateł drogowych. Holly łukiem ominęła miasto, po czym skierowała się ku rzadziej zaludnionej północy kraju. Tam, pośrodku ciemnej plamy zieleni, widniał odosobniony gmach, biały w blasku wycelowanych weń reflektorów – rodowa siedziba Artemisa, dwór Fowlów.

Dwór Fowlów, Dublin, Irlandia

–A teraz, czekam na wyjaśnienie – oznajmiła Holly, gdy już umieścili Butlera bezpiecznie w łóżku.

Kapitan SKR siedziała na najniższym stopniu wielkich schodów pod badawczym, niechętnym wzrokiem pokoleń Fowlów na portretach.

Elficzka uruchomiła mikrofon w kasku i włączyła zestaw głośnikowy.

–Ogierek, nagrywaj, dobrze? Mam przeczucie, że jeszcze nie raz będziemy chcieli tego posłuchać.

–Cały incydent zaczął się od spotkania w interesach dziś po południu – zaczął Artemis.

–Mów dalej.

–Spotkałem się z amerykańskim przemysłowcem, niejakim Jonem Spiro.

W uszach Holly rozległo się stukanie w klawisze. Niewątpliwie Ogierek już sprawdzał tego Spiro.

–Jon Spiro – odezwał się prawie natychmiast. – Szemrany typ, nawet według norm ludzkich. Agencje bezpieczeństwa Błotniaków od trzydziestu lat chcą go dopaść. Jego przedsiębiorstwa można określić jako katastrofy ekologiczne. A to tylko wierzchołek góry lodowej: ma na sumieniu szpiegostwo przemysłowe, uprowadzenia, szantaż, powiązania z mafią. Gdzie tylko spojrzeć, wszystko uchodzi mu na sucho.

–To ten – rzekł Artemis. – A więc umówiłem się z panem Spiro.

–Chciałeś mu coś sprzedać? – przerwał Ogierek. – Taki człowiek jak on nie przekracza Atlantyku, żeby wpaść na herbatę i ciastka.

–Ależ nie chciałem mu nic sprzedawać – zachnął się Artemis. – Zaproponowałem mu jedynie, że przez jakiś czas zachowam w tajemnicy pewną rewolucyjną technologię, oczywiście za odpowiednią cenę.

–Jaką rewolucyjną technologię? – głos Ogierka brzmiał lodowato.

Artemis zawahał się przez moment.

–Pamiętacie te kaski, które Butler zabrał grupie Odzysku?

–Och, nie! – jęknęła Holly.

–Wyłączyłem w tych kaskach mechanizm autodestrukcji i wymontowałem z nich mikroprocesor oraz sensory, które umieściłem w sześciennym obudowie. Powstał minikomputer o nazwie Kostka K. Zainstalowanie światłowodowej blokady, która uniemożliwia przejęcie kontroli nad Kostką w wypadku jej wykrycia, było już prostą sprawą.

–Udostępniłeś naszą technologię komuś takiemu jak Spiro?

–Wcale mu jej nie udostępniłem – obruszył się Artemis. – Sam ją sobie wziął.

Holly wycelowała w chłopca palec.

–Nie fatyguj się, Artemisie. Nie do twarzy ci z miną ofiary. Co ty sobie myślałeś? Że Jon Spiro tak po prostu zrezygnuje z technologii, dzięki której stałby się najbogatszym człowiekiem na powierzchni ziemi?

–Więc to twój komputer nas wypingował? – zapytał Ogierek.

–Tak – przyznał Artemis. – Niechcący. Spiro poprosił, bym sprawdził, czy ktoś go nie namierza, a wrózkowe obwody Kostki zareagowały na sygnały z satelitów SKR.

–Czy w przyszłości możemy zablokować takie sondy? – zapytała pani kapitan.

–Zagłuszaczki Oazy są bezradne wobec wytworów naszej własnej techniki. Prędzej czy później Spiro dowie się o istnieniu Ludu. A gdy to nastąpi, nie wyobrażam sobie, aby pozwolił nam żyć dalej w pokoju i harmonii.

Holly popatrzyła na Artemisa wymownie.

–Kogoś ci to przypomina?

–Nie jestem taki jak Jon Spiro! – zaprotestował chłopiec. – To zimnokrwisty morderca!

–Zaczekaj kilka lat – warknęła Holly. – I do tego dojdiesz.

Ogierek westchnął. Wystarczyło umieścić Artemisa Fowla i Holly Niedużą w jednym pomieszczeniu, a prędzej czy później wybuchała awantura.

–Okej, Holly – powiedział. – Spróbujmy zachowywać się jak zawodowcy. Pierwszy krok to odwołanie blokady. Następny polega na odzyskaniu Kostki, zanim Spiro odkryje jej sekrety.

–Mamy trochę czasu. Kostka jest zaszyfrowana. – Jak?

–Wbudowałem w nią Kod Wieczności.

–Kod Wieczności – rzekł Ogierek. – No, no.

–To nie było takie trudne. Wymyśliłem całkowicie nowy język bazowy, więc Spiro nie będzie miał się do czego odwołać.

Holly poczuła, że coś ją omija.

–A jak długo trwa złamanie tego Kodu Wieczności? Artemis nie oparł się pokusie, by unieść brwi.

–Wieczność, rzecz jasna – odparł. – To znaczy, teoretycznie, ale przy możliwościach Spiro, być może nieco krócej.

Holly zignorowała lekceważący ton chłopca.

–Okej, zatem nic nam nie grozi. Nie ma sensu polować na Spiro, skoro wszystko, co ma, to pudełko bezużytecznych obwodów.

–Wcale nie bezużytecznych – sprzeciwił się Artemis. – Sam projekt mikroprocesora mógłby podsunąć jego zespołowi ciekawe pomysły badawcze. Ale pod jednym względem masz rację, Holly. Nie ma sensu polować na Spiro; kiedy się zorientuje, że pozostałem przy życiu, sam na mnie zapoluje. W końcu jestem jedynym człowiekiem, który potrafi w pełni odsłonić przed nim tajemnice Kostki K. Holly złapała się za głowę.

–A więc w każdej chwili może tu wpaść oddział zabójców, szukających klucza do tego twojego kodu! W takiej chwili faktycznie przydałby się ktoś taki jak Butler!

Artemis podniósł słuchawkę ściennego telefonu.

–Niejedna osoba nosi nazwisko Butler.

Rozdział czwarty

W rodzinie

Sfax, Tunezja, Afryka Północna

Na swoje osiemnaste urodziny Julia Butler na własne życzenie dostała grubą prążkowaną dźwogę, dwa obciążone noże do rzucania oraz nagranie wideo z meczu o mistrzostwo świata w wolnej amerykance. Takie przedmioty zazwyczaj nie figurują na liście życzeń przeciętnej nastolatki. Ale też Julia Butler nie była przeciętną nastolatką.

Była wyjątkowa pod wieloma względami. Po pierwsze, umiała trafić w ruchomy cel z każdej broni, jaka przysłaby wam do głowy; po drugie, potrafiła rzucić większość ludzi o wiele dalej, niż wam się zdaje.

Oczywiście nie nauczyła się tego wszystkiego dzięki oglądaniu nagrań z walk zapaśniczych. Rozpoczęła treningi w wieku lat czterech. Codziennie po wyjściu z przedszkola udawała się pod eskortą Domowoja Butlera do sali treningowej we dworze Fowlów, gdzie brat szkolił ją w rozmaitych sztukach walki. Mając osiem lat, miała już czarny pas trzeciego dan w siedmiu dyscyplinach. W wieku lat jedenastu wyrosła ze wszelkich pasów.

Zgodnie z tradycją, ukończywszy dziesięć lat, Butlerowie płci męskiej wstępowali do Akademii Ochrony Osobistej Madame Ko, gdzie sześć miesięcy każdego roku poświęcali nauce zawodu, a drugie sześć – ochronie jakiegoś niezbyt ryzykownego pryncypała. Kobiety Butlerów zazwyczaj szły na służbę do bogatych domów na całym świecie. Julia postanowiła, że połączy obie te funkcje: co roku sześć miesięcy spędzała z Angeliną Fowl, a następnie doskonaliła swoją sztukę w obozie szkoleniowym madame Ko. Była pierwszą kobietą w rodzinie Butlerów, która wstąpiła do Akademii, oraz piątą w ogóle, której udało się zdać egzamin sprawnościowy. A ponieważ obozów nigdy nie urządzano w tym samym kraju dłużej niż pięć lat z rzędu, Butler odbył szkolenie w Szwajcarii i Izraelu, ale jego młodsza siostra pobierała nauki w japońskich górach Utsuki-shigahara.

Warunki we wspólnej sypialni w szkole madame Ko mocno odbiegały od luksusów dworu Fowlów. W Japonii Julia spała na słomianej macie, miała tylko dwa kostiumy z surowego płótna i żywiła się wyłącznie rybami, ryżem oraz napojami wzmacniającymi.

Jej dzień zaczynał się o wpół do szóstej, kiedy wraz z innymi adeptami biegła do pobliskiego strumienia łowić ryby gołymi rękami. Ryby, oczyszczone i przyrządzone, składano w ofierze sensei, po czym uczniowie nakładali na plecy dziewięćdziesięciolitrowe beczki i wspinali się do linii śniegu. Napełniwszy beczki,

turlali je z powrotem do obozu, a następnie ubijali śnieg bosymi stopami, dopóki nie zamienił się w wodę, której sensei używała do kąpieli. Dopiero wówczas zaczynał się właściwy trening.

Trenowano głównie Cos Ta'pa, sztukę walki, opracowaną przez madame Ko specjalnie na użytek ochroniarzy, których głównym zadaniem nie była samoobrona, lecz ochrona pryncypała. Akolici poznawali również zaawansowane technologie uzbrojenia, informatykę, obsługę pojazdów i techniki negocjacyjne, stosowane podczas porwań.

W wieku osiemnastu lat Julia umiała z zawiązanymi oczami rozebrać i złożyć dziewięćdziesiąt procent produkowanych na świecie typów broni, prowadzić dowolny wehikuł, zrobić makijaż w czasie poniżej czterech minut oraz – pomimo olśniewającej eurazjatyckiej urody – wtopić się w każdy tłum niczym tubylec. Starszy brat był z niej bardzo dumny.

Ostatni etap szkolenia stanowiła symulowana akcja na obcym terenie. Po zaliczeniu tej próby Julii wytatuowano by na ramieniu niebieski diament, taki sam, jaki miał Butler. Diament symbolizował nie tylko sprawność absolwenta, ale także wielostronność jego wykształcenia. W kręgach związanych z obstawą osobistą ochroniarz z takim tatuażem nie potrzebował rekomendacji.

Na miejsce finałowego sprawdzianu Julii madame Ko wybrała tunezyjskie miasto Sfax. Zadanie polegało na bezpiecznym przeprowadzeniu pryncypała przez gwarny miejski targ, czyli medinę. Na ogół ochroniarze odradzali podopiecznym wypady w gęsto zaludnione okolice, lecz madame Ko słusznie zauważyła, że podopieczni rzadko słuchają rad, toteż należy być przygotowanym na każdą ewentualność. A jakby tego było mało, tym razem madame Ko miała sama odegrać rolę pryncypała.

W północnej Afryce panował niespotykany upał. Julia zmrużyła oczy, zakryte okularami przeciwsłonecznymi, skupiając wzrok na przemykającej w tłumie drobnej postaci.

–Szybciej – syknęła madame Ko. – Zgubisz mnie.

–Nie ma mowy – odparła Julia niewzruszenie. Madame Ko chciała po prostu odwrócić jej uwagę za pomocą rozmowy. Ale i bez tego najbliższe otoczenie dostarczało sporo atrakcji; na okolicznych straganach migotały kusząco złote łańcuchy, tunezyjskie dywany rozpięte na drewnianych ramach trzepotały na wietrze, stanowiąc idealną osłonę dla potencjalnych zamachowców. Miejscowa ludność, widząc atrakcyjną dziewczynę, tłoczyła się nieprzyjemnie blisko niej, ponadto grunt był zdradliwy – jeden fałszywy krok mógł prowadzić do skręcenia kostki, a więc do niepowodzenia.

Julia odnotowała to wszystko niemal bezwiednie, odpowiednio korygując swoje poruszenia. Stanowczym ruchem położyła dłoń na piersi wyrostka, szczerzącego do niej zęby, odepchnęła go i przeskakując przez mieniającą się tęczo plamę oleju, podążyła za madame Ko alejką w nieskończony labirynt medyny.

Nagle przed jej nosem wyrósł jakiś mężczyzna, zapewne przekupień.

–Ja mieć dobre dywany! – zawołał łamaną francuszczyzną. – Ty iść za mną! Ja pokazać!

Madame Ko nieubłaganie posuwała się przed siebie. Julia usiłowała ją gonić, lecz mężczyzna zagroził jej drogę.

–Nie, dziękuję. Nie jestem zainteresowana. Mieszkam na świeżym powietrzu.

–Bardzo śmieszne, mademoiselle. Ty dobrze żartować. Teraz iść obejrzeć dywany Ahmeda.

Zaciekawiony tłum zawirował i zwarł się wokół nich niczym macki jakiegoś olbrzymiego stworzenia. Madame Ko oddalała się coraz bardziej. Julia traciła kontakt z pryncypałem.

–Nie – powiedziałam. – Odejdź, panie Dywaniarzu. Nie chcę przez ciebie złamać sobie paznokcia.

Ale Tunezyjczyk nie był przyzwyczajony, by kobiety wydawały mu polecenia, w dodatku w obecności znajomych.

–Ja dawać dobre ceny – nalegał, wskazując swój stragan. – Najlepsze dywany w Sfax.

Julia chciała go obejść, lecz gęsty tłum jej nie przepuścił.

W owym momencie utraciła resztki sympatii, jaką Ahmed dotychczas w niej wzbudzał. Do tej chwili uważała go za niewinnego tubylca, który przypadkowo znalazł się w niewłaściwym miejscu, ale teraz...

–Chodź! – zawołał Tunezyjczyk, opasując ramieniem talię jasnowłosej dziewczyny. Nie był to najlepszy pomysł w jego życiu.

–Błąd, Dywaniarzu!

W mgnieniu oka Ahmed wbił się w fałdy pobliskiego dywanu. Zanim się ocknął, Julia zniknęła. Nikt nie miał pojęcia, co się stało, dopiero nagranie, które Kamal od kurczaków wykonał swoją kamerą cyfrową, pozwoliło zebrany odtworzyć całą

scenę. Straganiarze w zwolnionym tempie obejrzeni, jak eurazjatycka dziewczyna chwyta Ahmeda za pas i gardło, po czym ciska nim jak piórkami w stragan z dywanami. Manewr ten jeden ze złotników rozpoznał jako Procę – chwyt, upowszechniony przez amerykańskiego zapaśnika Papę Wieprza. Widzowie płakali ze śmiechu rzewnymi łzami, niektórzy nawet ulegli odwodnieniu. To była najzabawniejsza rzecz, jaka zdarzyła się owego roku, sam film natomiast zdobył nagrodę w tunezyjskiej odmianie konkursu na najśmieszniejszy wideoklip świata. Trzy tygodnie później Ahmed wyemigrował do Egiptu.

Wróćmy jednak do Julii. Adeptka ochroniarstwa pędziła niczym sprinterka, wypuszczona z bloków, bezceremonialnie wymijając oszołomionych kupców. Gwałtownie skręciła w odchodzący w prawo zaułek – madame Ko nie mogła zawędrować daleko. Wciąż jeszcze mogła wykonać zadanie.

W duchu wściekała się na siebie – dała się nabrać na dokładnie taką sztuczkę, przed jaką ostrzegał ją brat.

–Uważaj na madame Ko – mówił. – Nigdy nie wiadomo, co wymyśli w terenie. Podobno kiedyś w Kalkucie spłoszyła stado słoń, żeby odwrócić uwagę ucznia.

Rzecz jednak w tym, że Julia nie była niczego pewna. Handlarz dywanów mógł zostać zatrudniony przez madame Ko, ale mógł być także niewinnym cywilem, który wetknął nos, gdzie nie trzeba.

W wąskim zaułku ludzie szli gęsiego. Ze sznurów, rozciągniętych zygzakiem na wysokości głowy, zwisały wilgotne gutry i abaye, parujące w upale. Julia przemykała pod odzieżą, jednocześnie wymijając marudnych kupujących. Pod jej nogami, szamocząc się na sznurkach, plątały się zaskoczone indyki.

Aż nagle ściany rozstąpiły się i Julia wpadła na mroczny plac, otoczony piętrowymi domami. Na górnych balkonach rozłożyli się mężczyźni, pociągający z fajek wodnych owocowy dym. Pod stopami dziewczyny rozbłysła bezcenna, wyszczerbiona mozaika, przedstawiająca scenę z łaźni rzymskiej.

Pośrodku placu, zwinięta w kłębek, leżała madame Ko, atakowana przez trzech mężczyzn. Tym razem nie byli to miejscowi kupcy; wszyscy mieli czarne stroje sił specjalnych oraz pewne i dokładne ruchy zawodowców. Nie chodziło o próbę. Ci ludzie naprawdę chcieli zabić sensei Julii.

Julia, zgodnie z zasadami, nie miała broni – przemyt karabinów do afrykańskiego kraju oznaczał dożywotnie więzienie. Na szczęście jej przeciwnicy również walczyli gołymi rękami, jednak ich dłonie i stopy wystarczyły aż nadto, aby osiągnąć zamierzony cel.

Bezpośredni atak nie miał sensu. Jediną szansę na ocalenie dawała improwizacja.

Skoro napastnikom udało się pokonać samą madame Ko, w regularnej walce z pewnością zyskaliby nad Julią przewagę. Musiała spróbować czegoś nietypowego.

Skoczyła z rozpędu i szarpnęła sznur z bielizną. Jeden z przytrzymujących go haków przez chwilę stawiał opór, po czym wyskoczył z wyschniętego tynku. Sznur lekko opadł pod ciężarem kilimów i chust. Julia chwyciła luźny koniec, odbiegła w lewo, a następnie pędem zawróciła ku napastnikom.

–Hej, chłopaki! – zawołała.

Nie była to brawura. Julia wiedziała, że spotkanie twarzą w twarz daje lepsze skutki.

Mężczyźni unieśli głowy i zdążyli oberwać w twarze mokrym wielbłądzim włosiem. W okamgnieniu oplatały ich ciężkie dywany i sztuki odzieży, nylonowa linka zacisnęła się im na szyjach. Wszyscy trzej padli na ziemię, bezsilnie wymachując kończynami. Julia postarała się, aby tam pozostali, szczypiąc każdego w splot nerwowy u podstawy karku.

–Madame Ko! – zawołała, zdejmując z sensei stertę prania. Po spodem leżała, dygocząc, stara kobieta w oliwkowym stroju. Jej twarz była okryta chustką.

Julia podała jej dłoń.

–Widziała pani mój manewr, madame? Załatwiłam tych kretynów na cacy. Założę się, że nigdy nie widzieli nic podobnego. Improwizacja. Butler wciąż powtarza, że to jest najważniejsze. Chyba moje cienie do powiek rozproszyły ich uwagę. Zieleń z brylancikami nigdy nie zawodzi...

Dotknięcie noża na szyi kazało Julii zamilknąć. Nóż ten trzymała madame Ko, która w rzeczywistości wcale nie była madame Ko, lecz nieznaną, małą, orientálną damą w oliwkowym stroju. Przynętą.

–Nie żyjesz – oznajmiła dama.

–Tak jest – potwierdziła prawdziwa madame Ko, wynurzając się z cienia. – A skoro ty zginęłaś, to twój pryncypał też. Nie zdałaś.

Julia złożyła dłonie i skłoniła się.

–To był podstęp, madame – odparła, starając się mówić z szacunkiem.

–Oczywiście – zaśmiała się sensei. – Takie jest życie. Czego się spodziewałaś?

–Ale ci zabójcy? Skopałam im d... pokonałam ich jak dzieci!

Madame Ko zbyła przechwałkę machnięciem ręki.

–Miałaś szczęście, że to nie byli prawdziwi skrytobójcy, ale trzech absolwenci Akademii. Co to za bzdura z tą linką?

–To sztuczka wzięta z wolnej amerykanki – wyjaśniła Julia. – Nazywa się Sznur na Bieliznę.

–Niegodna zaufania – orzekła japońska dama. – Udało ci się, bo fortuna ci sprzyjała. A w naszym zawodzie fortuna nie wystarczy.

–To nie moja wina – zaprotestowała dziewczyna. – Na targu zatrzymał mnie jakiś facet. Kompletnie mnie zablokował. Musiałam go uśpić na jakiś czas.

Madame Ko puknęła Julię między oczy.

–Milcz, dziecko. Choć raz się zastanów. Co powinnaś była zrobić?

Julia skłoniła się nieco niżej.

–Powinnam była natychmiast unieszkodliwić handlarza.

–Właśnie. Jego życie nic nie znaczy. Jest zupełnie nieistotne w porównaniu z bezpieczeństwem pryncypała.

–Nie mogę zabijać niewinnych ludzi! – zawołała Julia.

–Wiem, dziecko – westchnęła madame Ko. – I dlatego nie jesteś gotowa. Masz wszystkie niezbędne umiejętności, ale brak ci stanowczości i poczucia celu. Może w przyszłym roku...

Serce Julii zamarło. Jej brat otrzymał niebieski diament, mając osiemnaście lat. Był najmłodszym absolwentem w dziejach Akademii, a jego siostra zamierzała wyrównać ten rekord. A teraz będzie musiała za rok znów przystąpić do próby. Dalsze protesty nie miały sensu – madame Ko nigdy nie zmieniała decyzji.

Z zaułka wyłoniła się młoda dziewczyna w stroju adepta z małą aktówką w ręce.

–Madame – rzekła z ukłonem. – Rozmowa do pani przez telefon satelitarny.

Madame Ko wzięła słuchawkę i przez kilka chwil słuchała w skupieniu.

–Wiadomość od Artemisa Fowla – oznajmiła po skończeniu rozmowy.

Julię korciło, żeby wyprostować zgięte w ukłonie plecy, lecz byłoby to niewybaczalne naruszenie protokołu.

–Tak, madame?

–Wiadomość brzmi: Domowej cię potrzebuje. Julia zmarszczyła czoło.

–Znaczy, Butler mnie potrzebuje.

–Nie – zaprzeczyła madame bez cienia emocji. – To znaczy, że Domowej cię potrzebuje. Po prostu powtarzam, co mi powiedziano.

Nagle Julia poczuła na karku palące promienie słońca, usłyszała moskity, brzęczące jej w uszach niczym dentystyczne wiertło. Owładnęło ją jedno, jedyne pragnienie: wyprostować się i ruszyć biegiem na lotnisko. Butler nigdy nie zdradziłby Artemisowi swego imienia, chyba że... Nie, nie mogła w to uwierzyć. Nie mogła nawet dopuścić do siebie takiej myśli.

Madame Ko z namysłem popukała się palcem w podbródek.

–Nie jesteś gotowa. Nie mogę cię puścić. Jak na skutecznego ochroniarza, zbyt angażujesz się uczuciowo.

–Proszę, madame.

Sensei zastanawiała się przez dwie długie minuty.

–Dobrze – rzekła wreszcie. – Idź.

Zanim na placyku przebrzmiało echo tych słów, Julii już nie było; i niech Bóg ma w opiece handlarza dywanów, który ośmieliłby się stanąć jej na drodze.

Rozdział piąty

Cyngiel i mała

Iglica Spiro, Chicago, Illinois, USA

Jon Spiro poleciał concorde'em z Heathrow na międzynarodowe lotnisko O'Hare w Chicago, po czym wsiadł do limuzyny, która zawiozła go do Iglicy Spiro, wąskiego ostrosłupa ze szkła i stali, wznoszącego się nad miastem na wysokość osiemdziesięciu sześciu pięter. Na ostatnim piętrze wieżowca mieściły się prywatne apartamenty Spiro, dostępne tylko z jego prywatnej windy i lądowiska śmigłowców.

Spiro przez całą podróż nie spał, zbyt podniecony małym sześcianem, tkwiącym w jego aktówce. Szef personelu technicznego, niejaki doktor Pearson, również się podniecił, usłyszawszy, co potrafi owo małe, niepozornie wyglądające pudełko, i natychmiast przydreptał, by czym prędzej odkryć sekrety Kostki K.

Sześć godzin później zjawił się w sali konferencyjnej.

–Do niczego – oznajmił.

Spiro zakręcił kieliszkiem od martini, w którym zawirowała oliwka.

–Nie sądzę, Pearson – powiedział. – Prawdę mówiąc, jestem zupełnie pewien, że to małe pudełko nie jest do niczego. To raczej ty jesteś do niczego.

Spiro był w okropnym nastroju; przed chwilą zadzwonił doń Arno Blunt, który zawiadomił go, że Fowl żyje. A gdy Spiro miał zły humor, ludzie niekiedy znikali z powierzchni ziemi – jeśli mieli szczęście.

Pearson poczuł na sobie uważny wzrok trzeciej osoby w pokoju. Nie była to kobieta, z którą chciałoby się zadzierać: Pearson wiedział, że gdyby Jon Spiro kazał wyrzucić go przez okno, osobniczka ta bez najmniejszych skrupułów podpisałaby oświadczenie, że sam postanowił skoczyć.

Ostrożnie dobierając słowa, powiedział:

–To urządzenie...

–Kostka K. Tak się nazywa. Mówiłem ci o tym, więc używaj tej nazwy.

–Kostka K niewątpliwie ma ogromne możliwości. Ale dostęp do niej jest zakodowany.

Spiro rzucił oliwką w szefa naukowców – nader upokarzające przeżycie dla laureata Nobla.

–Więc złam ten kod. Za co ja wam płacę? Pearson poczuł, że tętno mu przyśpiesza.

–To nie takie proste. Tego kodu nie da się złamać.

**–Wyjaśnijmy sobie coś – rzekł Spiro, odchylając się w fotelu, krytym pąsową skórą.
– Ładuję w wasz dział dwa miliony dolarów rocznie, a wy nie możecie złamać jednego parszywego kodu, wymyślonego przez jakiegoś dzieciaka?**

Pearson usiłował nie myśleć o dźwięku, jaki wydałoby jego ciało, uderzając o trotuar. Następne zdanie mogło go zgubić bądź ocalić.

–Kostkę aktywuje się głosem, a kod aktywacji jest dostosowany do wzorca głosowego Artemisa Fowla. Nikt go nie złamie. To niemożliwe.

Spiro nie zareagował, co oznaczało, że Pearson może mówić dalej.

–Słyszałem już o czymś takim. Istnieją na ten temat teorie naukowe. To się nazywa Kod Wieczności i podobno posiada milion możliwych permutacji. Co więcej, wygląda na to, że jego bazę stanowi nieznany język – chłopak stworzył język, którym mówi tylko on sam. Nie wiemy nawet, jak ten język ma się do angielskiego. Taki kod nie ma prawa istnieć. Mówię to z przykrością, panie Spiro, ale jeśli Fowl nie żyje, to Kostka K umarła wraz z nim.

Jon Spiro wetknął cygaro w kącik ust. Nie zapalił go jednak. Lekarze mu zabronili. Bardzo uprzejmie.

–A jeśli Fowl żyje?

Pearson pojął, że właśnie rzucono mu koło ratunkowe.

–Jeśli Fowl żyje, to znacznie łatwiej będzie złamać jego niż Kod Wieczności.

–Okej, doktorku – rzekł Spiro po namyśle. – Może pan odejść. Nie zechce pan słuchać tego, co teraz powiemy.

Pearson zebrał notatki i pośpiesznie wycofał się do drzwi, usiłując nie patrzeć w twarz kobiecie, siedzącej za stołem konferencyjnym. Skoro nie dane mu było usłyszeć tego, co nastąpi, to miał czyste sumienie. A skoro w gruncie rzeczy nie widział tej osoby, to nie mógł jej wskazać podczas konfrontacji.

–Wygląda na to, że mamy problem – powiedział Spiro do kobiety w czarnym kostiumie.

Przytaknęła. Wszystko, co miała na sobie, było czarne: czarny elegancki kostium, czarną bluzkę, czarne szpilki. Nawet zegarek Rado na jej nadgarstku lśnił czernią niczym węgiel.

–Owszem. Ale to problem w sam raz dla mnie. Carla Frazetti była córką chrzestną Getra Antonellego, który zarządzał śródmiejską sekcją przestępczego rodu Antonellich. Carla pełniła funkcję łącznika między Spirem i Antonellim – być może dwoma najpotężniejszymi ludźmi w Chicago. Spiro już na początku swojej kariery zauważył, że każdy interes, który ma związek z mafią, świetnie się rozwija.

Carla obejrzała swoje wymanikiowane paznokcie.

–Wydaje mi się, że masz tylko jedno wyjście: dopaść tego smarkacza Fowla i przycisnąć go w sprawie kodu.

Spiro popadł w zadumę, ssąc niezapalone cygaro.

–To nie takie proste. Dzieciak dobrze się pilnuje. Dwór Fowlów przypomina fortecę.

Carla uśmiechnęła się.

–Przecież to trzynastolatek, prawda?

–Za pół roku skończy czternaście lat – powiedział Spiro obronnym tonem. – A poza tym, istnieją pewne komplikacje.

–Na przykład?

–Arno jest ranny. Fowl w jakiś sposób zdołał wybić mu zęby.

–Brr – wzdrygnęła się Carla.

–Ledwie trzyma się na nogach, o kierowaniu akcją nie ma nawet mowy.

–Szkoda.

–Prawdę mówiąc, chłopak unieszkodliwił moich najlepszych żołnierzy. Wszyscy potrzebują dentysty. To będzie mnie kosztowało fortunę. Nie, w tej sprawie muszę mieć pomoc z zewnątrz.

–Chcesz zlecić nam kontrakt na tę robotę?

–Właśnie. Ale to muszą być odpowiednie osoby. Irlandia jest krajem staroświeckim i cwaniacy na milę rzucają się w oczy. Potrzebni mi ludzie, którzy wtopią się w otoczenie i przekonają małego, żeby tutaj przyjechał. Łatwy zarobek.

Carla puściła doń oko.

–Tak jest, panie Spiro.

–Macie takich ludzi? Ludzi, którzy sobie poradzą, nie zwracając na siebie uwagi?

–Rozumiem, że potrzebny ci cyngiel i małpa? Spiro, znający mafijny żargon, przytaknął. Cyngiel nosił broń, a małpa przenikała do miejsc trudno dostępnych.

–Mamy na liście dwóch takich. Gwarantuję, że w Irlandii nie wzbudzą niewłaściwego rodzaju zainteresowania. Ale to nie będzie tanie.

–Dobrzy są? – zapytał Spiro.

Carla uśmiechnęła się szeroko. W jednym z jej kłów zaśnił maleńki rubin.

–O tak, bardzo dobrzy – odparła. – Najlepsi.

Cyngiel Salon Tatuażu „Kleks”

śródmieście Chicago

Łapeć McGuire kazał sobie zrobić tatuaż. Sam wymyślił wzór – trupa czaszkę w kształcie asa pik – z którego był bardzo dumny, tak dumny, że zażądał, by zrobiono mu go na szyi. Jednak Tusz Burton, tatuażysta, zdołał skłonić Łapcia, aby odstąpił od tego zamiaru. Dla gliniarzy szukających podejrzanego, tłumaczył, tatuaż jest lepszym znakiem rozpoznawczym niż tabliczka z nazwiskiem. Łapeć ustąpił.

–Okej – powiedział. – Umieść go na przedramieniu.

Po każdej robocie przybywał mu jeden tatuaż i zostało mu już niewiele skóry w naturalnym kolorze. Łapeć McGuire był naprawdę dobrym fachowcem.

Pochodził z irlandzkiego miasta Kilkenny, a jego prawdziwe imię brzmiało Alojzy. Ksywkę Łapeć sam sobie wymyślił, uważał bowiem, że brzmi ona bardziej mafijnie. Przez całe życie chciał być mafiosem, takim jak w kinie, lecz gdy jego próby założenia mafii celtyckiej spełzły na niczym, postanowił przyjechać do Chicago.

Mafia chicagowska przyjęła go z otwartymi ramionami: prawdę mówiąc, jeden z goryli po prostu zmiażdżył go w niedźwiedzim uścisku. Kiedy jednak Łapciowi udało się wysłać owego faceta i sześciu jego kumpli do Szpitala Matki Miłosierdzia, osiem godzin po wyjściu z samolotu znalazł się na mafijnej liście płac. Nieźle, jak na kogoś, kto ma 152 cm wzrostu.

Dwa lata i kilkanaście robót później uchodził za czołowego cyngla organizacji. Specjalizował się w napadach i odzyskiwaniu długów – niezwykle zajęcie dla korniszonów, mierzących półtora metra. Ale też Łapeć nie był zwykłym korniszonem.

Teraz wyciągnął się wygodnie w fotelu tatuażysty.

–Podobają ci się moje buty, co, Tusz?

Tusz zamrugał; pot zalewał mu oczy. Z Łapciem trzeba było uważać. Za najniewinniejszym pytaniem mogła się kryć pułapka. Jedna niewłaściwa odpowiedź i człowiek musiał się tłumaczyć przed świętym Piotrem.

–Tak, bardzo ładne. Jak się nazywają?

–Łapcie! – wykrzyknął maleńki gangster. – Łapcie, idioto. To mój znak firmowy.

–Aa, łapcie. Zapomniałem. Masz znak firmowy, super.

Łapeć sprawdził, jak się posuwa praca nad jego ramieniem.

–Weźmiesz się wreszcie do roboty?

–Już, już – odparł Tusz. – Skończyłem właśnie nanosić kontury. Muszę tylko zmienić igłę.

–Ale nie będzie bolało?

Pewnie, że będzie, kretynie, pomyślał Tusz. Przecież wbiję ci igłę w rękę.

–Nie bardzo – rzekł uspokajająco. – Posmarowałem skórę środkiem znieczulającym.

–Lepiej, żeby nie bolało – ostrzegł go Łapeć. – Bo inaczej zaraz ciebie coś zaboli.

Nikt z wyjątkiem Łapcia McGuire nie ośmieliłby się grozić Tuszowi. Tusz wykonywał wszystkie mafijne tatuaże. Był najlepszy w całym stanie.

Nagle drzwi otworzyły się i stanęła w nich Carla Frazetti. Elegancka, czarno ubrana, stanowczo nie pasowała do obscurnego lokalu.

–Czołem, chłopaki.

–Czołem, panno Carlo – odparł Tusz, rumieniąc się głęboko. W „Kleksie” rzadko widywało się panie.

Łapeć poderwał się na nogi. Nawet on szanował chrześniaczkę szefa.

–Panna Frazetti? Mogła mnie pani wywołać przez pager. Niepotrzebnie przychodziła pani do tej dziury.

–Nie ma na to czasu. Sprawa jest pilna. Wyjeżdżasz natychmiast.

–Wyjeżdżam? A dokąd?

–Do Irlandii. Twój wuj Pat się rozchorował.

–Wuj Pat? Nie mam żadnego wuja Pata.

Carla niecierpliwie tupnęła nogą, obutą w szpilkę.

–Łapeć, twój wuj jest poważnie chory, kojarzysz? Łapeć skojarzył.

–A, rozumiem. Muszę go odwiedzić.

–Właśnie. Taki jest chory. Łapeć starł tusz ścierką z ramienia.

–Dobra, jestem gotowy. Jedziemy prosto na lotnisko?

–Zaraz, zaraz, Łapeć – powstrzymała Carla małego gangstera. – Musimy najpierw wstąpić po twojego brata.

–Ale ja nie mam brata – zaprotestował Łapeć.

–Jasne, że masz. To ten, który ma klucze do domu wuja Pata. Prawdziwa małpa z niego.

–Aa – pojął Łapeć. – Ten.

Jadąc z Carla limuzyną na East Side, Łapeć nadal nie mógł się nadziwić wielkości amerykańskich budynków. W Kilkenny domy były co najwyżej czteropiętrowe, a sam Łapeć przez większość życia mieszkał w podmiejskim bungalowie. Oczywiście, nigdy by się do tego nie przyznał przed kolegami z mafii. Na ich użytek wymyślił sobie życiorys sieroty, którego młodość upłynęła w rozlicznych poprawczakach.

–Kto robi za małpę? – zapytał.

Carla Frazetti otworzyła puderniczkę i poprawiła kruczoczarne włosy. Były krótkie i przylizane.

–Nowy nabytek. Nazywa się Mo i jest Irlandczykiem, tak jak ty. Bardzo dogodna sytuacja – żadnych wiz, dokumentów, zmyślonych historyjek. Po prostu dwóch małych facetów, jadących do domu na urlop. Łapeć cały się zjeżył.

–Co to ma znaczyć „dwóch małych facetów”? – warknął.

–Mówiłeś do kogoś, McGuire? Bo chyba nie do mnie. Nie tym tonem.

Łapeć pobladł, a przed oczami przemknęło mu całe życie.

–Przepraszam, panno Frazetti. Chodzi o mój niski wzrost – ludzie nie dają mi o nim zapomnieć.

–A czego się spodziewasz? Jak cię mają nazywać? Żyrafa? Jesteś niski, Łapeć. Przestań się przejmować. To ci daje przewagę. Mój dziadek bez przerwy powtarza, że nikt nie jest bardziej niebezpieczny niż krótki gość, który chce się sprawdzić. Dlatego dostałeś tę robotę.

–Niech będzie – westchnął Łapeć. Carla poklepała go po ramieniu.

–Głowa do góry. Wyglądasz jak olbrzym w porównaniu z kolesiem, do którego jedziemy.

Łapeć od razu nabrał animuszu.

–Naprawdę? Ile ten Mo ma wzrostu?

–Niewiele – rzekła Carla. – Nie wiem dokładnie, ale gdyby był niższy, musiałabym zmieniać mu pieluchy i wozić w wózek.

Łapeć uśmiechnął się szeroko. Robota zaczynała mu się podobać.

Małpa

Mo miewał już w życiu lepsze chwile. Niecałe cztery miesiące temu mieszkał w apartamencie w Los Angeles, mając na koncie ponad milion dolarów. Teraz na jego pieniądzach położył łapę Urząd Dochodów z Działalności Przewodzącej i Mo został zmuszony do pracy na zlecenie dla chicagowskiej mafii. A Getr Antonelli bynajmniej nie słynął z hojności. Oczywiście, można było zawsze wyjechać z Chicago i wrócić do LA, lecz tamtejsza policja powołała już grupę specjalną, która tylko czekała, aż Mo zjawi się na miejscu przestępstwa. Prawdę mówiąc, Mo Digence nie mógł już liczyć na bezpieczne schronienie ani na ziemi, ani pod jej powierzchnią – pod tym dźwięcznym nazwiskiem krył się bowiem Mierzwa Grzebaczek, krasnal kleptomani, ścigany przez wszystkie siły SKR.

Mierzwa był krasnałem tunelowym, który dawno temu uznał, że nie odpowiada mu życie w kopalni, i postanowił inaczej wykorzystać swoje talenty wydobywcze: odbierał Błotnym Ludziom cenne przedmioty i sprzedawał je na czarnym rynku wróżek. Oczywiście, wejście do siedziby innej istoty bez pozwolenia kończyło się pozbawieniem magicznej mocy, ale Mierzwa nic sobie z tego nie robił. Jako krasnal i tak nie miał owej mocy zbyt wiele, poza tym rzucanie uroków zawsze przyprawiało go o mdłości.

Krasnale posiadają kilka cech fizycznych, które czynią z nich idealnych włamywaczy. Potrafią „zdejmować” szczękę z zawiasów, co pozwala im pożerać kilka kilogramów ziemi na sekundę; z gleby ekstrahowane są minerały, a wchłonięty surowiec jest następnie wydalany drugim końcem krasnala. Wykształciły sobie również zdolność picia przez pory skóry – właściwość szczególnie przydatną w wypadku zawału w kopalni. W razie potrzeby pory działają jak przyssawki, stając się dla włamywaczy użytecznym narzędziem wspinaczki, natomiast włosy krasnali, na podobieństwo kocich wąsów, stanowią sieć żywych anten, które potrafią niemal wszystko, od łapania much do emitowania fal dźwiękowych, odbijających się od ścian tunelu.

Mierzwa uchodził za wschodzącą gwiazdę w przestępczym świecie podziemia aż do chwili, gdy z jego aktami zapoznał się komendant Juliusz Bulwa. Od tamtej pory Mierzwa spędził w więzieniu w sumie ponad trzysta lat, obecnie zaś był ścigany za kradzież kilkunastu sztabek złota z okupu, wypłaconego przez wróżki za Holly Niedużą. Nawet pod ziemią, wśród własnego ludu, nie było już dlań schronienia – musiał zatem podawać się za człowieka oraz imać się każdej pracy, którą proponowała mu chicagowska mafia.

Oczywiście, z udawaniem człowieka wiązało się pewne ryzyko. Przede wszystkim, wzrost Mierzwy przyciągał uwagę każdego, kto przypadkiem spojrział w dół. Krasnal jednak szybko odkrył, że wystarczy byle jaki pretekst – wzrost, waga, barwa skóry,

religia – a Błotni Ludzie tracą zaufanie. Wręcz bezpieczniej było jakoś się wyróżniać.

Większy problem stanowiło słońce. Krasnale są niezwykle wrażliwe na światło, a ich skóra ulega poparzeniu w niespełna trzy minuty. Na szczęście praca Mierzwy na ogół odbywała się w nocy, ale gdy czasem musiał wyjść na dwór w ciągu dnia, starannie pokrywał każdy centymetr gołej skóry trwałym blokerem przeciwsłonecznym.

Mierzwa wynajmował mieszkanie w suterenie brązowego ceglanego budynku z początków dwudziestego stulecia. Wciąż trzeba w nim było coś naprawiać, to jednak bardzo krasnalowi odpowiadało. Zerwał deski z podłogi w sypialni, a zmurszałe fundamenty przywalił dwiema tonami ziemi i kompostu. Ścian nie musiał wymieniać – już dawno rozpanoszyła się na nich wilgoć i pleśń. W przeciągu kilku godzin w pomieszczeniu rozkwitło bujne owadzie życie, a Mierzwa leżał sobie w ziemnej jamie i chwycił żuki we włosy brody. Czuł się prawie jak w domu – mieszkanie nie tylko przypominało pieczarę, lecz w razie niespodziewanej wizyty SKR pozwalało w mgnieniu oka znaleźć się pięćdziesiąt metrów pod ziemią.

W dniach, które nadeszły, krasnal często żałował, że słysząc pukanie do drzwi, nie zdecydował się na takie wyjście.

Pukanie nie ustawało. Mierzwa wygramolił się z legowiska i spojrzął w kamerę, podłączoną do domofonu. Przed drzwiami, przeglądając się w mosiężnej plakietce, poprawiała włosy Carla Frazetti.

Chrześcianeczka szefa we własnej osobie? No, no. To pewnie jakaś duża robota. Może dzięki niej on, Mierzwa, zdoła się urządzić w innym stanie? Przebywał w Chicago od prawie trzech miesięcy i wiedział, że lada dzień SKR wpadnie na jego trop. Bardzo nie chciał opuszczać Stanów Zjednoczonych; skoro już musiał mieszkać na powierzchni ziemi, pragnął mieć do dyspozycji telewizję kablową oraz mnóstwo bogaczy, których mógłby okradać.

Nacisnął przycisk domofonu.

–Chwileczkę, panno Frazetti, tylko się ubiorę.

–Pośpiesz się, Mo – zatrzeszczał w tanim głośniczku głos Carli. – Nie chcę się tutaj zestarzeć.

Mierzwa narzucił szlafrok, uszyty ze starych worków po kartoflach – faktura tkaniny, przypominająca więzienną odzież w Oaza City, dziwnie podnosiła go na duchu. Szybko przeciągnął grzebieniem po brodzie, usuwając gnieźdzące się w niej owady, po czym otworzył drzwi.

Carla Frazetti wkroczyła do pokoju i zręcznie wymijając krasnalą, opadła na jedyny fotel. W drzwiach za jej plecami ukazał się jeszcze ktoś, uprzednio niewidoczny w

polu widzenia kamery. Mierzwa odnotował sobie w myślach, żeby nieco przestawić obiektyw – w końcu mogła się tutaj zakraść jakaś wróżka, nawet bez tarczy!

Nieznajomy zmierzył krasnala wrogim spojrzeniem zmrużonych oczu. Typowe mafijne zachowanie: jakby gangster i morderca musiał zaraz być niegrzeczny!

–Nie masz drugiego krzesła? – zapytał mały człowiek, wchodząc do pokoju.

–Nie miewam wielu gości. Prawdę mówiąc, jesteście pierwsi. Zwykle Bruno po mnie dzwoni i umawiam się z klientem w chińskiej knajpie.

Bruno Ser był lokalnym kontrolerem mafii, który urzędował w miejscowej „dziupli” samochodowej. Krążyły legendy, że od piętnastu lat nie ruszył się z biurka w godzinach pracy.

–Ale masz stylowy lokal – zauważył sarkastycznie Łapeć. – Grzyb i korniki. Podoba mi się.

Mierzwa czule przeciągnął palcem po zielonym zacieku.

–Kiedy się tu wprowadziłem, ta pleśń siedziała sobie za tapetą. Zdumiewające, co ludzie potrafią trzymać pod korcem.

Carla Frazetti wyjęła z torebki flakon perfum „White Petals” i rozpyliła je w powietrzu wokół siebie.

–Dobra, dość gadania. Mo, mam dla ciebie zadanie specjalne.

Mierzwa zmusił się, by zachować spokój. To była jego wielka szansa. Może wreszcie uda mu się znaleźć jakąś miłą, wilgotną dziurę piekielną i osiąść w niej na stałe?

–A można na nim nieźle zarobić, rzecz jasna, jeśli wszystko dobrze pójdzie?

–Nie – odparła Carla. – Ale można nieźle oberwać, jeśli coś pójdzie źle.

Mierzwa westchnął. Czyżby wszyscy zapomnieli o manierach?

–Dlaczego ja?

Carla Frazetti uśmiechnęła się, błyskając w półmroku rubinem.

–Odpowiem ci, Mo. Mimo że nie zwykłam tłumaczyć się przed siłą najemną. A już z pewnością nie przed taką małpą jak ty.

Mierzwa przełknął ślinę. Czasem zapominał, jacy bezwzględni są ludzie. Ale nie na długo.

–Zostałeś wybrany dlatego, że świetnie poradziłeś sobie z van Gogiem.

Mierzwa uśmiechnął się skromnie. Alarm w muzeum stanowił dziecienną igraszkę. Nawet nie mieli psów.

–Lecz również dlatego, że masz irlandzki paszport. Pewien gnom, ukrywający się w Nowym Jorku, zdobył dla Mierzwy lewe irlandzkie papiery. Krasnal zawsze ogromnie lubił Irlandczyków, toteż postanowił zostać jednym z nich. Powinien był przewidzieć, że wynikną z tego same kłopoty.

–Robota jest w Irlandii. Gdyby nie wy, mielibyśmy problem, ale dla was to będą płatne wakacje.

Mierzwa skinął głową w stronę Łapcia.

–A ten palant to kto?

Oczy Łapcia zamieniły się w szparki. Mierzwa pojął, że wystarczy jedno słowo panny Frazetti, a ten człowiek go zabije.

–Ten palant to Łapeć McGuire, twój partner. Cyngiel. Robota jest dwuetapowa – ty otwierasz drzwi, Łapeć eskortuje towar do nas.

Eskortuje towar. Mierzwa wiedział, co oznacza to określenie, i uznał, że nie chce mieć z tą sprawą nic wspólnego. Włamania to jedno, porwanie to całkiem co innego. Ale rozumiał także, iż nie powinien wprost odmówić przyjęcia zlecenia; w końcu mógł przy pierwszej okazji porzucić cyngla i prysnąć do któregoś z południowych stanów. Podobno na Florydzie rozciągają się prześliczne bagna.

–A co to za towar? – zapytał, udając zainteresowanie.

–Nie wszyscy muszą wiedzieć – burknął Łapeć.

–Aa, niech zgadnę, znaczy, ja nie muszę?

Carla Frazetti wyjęła z kieszeni płaszcz a fotografię.

–Im mniej wiesz, tym mniejsze będziesz miał poczucie winy. To wszystko, czego ci potrzeba. Dom. Na razie mamy tylko zdjęcie, dokładniej obejrzysz go sobie na miejscu.

Mierzwa wziął fotografię do ręki. Widok, który na niej zobaczył, poraził go niczym atak gazu. Dwór Fowlów! A więc towarem był Artemis! Ten mały psychopata zamierzał porwać Artemisa!

Frazetti wyczuła zmieszanie krasnala.

–Coś nie tak, Mo?

Tylko nie daj nic po sobie poznać, pomyślał Mierzwa. Nie możesz pozwolić, żeby cokolwiek zauważyli.

–Nie. To znaczy... hrara... Niezła forteca. Widzę skrzynki alarmowe i kamery zewnętrzne. Nie będzie łatwo.

–Gdyby było łatwo, sama bym to zrobiła – ucięła Carla.

Łapeć przysunął się bliżej, patrząc na Mierzwę z góry.

–Co jest, maluchu? Za trudne dla ciebie?

Trzeba było natychmiast coś wykombinować. Jeżeli Carla Frazetti dojdzie do wniosku, że on, Mierzwa, nie nadaje się do tej pracy, to wyśle kogoś innego – kogoś, kto bez skrupułów doprowadzi mafię pod drzwi Artemisa. Ku własnemu zdumieniu zdał sobie sprawę, że nie wolno mu na to pozwolić. Irlandzki chłopiec ocalił mu życie podczas rebelii goblinów, a w dodatku był jedyną osobą, którą krasnal mógł od biedy nazwać przyjacielem – prawdę mówiąc, dość żaloszny stan rzeczy. Mierzwa musiał przyjąć zlecenie, choćby po to, by się upewnić, że nie zostanie wykonane.

–Hej, o mnie się nie martwcie. Jeszcze nie zbudowano budynku, do którego Mo nie umiałby się włamać. Mam tylko nadzieję, że Łapeć da sobie radę.

Łapeć chwycił krasnala za klapy.

–Niby co to ma znaczyć?

Mierzwa na ogół unikał obrażania ludzi, którzy mogli go zabić, tym razem jednak uznał, że nie zawadzi, jeśli od razu zacznie wyrabiać Łapciowi opinię furiata. Zwłaszcza gdyby w przyszłości trzeba było zrzucić nań winę za niepowodzenie akcji.

–Karłowata małpa, to jeszcze rozumiem, ale karłowaty cyngiel? Na pewno nadajesz się do walki wręcz?

Łapeć puścił krasnala i rozdarł koszulę, ukazując klatkę piersiową, falującą pod gobelinem tatuażu.

–Patrz, jak się nadaję. Policz te tatuże. No, policz!

Mierzwa rzucił pannie Frazetti wymowne spojrzenie. Spojrzenie to mówiło: „I ty ufasz temu kretynowi?”

–Dość tego! – warknęła Carla. – Testosteron śmierdzi tu jeszcze bardziej niż ściany! To bardzo ważne zadanie. Jeśli go nie weźmiecie, poszukam innej ekipy.

Łapeć zapiął koszulę.

–Dobrze, panno Frazetti. Poradzimy sobie. Można śmiało powiedzieć, że sprawa załatwiona.

Carla wstała, strzepując z żakietu kilka stonóg. Owady niespecjalnie jej przeszkadzały – w swoim dwudziestopięcioletnim życiu widywała gorsze rzeczy.

–Miło mi to słyszeć. Mo, ubieraj się i łap swoje narzędzia. Zaczekamy w samochodzie.

Łapeć dźgnął Mierzwę palcem w pierś.

–Pięć minut. Potem przyjdziemy po ciebie. Krasnal odprowadził ich do drzwi. Miał ostatnią szansę, żeby zwać, przegryźć się przez fundament sypialni. Zanim Carla Frazetti zorientuje się, że zniknął, będzie już siedział w pociągu jadącym na południe.

Zamyślił się. Całe przedsięwzięcie było całkowicie sprzeczne z jego naturą. Rzecz nie w tym, że miał złe usposobienie, po prostu nie zwykł pomagać innym, chyba że mógł coś na tym zyskać. A decyzja, by pomóc Artemisowi, stanowiła akt całkowicie bezinteresowny. Mierzwa aż się wzdrygnął. Tylko sumienia mu brakowało! Jeszcze trochę, a zacznie sprzedawać z harcerkami ciasteczka na cele dobroczynne!

Rozdział szósty

Natarcie na dwór Fowlów

Wyjątek z dziennika Artemisa Fowla.

Dysk 2. Zaszyfrowany

A więc ojciec wreszcie odzyskał świadomość. Oczywiście, bardzo mi ulżyło, lecz jego ostatnie słowa bez końca wirowały mi w głowie:

„Złoto nie jest takie ważne, Arry. Ani władza. We troje mamy tu wszystko, czego nam potrzeba”.

Czy to możliwe, aby ojciec przeobraził się pod wpływem magii? Musiałem się tego dowiedzieć. Postanowiłem porozmawiać z nim sam na sam, więc o trzeciej nad ranem następnego dnia kazałem Butlerowi zawieźć się wynajętym mercedesem do szpitala uniwersyteckiego w Helsinkach.

Ojciec nie spał, pogrążony w lekturze *Wojny i pokoju* przy świetle lampki nocnej.

–Jakoś to mało zabawne – mruknął.

Znowu żartował! Próbowałem się uśmiechnąć, ale mięśnie twarzy odmówiły mi posłuszeństwa.

–Spodziewałem się ciebie, Arty – rzekł, zamykając książkę. – Musimy pogadać, wyjaśnić sobie kilka spraw.

Stałem sztywno w nogach łóżka.

–Zgadzam się, ojcze.

Ojciec uśmiechnął się smutno.

–Jakiś ty oficjalny... Pamiętam, że przy swoim ojcu też się tak zachowywałem. Czasem wydaje mi się, że on w ogóle mnie nie znał. Martwię się, że z nami też tak będzie, dlatego pragnę z tobą porozmawiać. Nie o kontaktach bankowych. Nie o udziałach i akcjach. Nie o przejęciach firm. Nie chcę mówić o interesach, chcę mówić o tobie.

Tego się właśnie obawiałem.

–O mnie? Ojcze, ty tu jesteś najważniejszy.

–Możliwe, ale nie mogę być szczęśliwy, dopóki twoja matka się niepokoi.

–Niepokoi się? – zapytałem, jakbym nie pojmował, dokąd to wszystko zmierza.

–Nie udawaj niewiniątka, Artemisie. Zadzwoiłem do kilku znajomych w europejskich organach ścigania. Podobno pod moją nieobecność przejawiałaś aktywność. Dużą aktywność...

Wzruszyłem ramionami, niepewny, czy ojciec chwali mnie, czy gani.

–Jeszcze nie tak dawno twoje wyczyny zapewne by mnie rozbawiły. Co za zuchwałość u nieletniego! Ale teraz mówię jako ojciec: Arty, to się musi zmienić. Powinieneś odzyskać dzieciństwo. Życzę sobie – i twoja matka także – abyś po wakacjach wrócił do szkoły, a interesy rodzinne pozostawił mnie.

–Ależ ojcze!

–Zaufaj mi, Arty. Zajmuję się biznesem znacznie dłużej niż ty. Obiecałem mamie, że od tej chwili żaden z Fowlów nie zboczy ze słusznej drogi. Żaden. Dostałem drugą szansę i nie zamierzam jej zmarnować przez chciwość. Jesteśmy teraz rodziną. Prawdziwą rodziną. Niech od dzisiaj nazwisko Fowlów kojarzy się z honorem i uczciwością. Zgoda?

–Zgoda – odparłem, ściskając mu dłoń.

Ale przecież miałem jechać do Chicago, by zmierzyć się z Jonem Spiro! Co robić? Po zastanowieniu postanowiłem nie odstępować od planu. Jedna, ostatnia przygoda, a potem Fowlowie mogą już być rodziną. W końcu Butler będzie mi towarzyszył. Co złego mogło się stać?

Dwór Fowlów

Butler otworzył oczy. Był w domu. Na fotelu obok łóżka drzemał Artemis, który wyglądał, jakby miał sto lat. Nic dziwnego, po tym wszystkim, co przeszedł. Ale tamto życie już się skończyło. Nieodwołalnie.

–Jest tu kto? – zapytał służący.

Artemis natychmiast się ocknął.

–Butler, wróciłeś!

Butler z wysiłkiem uniósł się na łokciach. Ogromnie się przy tym zmęczył.

–Niesłychane! Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś zobaczę ciebie lub w ogóle kogokolwiek.

Artemis nalał mu wody z dzbanka przy łóżku.

–Proszę, stary przyjacielu. Leż i odpoczywaj.

Butler pił powoli. Istotnie, czuł zmęczenie, ale chodziło o coś więcej. Nie było to zwykłe znużenie walką – sięgało głębiej.

–Artemisie, co się właściwie stało? Przecież ja nie miałem prawa w ogóle pozostać przy życiu! A w każdym razie powinienem teraz odczuwać straszliwy ból!

Artemis stanął przy oknie, wychodzącym na park.

–Blunt cię postrzelił. Rana była śmiertelna, a ponieważ nie miałem pod ręką Holly, postanowiłem cię zamrozić do jej przybycia.

Butler pokręcił głową z niedowierzaniem.

–Kriogenika? Tylko Artemis Fowl mógł wpaść na coś takiego! Pewnie użyłeś zamrażarki do ryb?

Chłopiec przytaknął.

–Mam nadzieję, że nie zamieniłem się w słodkowodnego pstrąga? – zażartował Butler.

Artemis odwrócił się do przyjaciela. Na jego twarzy nie widniał nawet cień uśmiechu.

–Nastąpiły komplikacje.

–Komplikacje?

–Uzdrawianie było bardzo trudne – powiedział Artemis, zaczerpnąwszy tchu. – Nie dało się przewidzieć, co z tego wyniknie. Ogierek uprzedzał, że twój organizm może nie wytrzymać, ale uparłem się, żebyśmy spróbowali.

Butler usiadł na łóżku.

–Artemisie, wszystko w porządku. Żyję. Wszystko jest lepsze niż... ta druga możliwość.

Jednak Artemis nie był przekonany. Wyjął z szafki przy łóżku lusterko, oprawne w macicę perłową, i wręczył je Butlerowi.

–Przygotuj się na swój widok.

Służący odetchnął głęboko i spojrział. Kilkakrotnie poruszył szczęką, pomacał worki pod oczami, po czym zapytał:

–Powiedz mi, jak długo byłem nieprzytomny?

Boeing 747, nad Atlantykiem

Mierzwa uznał, że najskuteczniej powstrzyma Łapcia, dokuczając mu tak długo, aż ten zwariuje. Doprowadzanie ludzi do obłądu należało do licznych talentów krasnala; aż szkoda, że tak rzadko miewał okazję go ujawniać.

Obaj miniaturowi osobnicy siedzieli obok siebie w samolocie, obserwując przemykające pod nimi obłoki. Lecieli pierwszą klasą – praca dla Antonellich miała pewne zalety.

Mierzwa delikatnie pociągnął szampana z wysokiego kieliszka.

–A więc, Kapeć...

–Łapeć.

–Niech ci będzie, Łapeć. O co chodzi z tymi tatuażami?

Łapeć podwinął rękaw, ukazując turkusowego węża o krwistoczerwonych oczach. Kolejny projekt własny.

–Robię sobie tatuaż po każdej robocie.

–Taaak? – zdziwił się Mierzwa. – Za każdym razem, kiedy pomalujesz komuś kuchnię, przybywa ci takie coś?

–Nie o takiej robocie mówię, głupku.

–A o jakiej?

Łapeć zgrzytnął zębami.

–Mam ci narysować?

Mierzwa chwycił garść orzeszków z przenoszonej obok tacy.

–Szkoda czasu. Nie znam się na sztuce. Lepiej zwyczajnie mi powiedz.

–Niemożliwe, żebyś był aż tak głupi! Getr Antonelli nie zatrudnia kretynów!

–Jesteś pewien? – Krasnal mrugnął złośliwie. Łapeć pomacał się po koszuli w nadziei, że znajdzie jakąś broń.

–Poczekaj, aż będzie po akcji, cwaniaku. Już ja się z tobą policzę!

–Ciesz się dalej, Trzewik.

–Łapeć!

–Wszystko jedno.

Mierzwa skrył się za ulotką linii lotniczych. Poszło mu wręcz zbyt łatwo.

Gangsterowi wyraźnie puszczały nerwy – jeszcze kilka godzin w towarzystwie krasnala, a zaczną toczyć pianę z ust.

Lotnisko w Dublinie, Irlandia

Mierzwa i Łapeć bez przeszkód przeszli przez irlandzką kontrolę celną. W końcu, byli zwykłymi obywatelami, wracającymi z urlopu do domu. Czy wyglądali na dwóch mafiosów o niecznych zamiarach? Czy ktoś w ogóle słyszał, by tacy mali ludzie zajmowali się przestępczością zorganizowaną? Absolutnie nie. Być może właśnie dlatego tak dobrze im szło.

Kontrola paszportowa dostarczyła Mierzwie kolejnej okazji, aby doprowadzić partnera do furii.

Funkcjonariusz służby granicznej ze wszystkich sił starał się nie zwracać uwagi na wzrost Mierzwy, a ściślej biorąc na jego znikomość.

–A więc, panie Digence, jedzie pan do rodziny?

–Tak jest – przytaknął Mierzwa. – Rodzina mojej matki pochodzi z Killarney.

–Serio?

–Właściwie nazywają się O'Serio. Ale co tam jedna głoska między przyjaciółmi!

–Hi, hi! Niezłe. Powinien pan występować na scenie.

–Ciekawe, że pan o tym wspomina... Funkcjonariusz aż jęknął. Za dziesięć minut skończyłby zmianę...

–Prawdę mówiąc, mówiłem ironicznie... – mruknął.

–...bo pan McGuire i ja występujemy w gwiazdkowym przedstawieniu *Królewny Śnieżki*. Ja jestem Maluch, a on Gapcio.

Funkcjonariusz uśmiechnął się nieszczercze.

–Bardzo dobre. Następny.

–Oczywiście – oznajmił Mierzwa donośnie, aby usłyszała go cała kolejka – pan McGuire jest wręcz stworzony, żeby grać Gapcia. Wiecie, o co mi chodzi.

Łapeć z miejsca stracił panowanie nad sobą.

–Ty cudaku! – wrzasnął. – Zabiję cię! Zostaniesz moim następnym tatuażem! Tatuażem!

Krasnal z dezaprobatą patrzył, jak Łapeć znika, przykryty ciałami pół tuzina

ochroniarzy.

–Ach, ci aktorzy – cmoknął. – Strasznie nerwowe bractwo.

Łapcia zwolniono trzy godziny później, po rewizji osobistej i kilku telefonach do proboszcza w jego rodzinnym mieście. Mierzwa czekał nań w wynajętym samochodzie ze specjalnie podniesionymi pedałami gazu i hamulca.

–Twoje humory narażają naszą misję na niepowodzenie – oznajmił z powagą. – Jeśli nie zapanujesz nad sobą, będę zmuszony zadzwonić do panny Frazetti.

–Jedź – wychrypiał cyngiel. – Skończmy z tym wreszcie.

–Dobrze. Ale niech to będzie ostatni raz. Jeszcze jeden taki występ, a zmiążdżę ci głowę zębami.

Po raz pierwszy Łapeć zwrócił uwagę na zęby partnera. Przypominały emaliowane płyty nagrobne, ponadto było ich okropnie dużo jak na jedno usta. Czy to możliwe, by Digence naprawdę spełnił swoją groźbę? Nie, w żadnym wypadku, uznał w końcu Łapeć.

Przesłuchanie na lotnisku musiało go rozstroić. A jednak... uśmiech krasnala miał w sobie coś... jakiś błysk, świadczący o ukrytych a przerażających talentach. Talentach, które zdaniem cyngla powinny pozostać nieujawnione.

Mierzwa zajął się prowadzeniem samochodu, a Łapeć odbył kilka rozmów przez telefon komórkowy. Dzięki dawnym kontaktom bez trudu załatwił broń, tłumik i dwa zestawy słuchawek. Cały sprzęt czekał na nich w sportowej torbie, ukrytej za znakiem zjazdu z autostrady do dworu Fowlów. A ponieważ kontrahenci Łapcia przyjmowali karty kredytowe, obyło się bez zwykłych popisów i przechwałek, które na ogół towarzyszą bezpośrednim transakcjom czarnorynkowym.

Wróciwszy do samochodu, Łapeć sprawdził spust i celownik broni. Czuł, że znowu panuje nad sytuacją.

–No, Mo – zachichotał, jakby ten nieskomplikowany rym był najśmieszniejszym dowcipem, jaki mu wyszedł w życiu (co, niestety, było prawdą). – Masz już jakiś plan?

–Nie – odparł Mierzwa, nie odrywając oczu od drogi. – Myślałem, że to ty robisz za szefa. Plany to twoja działka. Ja się tylko włamuję i kradnę.

–Faktycznie, jestem szefem. I wierz mi, panicz Fowl też to przyzna, kiedy z nim skończę.

–Panicz Fowl? – zapytał niewinnie Mierzwa. – Jesteśmy tutaj z powodu jakiegoś dzieciaka?

–To nie jest „jakiś” dzieciak – paplał Łapeć wbrew wyraźnym zakazom. – To Artemis Fowl, spadkobierca przestępczego imperium Fowlów. Smarkacz ma w głowie coś, czego chce panna Frazetti, a my musimy go namówić, żeby pojechał z nami i wszystko jej opowiedział.

Mierzwa zacisnął dłonie na kierownicy. Już dawno powinien był podjąć środki zaradcze – musiał nie tylko unieszkodliwić Łapcia, lecz jakoś przekonać pannę Frazetti, że nie opłaca się wysłać następnej ekipy.

Artemis wiedziałby, co zrobić. Należało czym prędzej skontaktować się z chłopcem, zanim Łapeć go dopadnie. Mierzwie wystarczyłby telefon komórkowy i jedna wizyta w toalecie – szkoda tylko, że nigdy nie pofatygował się, by kupić aparat! Z drugiej strony, przedtem nie bardzo miał do kogo dzwonić, a w dodatku musiał uważać na Ogierka, który potrafiłby namierzyć nawet granie świerszcza.

–Trzeba zrobić zakupy – oznajmił Łapeć. – Penetracja tego gmaszyska może nam zająć kilka dni.

–Nie trzeba. Znam rozkład. Już raz, w młodości, się tam włamałem. Bułka z masłem.

–I nie wspomniałeś o tym?!

Mierzwa wykonał nieprzyzwoity gest pod adresem kierowcy ciężarówki, blokującej oba pasy.

–Wiesz, jak to jest. Pracuję na zlecenie, a kasa za robotę zależy od jej trudności. Gdybym się przyznał, że już kiedyś obrobiłem ten lokal, natychmiast obciąliby mi dziesięć tysięcy z wynagrodzenia.

Łapeć nie mógł zaprzeczyć. Mierzwa mówił prawdę. On również zawsze wyolbrzymiał problemy, byle wydusić z pracodawcy parę dolarów ekstra.

–Więc załatwisz nam wejście?

–Załatwię wejście sobie. Potem wrócę po ciebie. Łapeć z miejsca nabrał podejrzeń.

–Dlaczego nie mogę iść z tobą? To łatwiejsze niż czekanie na zewnątrz w biały dzień.

–Po pierwsze, wejdę dopiero, kiedy się ściemni. Po drugie, jasne, że możesz ze mną iść, jeśli masz ochotę czołgać się przez szambo i dziewięć metrów rury kanalizacyjnej.

Na samą myśl o tym Łapeć otworzył okno.

–Dobra. Wrócisz po mnie. Ale będziemy w kontakcie przez słuchawki. Jak coś się będzie działo, natychmiast dasz mi znać.

–Tak jest, szefie, sir – zgodził się Mierzwa, wkręcając słuchawkę do włochatego ucha i przypinając do kurtki mikrofon. – W końcu nie możesz się spóźnić na sesję zastraszania jakiegoś dzieciaka.

Sarkazm z lekkim świstem przeleciał Łapciowi mimo ucha.

–Owszem, ja tu jestem szefem – rzekł człowiek z Kilkenny. – I nie mogę przez ciebie spóźnić się na spotkanie.

Mierzwa z wysiłkiem powstrzymał brodę, która już-już, a zwinęłaby się w loki. Owłosienie krasnali jest szczególnie wrażliwe na nastroje, a zwłaszcza na wrogość, która emanowała z Błotnego Człowieka wszystkimi porami skóry. Broda Mierzwy nigdy się nie myliła – całe to partnerstwo z pewnością dobrze się nie skończy!

Krasnal zaparkował samochód pod murem posiadłości Fowlów.

–Jesteś pewien, że to tutaj? – zapytał Łapeć.

Mierzwa skierował krótki paluch w stronę misternie kutej bramy.

–Widzisz napis „Dwór Fowlów”? – Tak.

–W takim razie to chyba tutaj.

Takiej szpili nie mógł przegapić nawet Łapeć.

–Lepiej, żebyś mnie tam szybko wprowadził, bo... bo...

Mierzwa wyszczerzył doń zęby.

–Bo co?

–Bo panna Frazetti bardzo się rozzłości – dokończył Łapeć niemrawo, świadomy, że walka na riposty w stylu macho jest raczej przegrana. Jednak w duchu postanowił, że przy pierwszej nadarzającej się okazji da Mierzwie nauczkę.

–Faktycznie, nie chcemy rozzłościć panny Frazetti – przytaknął krasnal, złącząc z wysokiego siedzenia i wyciągając z bagażnika torbę ze sprzętem. Zawierała pewne niekonwencjonalne narzędzia, dostarczone mu przez znajomą wróżkę w Nowym Jorku. Mierzwa miał nadzieję, że nie będą mu potrzebne – przynajmniej jeżeli zdoła dostać się do dworu tak, jak sobie zamierzył.

Zastukał w okno od strony pasażera.

–Czego? – zapytał Łapeć, odruchowo je otwierając.

–Pamiętaj, masz tu siedzieć i czekać, aż po ciebie przyjdę.

–Wydajesz mi rozkazy?

–Ja? – uśmiechnął się Mierzwa, ukazując uzębienie w pełnej krasie. – Rozkazy? W żadnym wypadku. Łapeć nacisnął guzik, zamykający okno.

–Lepiej, żebyś mówił prawdę – mruknął, kiedy wreszcie tafla wzmocnionego szkła odgrodziła go od przeraźliwych zębów partnera.

We dworze Fowlów Butler właśnie zakończył strzyżenie i golenie. Powoli wracał do siebie – do starszego siebie.

–Kevlar, powiadasz? – powtórzył, przyglądając się ciemnej plamie na klatce piersiowej.

Artemis przytaknął.

–Podobno w ranie uwięzło kilka włókien, które powieliły się wskutek działania magii. Ogiełek twierdzi, że nowa tkanka może ci utrudniać oddychanie. Niestety, jest za cienka, by zatrzymać kulę, chyba że małego kalibru.

–To wszystko zmienia, Artemisie – rzekł Butler, zapinając koszulę. – Nie mogę cię dłużej ochraniać.

–Nie potrzebuję już ochrony. Holly ma rację: przez te moje wielkie plany zazwyczaj ktoś doznaje szwanku. Kiedy tylko rozprawimy się ze Spiem, zamierzam się całkowicie poświęcić nauce.

–Kiedy rozprawimy się ze Spiem? Mówisz, jakby wynik był przesądzony. Artemisie, Jon Spiro to bardzo niebezpieczny człowiek. Wydawało mi się, że to rozumiesz.

–Ależ tak, przyjacielu. Wierz mi, już nigdy go nie zlekceważę. Ułożyłem pewien plan, który pozwoli nam odzyskać Kostkę K i jednocześnie unieszkodliwić Spiro – oczywiście, jeśli Holly nam pomoże.

–A gdzie ona jest? Muszę jej podziękować. Kolejny raz.

Artemis zerknął przez okno.

–Poleciała dopełnić rytuału. Pewnie zgadniesz, dokąd.

Butler skinął głową. Po raz pierwszy spotkali Holly w świętym miejscu wróżek na południowym wschodzie Irlandii, gdzie elficzka oddawała się rytuałowi odnawiania magicznej mocy. Aczkolwiek Holly zapewne nie użyłaby określenia „spotkali” – jej zdaniem, słowo „uprowadzili” byłoby bliższe prawdy.

–Za niecałą godzinę powinna wrócić. Proponuję, żebyś przez ten czas odpoczął.

–Odpocznę później – pokręcił głową Butler. – Na razie muszę sprawdzić teren. Nie sądzę, by Spiro zdołał tak szybko zebrać ekipę, ale nigdy nic nie wiadomo.

Podszedł do wiszącego na ścianie ekranu, łączącego jego pokój z centralną ochroną. Artemis dostrzegł, że służący z trudem się porusza – przez tę nową tkaninę w klatce piersiowej nawet wejście na schody musiało być dlań trudne jak maraton.

Butler podzielił ekran na części, obserwując jednocześnie obraz z kilku kamer. Jeden z nich szczególnie go zainteresował.

–No, no – zaśmiał się. – Popatrz, kto wpadł, żeby się przywitać.

Artemis podszedł do ekranu. Przed kuchennym wejściem stał bardzo mały osobnik, wykonujący nader nieprzyzwoite gesty.

–Ależ to Mierzwa Grzebaczek! – zawołał chłopiec. – Oto krasnal, z którym właśnie pragnąłem się widzieć!

Butler powiększył obraz na cały monitor.

–No, no! Ale dlaczego on chce się widzieć z tobą?

Krasnal, jak zawsze skłonny do dramatyzowania, odmówił wyjaśnień przed spożyciem porządnej kanapki. Na jego nieszczęście przyrządził ją Artemis, który wyłonił się ze spiżarki, niosąc na talerzu coś, co wyglądało jak pozostałości po wybuchu bomby.

–To trudniejsze, niż się wydaje – wytłumaczył. Mierzwa rozwarł potężne szczęki i jednym kęsem pochłonął całą mieszaninę. Przez dłuższą chwilę przeżuwał, po czym włożył dłoń do ust i wyjął kawałek pieczonego indyka.

–Następnym razem daj więcej musztardy – mruknął, otrzepując kurtkę z okruchów, przy czym niechcący włączył wpięty w klapę mikrofon.

–Proszę bardzo – odparł Artemis.

–Lepiej mi podziękuj, Błotny Chłopaczku – oznajmił Mierzwa. – Przyjechałem kawał drogi z Chicago, żeby uratować ci życie. Chyba zasłużyłem na jedną podłą kanapkę?

Mam na myśli kanapkę w najluźniejszym sensie tego słowa.

–Z Chicago? Przysłał cię Jon Spiro? Krasnal pokręcił głową.

–Niewykluczone, ale nie zrobił tego osobiście. Pracuję dla rodziny Antonellich. Rzecz jasna, nie mają pojęcia, że jestem prawdziwym krasnałem z krainy wrózek; po prostu uważają mnie za najlepszego włamywacza w branży.

–Prokurator okręgowy w Chicago kiedyś wykrył powiązania Antonellich ze Spiro. Albo przynajmniej próbował.

–Mniejsza z tym. W każdym razie plan jest taki, że ja włamię się do dworu, a potem wypuszczę mojego partnera, który cię przekona, byś udał się z nami do Chicago.

–A gdzie jest teraz twój partner, Mierzwa? – zapytał Butler, opierając się o stół.

–Za bramą. Taki mały i wściekły osobnik. A tak przy okazji, wielkoludzie, cieszę się, że zastaję cię przy życiu. Po podziemiu krążyły pogłoski, że umarłeś.

–Bo umarłem – powiedział Butler, kierując się do dyżurki. – Ale już czuję się lepiej.

Łapeć wyjął z kieszeni mały notatnik, w którym zapisywał wszystkie celne odzywki, jakie jego zdaniem mogły się sprawdzić w naprawdę niebezpiecznej sytuacji. Cięte dialogi, oto znak firmowy dobrego gangstera – przynajmniej w filmach. Jął przerzucać kartki z uśmiechem rozczulenia na ustach.

„Pora zamknąć twoje konto. Na zawsze”. – Lany Ferrigamo, przekupny bankier, 9 sierpnia.

„Obawiam się, że ktoś zaraz wymaże ci zawartość twardego dysku”. – David Spinsky, haker komputerowy, 23 września.

„Robię to dla sałaty”. – Morty Zieleniak, 17 lipca.

Doskonały materiał. Być może on, Łapeć, kiedyś napisze pamiętniki...

Nadal cicho chichotał, gdy w słuchawce rozległ się głos Mo. Najpierw Łapeć uznał, że mała zwraca się do niego, lecz zaraz zorientował się, że jego „partner” opowiada wszystko „towarowi”.

„Powinieneś mi podziękować, Błotny Chłopaczku – mówił Mo. – Przyjechałem kawał drogi z Chicago, żeby uratować ci życie”.

Uratować życie! Ten mały idiota Mo pracował dla drugiej strony! Co za szczęście, że zapomniał o mikrofonie!

Łapeć pośpiesznie wysiadł z wynajętego samochodu, po czym skrupulatnie go zamknął – gdyby wóz został skradziony, przepadłaby kaucja i panna Frazetti mogłaby mu ją potrącić z wynagrodzenia! Wśliznął się na teren posiadłości otwartą przez Mo furtką dla pieszych, po czym szybko ruszył aleją, kryjąc się w cieniu drzew.

W jego uchu wciąż rozbrzmiewał głos Mo. Zdrajca właśnie wyjawiał chłopakowi Fowlów cały plan! Nikt nawet nie zagroził mu torturami, zrobił to całkiem dobrowolnie! W jakiś sposób został podkupiony przez tego irlandzkiego dzieciaka! I wcale nie nazywał się Mo, tylko Mierzwa! Co to w ogóle za imię, Mierzwa? A w dodatku, był krasnałem z krainy wrózek! *Wszystko* wyglądało coraz dziwniej. Może te krasnale to jakiś gang? Chociaż „krasnale z krainy wrózek” to marna nazwa dla gangu. Z czymś takim raczej nie wzbudzą lęku w sercach konkurencji.

Zatopiony w rozmyślaniach gangster dreptał szpalerem eleganckich brzóz, mijając – coś podobnego! – boisko do krokieta. Dwa pawie przechadzały się dumnie brzegiem oczka wodnego. Łapeć aż parsknął. Oczko wodne, dobre sobie! Przed nastaniem „telewizyjnego ogrodnictwa” to nazywało się po prostu staw.

Właśnie się zastanawiał, gdzie może być wejście dla dostawców, gdy ujrzał tablicę: „Dostawy od tyłu”. Wielkie dzięki. Sprawdził ponownie magazynek oraz tłumik, i ruszył na palcach po żwirowym podejździe.

–Co to za zapach? – pociągnął nosem Artemis. Mierzwa wyjrzał zza drzwi lodówki.

–To niestety ja – wymamrotał, mieląc w ustach nieprawdopodobną ilość pożywienia.
– Bloker przeciwsłoneczny. Obrzydliwie pachnie, wiem o tym, ale bez niego cuchnąłbym jeszcze gorzej. Wyobraź sobie plasterki bekonu, smażące się na kamieniu w Dolinie Śmierci.

–Czarujący obrazek.

–Krasnale są stworzeniami podziemnymi – wyjaśnił Mierzwa. – Już za dynastii Paproci mieszkaliśmy we wnętrzu ziemi...

Paproć był pierwszym królem wrózek; za jego panowania ludzie i wróżki zamieszkiwali w zgodzie ziemski glob.

–...wrażliwość na światło bardzo nam utrudnia przebywanie wśród istot ludzkich. Prawdę mówiąc, mam dość takiego życia.

–Jestem do usług – rozległ się nieznajomy głos.

W drzwiach kuchni stał Łapeć, dzierżąc w dłoni bardzo duży pistolet.

Trzeba oddać Mierzwie sprawiedliwość – natychmiast oprzytomniał.

–Wydawało mi się, że kazałem ci czekać na zewnątrz.

–Owszem, ale i tak postanowiłem wejść. I co widzę? Żadnego szamba ani rury kanalizacyjnej. Za to tylne wejście otwarte na oścież.

Kiedy Mierzwa myślał, miał skłonność do zgrzytania zębami, co brzmiało, jakby ktoś ciągnął gwoździem po szkolnej tablicy.

–Ach... no... tak. Nieszczęśliwy wypadek. Wszystko doskonale się układało, niestety, napatoczył się ten chłopak. Właśnie próbuję pozyskać jego zaufanie.

–Nie wysilaj się, Mo – rzekł Łapeć. – Masz włączony mikrofon. Wszystko słyszałem. A może powinienem mówić do ciebie „Mierzwa, krasnal z krainy wrózek”?

Mierzwa przełknął na wpół przeżutą masę jedzenia. Znowu popadł w kłopoty z powodu niewyparzonej gęby, być może więc niewyparzona gęba przyjdzie mu teraz z pomocą. Jeśli rozewrze szczęki, chyba zdoła połknąć tego małego cyngla, w końcu jadał już większe sztuki. Gwałtowny wybuch krasnalowych gazów w mgnieniu oka przerzuci go przez pomieszczenie, trzeba się tylko modlić, żeby pistolet Łapcia nie wypalił.

Łapeć dostrzegł błysk w oku Mierzwy.

–No co, mały? – zadrwił, odbezpieczając broń. – Tylko spróbuj. Zobaczymy, jak daleko zajdziesz.

Artemis również gorączkowo się zastanawiał. Wiedział, że jemu samemu na razie nic nie grozi – nowo przybyły nie skrzywdzi go wbrew wyraźnym rozkazom. Ale sytuacja Mierzwy wyglądała coraz groźniej, co gorsza nikt nie mógł mu pomóc. Holly oddaliła się, by dopełnić rytuału, a sam Artemis niezbyt dobrze się sprawdzał w sytuacjach, wymagających sprawności fizycznej. Pozostawały negocjacje.

–Wiem, po co przybyłeś – zagaił. – Po tajemnicę Kostki. Wyjawię ci ją, jeśli nie zrobisz krzywdy memu przyjacielowi.

Łapeć zamachał pistoletem.

–Mały, zrobisz, co zechcę, kiedy zechcę. Może nawet popłaczesz się jak dziewczynka. To się czasem zdarza.

–A więc dobrze. Powiem ci wszystko, tylko nie strzelaj.

Łapeć pohamował uśmiech.

–Dobrze. Doskonale. Pójdiesz ze mną cicho i grzecznie, a nikomu nic się nie

stanie. Daję ci moje słowo.

Do kuchni wszedł Butler. Jego twarz lśniła od potu, oddech miał urywany i płytki.

–Sprawdziłem na monitorze – wysapał. – Samochód jest pusty, ten drugi musi być...

–Tutaj – dokończył Łapeć. – Spóźniłeś się, dziadku. Pamiętaj, żadnych gwałtownych ruchów. Kto wie, może uda ci się uniknąć zawału?

Artemis dostrzegł, jak Butler omiata spojrzeniem pokój. Szukał jakiegoś wyjścia, jakiegoś sposobu ocalenia. I być może wczorajszemu Butlerowi by się to udało, lecz dzisiejszy Butler miał piętnaście lat więcej i jeszcze nie doszedł do siebie po magicznej operacji. Sytuacja stawała się rozpaczliwa.

–Mógłbyś związać pozostałych – próbował przekonywać Artemis – i zabrać mnie ze sobą.

Łapeć palnął się w czoło.

–Nie do wiary, znakomity pomysł! – zawołał szyderczo. – A może zgodziłbym się na jakąś inną taktykę opóźniającą, przecież kompletny amator ze mnie, no nie?

Nagle poczuł na plecach cień. Odwrócił się błyskawicznie. W progu stała dziewczyna. Kolejny świadek! Nie ma co, Carla Frazetti nieźle zapłaci za te dodatkowe robótki! Ktoś tu nie przemyślał roboty do końca!

–Dobra, panienko – powiedział. – Marsz do pozostałych. Tylko nie rób głupstw.

Dziewczyna przy drzwiach odrzuciła włosy na plecy i zamrugła błyszczącymi, zielonymi powiekami.

–Na ogół nie robię głupstw – oznajmiła, po czym niemal niedostrzegalnie musnęła pistolet Łapcia, wyjmując zeń magazynek. Broń zamieniła się w bezużyteczny kawał żelastwa, przydatny jedynie do wbijania gwoździ.

Łapeć szarpnął się do tyłu.

–Hej! Uważaj! To prawdziwy pistolet! Mógłbym cię niechcący postrzelić! – Tak mu się przynajmniej wydawało. – Cofnij się, mała – rzekł, nadal wymachując nieszkodliwą już bronią. – Nie będę dwa razy powtarzał.

Julia podsunęła mu magazynek pod nos.

–Bo co? Zastrzelisz mnie?

Gangster wpatrzył się w metalowy prostokąt tak intensywnie, że aż zrobił zeza.

–Hej, co to...

Julia pchnęła go w pierś tak mocno, że upadł z trzaskiem na barenk śniadaniowy.

Mierzwa w osłupieniu gapił się na ogłuszonego mafiosa. Potem spojrział na dziewczynę przy drzwiach.

–Słuchaj, Butler, niech zgadnę. To chyba twoja siostra...!

–Rzeczywiście – odparł ochroniarz, ściskając Julię. – Jak, u licha, na to wpadłeś?

Rozdział siódmy

Najlepsze plany

Dwór Fowlów

Przyszła pora na naradę. Tego wieczoru cała grupa zasiadła w sali konferencyjnej przed dwoma monitorami, przyniesionymi przez Julię z dyżurki. Ogierek, który dostroił się do ich częstotliwości, występował na żywo razem z komendantem Bulwą.

Ku swemu wielkiemu niezadowoleniu Mierzwa również był obecny na spotkaniu. Trochę się zasiedział, próbując wyłudzić od Artemisa jakąś nagrodę, kiedy wróciła Holly i przykuła go do krzesła.

Ekran zasnęła mgiełka dymu z grzybowego cygara Bulwy.

–Wygląda na to, że mamy cały gang w komplecie – powiedział po angielsku, korzystając z właściwego wróżkom daru języków. – A ja nie lubię gangów.

Holly postawiła mikrofon na środku stołu, w zasięgu wszystkich uczestników narady.

–Mogę wyjaśnić, panie komendancie.

–Ooo, założę się, że możesz. Ale mam dziwne przeczucie, że twoje wyjaśnienie w ogóle mnie nie przekona, a twoja odznaka wyląduje w mojej szufladzie jeszcze przed końcem zmiany.

–Ależ komendancie – próbował interweniować Artemis. – Holly, to znaczy kapitan Nieduża, znalazła się tutaj tylko dlatego, że ją oszukałem.

–Doprawdy? A może łaskawie mi powiesz, dlaczego wciąż tam siedzi? Jemy sobie obiadek, co?

–Nie pora na sarkazm, komendancie! Mamy tu poważny problem. Możliwe, że katastrofę.

Bulwa wypuścił kłąb zielonkawego dymu.

–Co wy, ludzie, robicie ze sobą, to wasza sprawa. Ale my nie jesteśmy twoją prywatną policją, Fowl.

Ogierek odchrząknął.

–Chcąc nie chcąc, zostaliśmy w to zamieszani. To Artemis nas wypingował. I na tym nie koniec, Juliuszu.

Bulwa uważnie popatrzył na centaura. Ogierek zwrócił się doń po imieniu, co oznaczało, że sytuacja jest poważna.

–Dobrze, kapitanie – westchnął. – Referujcie. Holly włączyła ręczny komputer.

–W związku z odebrany wczoraj zapisem systemu ostrzegawczego Strażnik ustaliłam, że nadawcą sygnału był Artemis Fowl, Błotny Człowiek, znany SKR z roli, jaką odegrał w tłumieniu powstania B'wa Kell. Współpracownik Fowla, niejaki Butler, został śmiertelnie ranny w zamachu, zleconym przez innego Błotnego Człowieka, Jona Spiro. Fowl poprosił mnie o pomoc przy uzdrawianiu Butlera.

–Odmówiłaś, rzecz jasna, po czym zgodnie z przepisami wezwałaś ekipę techniczną, żeby dokonała wymazania pamięci.

Holly mogłaby przysiąc, że ekran się rozgrzał.

–Nie. Biorąc pod uwagę pomoc, której udzielił nam Butler podczas rebelii goblinów, przeprowadziłam zabieg uzdrawiania, po czym przetransportowałam Fowla i Butlera do ich miejsca zamieszkania.

–Powiedz chociaż, że nie leciałaś...

–Nie miałam wyjścia. Owinęłam ich w folię. Bulwa potarł skronie.

–Stopa... – jęknął. – Wystarczy, że któremuś wystawała choćby stopa, a jutro nasze zdjęcia znajdą się w całym Internecie! Holly, dlaczego mi to robisz?

Holly milczała. Cóż mogła odpowiedzieć? – Jeszcze nie skończyłam – rzekła wreszcie. – Zatrzymaliśmy pracownika Spiro. Paskudny typ.

–Widział cię?

–Nie. Ale słyszał, jak Mierzwa mówił, że jest krasnalem z krainy wrózek.

–Nie ma problemu – powiedział Ogierek. – Zatrzyj mu pamięć i wyślij do domu.

–To nie takie proste. Ten człowiek to zabójca. Mogą go znów przysłać, żeby dokończył dzieła. Trzeba go gdzieś przemieścić. Wierście mi, nikt nie będzie za nim tęsknił.

–Okej – rzekł Ogierek. – Uśpij go i zatrzyj mu pamięć, usuwając wszystko, co mogłoby uruchomić wspomnienia. Potem wyślij go gdzieś, gdzie nie będzie nikomu szkodził.

Komendant zaciągnął się kilkakrotnie, żeby się uspokoić.

–Dobra, teraz opowiedz mi o tym sygnale. Skoro stoi za nim Fowl, to chyba możemy odwołać alarm?

–Nie. Ludzki biznesmen Jon Spiro ukradł Artemisowi wytwór technologii wrózek.

–Który Artemis ukradł nam – wtrącił Ogierek.

–Ten typ Spiro postanowił odkryć tajniki owej technologii. Wszystko mu jedno, jakim sposobem tego dokona.

–A kto zna te tajniki? – zapytał Bulwa. – Jedyłą osobą, która potrafi uruchomić Kostkę K, jest Artemis.

–Może mi wyjaśnisz, co to takiego? Ogierek postanowił wtrącić się do rozmowy.

–Artemis zdołał sklecić mikrokomputer ze starego sprzętu SKR. Pod ziemią byłby to już przeżytek, ale wedle tutejszych standardów wyprzedza on rozwój ludzkiej techniki o jakieś pięćdziesiąt lat.

–I dlatego wart jest fortunę – dokończył komendant.

–I dlatego wart jest niewyobrażalną fortunę – potwierdził Ogierek.

Mierzwa nagle nadstawił ucha.

–Fortunę? Jaką fortunę?

Bulwa z ulgą odkrył, że jest ktoś, na kogo może nawrzeszczeć.

–Zamknijcie się, skazany! To nie wasza sprawa! Cieszcie się ostatnimi haustami powietrza na wolności! Jutro o tej porze będziecie się witać z kumplem spod celi. Mam nadzieję, że to będzie troll! Mierzwa wcale się nie przejął.

–Dajże spokój, Juliuszu. Ratuję ci skórę za każdym razem, kiedy wynika jakaś sprawa z Fowlem. Wygląda na to, że żaden plan, który wysmaży Artemis, nie obejdzie się bez mojego udziału. Pewnie znów przypadnie mi jakieś kretyńsko niebezpieczne zadanie.

Twarz Bulwy zmieniła barwę z różowej na buraczkową.

–Artemisie? Chcesz wykorzystać skazanego w swoich planach?

–To zależy.

–Od czego?

–Od tego, czy użyczysz mi Holly.

Głowa Bulwy zniknęła za gęstą chmurą dymu. Rozżarzony koniuszek cygara nadawał mu wygląd pociągu, wynurzającego się z tunelu. Smugi dymu przedostały się nawet na ekran Ogierka.

–Czarno widzę – mruknął centaur. Bulwa wreszcie zdołał się jakoś opanować.

–Mam ci użyzyć Holly? – wysapał. – Bogowie, dajcie mi cierpliwość! Masz pojęcie, ile formalności zlekceważyłem tylko po to, żeby wziąć udział w tej konferencji?

–Wyobrażam sobie, że całkiem sporo.

–Całe stosy, Artemisie! Stosy! W ogóle bym z tobą nie rozmawiał, gdyby nie ta sprawa z B'wa Kell! Jeżeli wieść o naszym spotkaniu wydostanie się na zewnątrz, skończę jako nadzorca oczyszczalni ścieków w Atlantydzie!

–Chyba nie powinienem tego słuchać – Mierzwa puścił oko do ekranu.

Komendant nie zwrócił na niego uwagi.

–Masz pół minuty, Artemisie. Przekonaj mnie. Artemis podniósł się i stanął przed ekranem.

–Spiro ma sprzęt wrózek. Mało prawdopodobne, że będzie umiał go wykorzystać, ale jego naukowcy mogą wpaść na trop technologii jonowej. Ten człowiek to megaloman, niezanujący ani życia, ani środowiska. Kto wie, jaką upiorną maszynę skonstruuje dzięki waszej technice? Istnieje także realna możliwość, że nowy sprzęt doprowadzi go do odkrycia Oazy. Jeśli do tego dojdzie, to życie każdej istoty na powierzchni ziemi, a także pod nią, będzie zagrożone.

Bulwa odjechał z fotelem poza zasięg kamery, po czym pojawił się na monitorze Ogierka i zaczął coś szeptać centaurowi do ucha.

–Marnie to wygląda – rzekła Holly. – Już się widzę na następnym promie do domu.

Artemis zabębnił palcami o stół. Nie wyobrażał sobie, w jaki sposób zdoła stawić czoło panu Spiro bez pomocy wrózek.

Po kilku chwilach komendant znów pojawił się na swoim ekranie.

–Sprawa jest poważna. Nie możemy ryzykować, że kolejny sygnał tego Spiro nas namierzy. Może to niezbyt prawdopodobne, ale nadal możliwe. Trzeba zorganizować oddział infiltracyjny. Grupę Odzysku z pełnym wyposażeniem.

–Z pełnym wyposażeniem? – wykrzyknęła Holly. – W terenie miejskim? Komendancie, przecież pan wie, jacy są ci z Odzysku. Może dojść do katastrofy. Proszę, niech mi pan pozwoli spróbować!

Bulwa popadł w zadumę.

–Zatwierdzenie operacji potrwa dwie doby. Tyle mogę ci dać – powiedział wreszcie. – Przez dwa dni będę cię krył, ale Ogierka nie dostaniesz. I bez tego będzie miał pełne ręce roboty organizacyjnej. Jeśli Grzebaczek zechce się włączyć, proszę bardzo, to jego wybór. Mogę mu darować kilka zarzutów o włamanie, ale i tak grozi mu pięć do dziesięciu za kradzież złota. Nic więcej nie mogę zrobić. Jeśli ci się nie uda, na scenę wkroczy oddział Odzysku.

Artemis zastanawiał się tylko chwilę.

–Dobrze.

–Ale pod jednym warunkiem. – Bulwa zaczerpnął tchu.

–Tego się spodziewałem – rzekł Artemis. – Chcecie zatrzeć mi pamięć. Zgadza się?

–Tak jest, Artemisie. Stałeś się dla nas poważnym zagrożeniem. Skoro mamy ci pomagać w tej sprawie, ty i twoi ludzie musicie się poddać zatarciu pamięci.

–A jeśli nie?

–To przejdziemy od razu do planu B, lecz i tak zatrzemy ci pamięć.

–Bez urazy, komendancie, ale istnieje pewna kwestia techniczna...

–Są dwa rodzaje zatarcia – wtrącił się Ogierek. – Zatarcie totalne, które eliminuje wszystkie wspomnienia z danego okresu. Holly mogłaby je wykonać za pomocą sprzętu, który ma w torbie. Oraz zatarcie selektywne, które usuwa tylko niektóre wspomnienia. To procedura specjalistyczna, która wszakże redukuje niebezpieczeństwo obniżenia IQ. Wszyscy zostaniecie poddani zatarciu selektywnemu; równocześnie odpalę w waszym komputerze bombę informacyjną, automatycznie wymazującą wszystkie pliki dotyczące wróżek. Będzie mi też potrzebne twoje zezwolenie na przeszukanie domu na wypadek, gdyby gdzieś walały się jakieś pamiętki. Praktycznie rzecz biorąc, następnego dnia po tej operacji obudzicie się, nie wiedząc nic o Małym Ludzie.

–Mówisz o prawie dwóch latach wspomnień.

–Nie odczujesz ich braku. Twój mózg wymyśli coś nowego, żeby wypełnić luki.

To była trudna decyzja. Z jednej strony, wiedza o Małym Ludzie stanowiła sporą część psychiki Artemisa. Z drugiej strony, chłopiec nie mógł dłużej ryzykować cudzego życia.

–Niech będzie – rzekł w końcu. – Akceptuję waszą propozycję.

Bulwa cisnął cygaro do najbliższej spalarki.

–Doskonale. Umowa stoi. Kapitan Nieduża, proszę, żebyście o każdej porze mieli otwarte łącze komunikacyjne.

–Tak jest, sir.

–Holly...

–Tak, komendancie?

–Tym razem uważaj. Twoja kariera nie wytrzyma kolejnego ciosu.

–Zrozumiano, sir.

–Skazany? Mierzwa westchnął:

–Pewnie chodzi ci o mnie, Juliuszu?

–Mierzwa, to koniec. – Bulwa zrobił srogą minę. – Już nam nie uciekniesz, więc przygotuj się mentalnie na zimne żarcie i twarde ściany.

Mierzwa stanął tyłem do ekranu. Jakimś sposobem klapka w jego specjalnych tunelowych portkach odpięła się samoistnie, ukazując komendantowi uroczą panoramę krasnalowego siedzenia. W świecie wróżek, podobnie jak w większości kultur, pokazanie komuś zadka stanowiło ostateczną obelgę.

Komendant Bulwa rozłączył się raptownie. Po takim afrontie nie miał już nic do powiedzenia.

Afryka Wschodnia na zachód od Wajir,

Kenia

Łapcia McGuire'a obudził obezwładniający ból głowy. Był tak dotkliwy, że gangster uznał za swój obowiązek wymyślić jakieś obrazowe porównanie: Kto wie, może będzie musiał kiedyś opisać, co czuje? Odnosił wrażenie – zdecydował w końcu – że po jego głowie miota się wściekły jeżozwierz. Niezłe, pomyślał. Powinien umieścić to w jakiejś książce.

Ale za chwilę zastanowił się: a co to jest książka? I zaraz potem: kim ja jestem? Buty? Mam coś wspólnego z butami?

Dzieje się tak za każdym razem, gdy osoba z wszczepioną pamięcią odzyskuje świadomość. Stara tożsamość ociąga się przez moment, usiłując utrzymać się w siodle, po czym zostaje zatarta przez bodźce zewnętrzne.

Łapeć usiadł. Jeżozwierz miotnął się jak oszalały, wbijając igły w każdy centymetr kwadratowy miękkiej tkanki mózgowej.

–Och! – jęknął Łapeć, chwytając się za obolałą czaszkę. Co to wszystko znaczy? Gdzie się znajduje? I jak się tu dostał?

Spojrzał na swoje ramiona. Przez sekundę mózg siłą inercji wyświetlał tatuaż na jego skórze, lecz obraz szybko zbladł. Skórę miał bez skazy, oślepiający blask słońca sphywał po niej niczym błyskawica.

Wokół rozciągała się sawanna. Równina barwy terakoty ginęła w cieniu dalekich wzgórz koloru indygo. Spalona, spękana ziemia migotała zalana złocistym światłem słońca. Dwie ludzkie postaci zniekształcone falami gorącego powietrza zbliżały się doń biegiem, wytworne niczym gepardy.

Przybysze byli gigantyczni, z pewnością ponad dwumetrowi. Mieli owalne skórzane tarcze, smukłe włócznie oraz telefony komórkowe. Ich włosy, uszy i szyje zdobiły wielobarwne paciorki.

Łapeć poderwał się na równe nogi. Obute, jak zauważył, w sandały. Nieznajomi nosili sportowe buty Nike.

–Ratunku! – zawołał. – Pomóżcie!

Mężczyźni zboczyli z kursu i podbiegli do małego gangstera.

–*Jambo*, bracie. Zgubiłeś się? – zapytał jeden z nich.

–Przepraszam – odparł Łapeć w najczystszy suahili. – Nie mówię suahili.

Człowiek zerknął na towarzysza.

–Rozumiem. A jak się nazywasz?

–Łapeć – odrzekł mózg Łapcia. – Nuru – powiedziały jego wargi.

–Cóż, Nuru. *Unatoka wapi?* Skąd pochodzisz? Słowa opuściły usta Łapcia, zanim zdążył je powstrzymać.

–Nie wiem, skąd pochodzę, ale chcę iść z wami. Do waszej wioski. Tam, gdzie powinienem się znaleźć.

Kenijscy wojownicy przyrzeli się maleńkiemu obcemu. Miał niewłaściwy kolor, ale robił wrażenie zdrowego na umyśle.

Wyższy wojownik odpiął telefon od pasa z lamparciej skóry i wystukał numer wodza wioski.

–*Jambo*, szefie, tu Bobby. Duchy ziemi znów nam kogoś podrzuciły. – Roześmiał się, mierząc Łapcia wzrokiem. – Owszem, jest maleńki, ale wygląda na silnego, a uśmiech ma szerszy niż obrany banan.

Łapeć uśmiechnął się jeszcze szerzej, na wypadek gdyby to miało jakieś znaczenie. Z niewiadomego powodu najbardziej na świecie pragnął udać się do wioski i prowadzić produktywne życie.

–Okej, szefie, przyprowadzę go. Może mieszkać w starej chacie misjonarza.

Bobby przypiął telefon do pasa.

–Dobrze, bracie Nuru. Możesz pójść z nami. Postaraj się nadążyć.

Wojownicy ruszyli różnym truchtem. Łapeć, odtąd znany jako Nuru, pognął za nimi, klapiąc sandałami. Doprawdy, będzie musiał zdobyć jakieś adidas.

Pięćdziesiąt metrów nad jego głową kapitan Nieduża nagrywała całe zdarzenie pod osłoną tarczy.

–Relokacja zakończona – powiedziała do mikrofonu w kasku. – Obiekt zaadaptował się prawidłowo. Brak śladów pierwotnej osobowości. Ale na wszelki wypadek będziemy go co miesiąc kontrolować.

–Doskonale, pani kapitan – rzekł Ogierek z drugiej strony. – Jak najszybciej wracaj do portu promowego E77. Jeśli dodasz gazu, jeszcze załapiesz się na wieczorny

wahadłowiec. Za dwie godziny będziesz w Irlandii.

Holly nie trzeba było dwa razy powtarzać – rzadko dostawało się zezwolenie na szybki przelot. Uruchomiła radar ostrzegający przed jastrzębiami, po czym włączyła stoper na przyłbicy kasku.

–A teraz – oznajmiła – zobaczymy, czy zdołamy pobić rekord prędkości przelotu.

Rekord, który osiemdziesiąt lat wcześniej ustanowił niejaki Juliusz Bulwa.

Część II

Kontratak.

Rozdział ósmy

Ubrany jak dziecko

Wyjątek z dziennika Artemisa Fowla.

Dysk 2. Zaszifrowany

Dzisiaj ojciec miał pierwszą przymiarkę protezy. Przez cały czas żartował, jakby brano zeń miarę na nowy garnitur u krawca na Grafton Street. Przyznaję, że udzielił mi się jego dobry humor, toteż zacząłem odruchowo szukać pretekstu, żeby usiąść w kącie szpitalnego pokoju i po prostu cieszyć się jego obecnością.

Nie zawsze tak było. Kiedyś, żeby odwiedzić ojca, trzeba było mieć istotny powód. Oczywiście, nie każdy mógł do niego wejść, a jeśli nawet, to tylko na czas ograniczony – do gabinetu Fowla seniora nie wpadało się bez przyczyny. A teraz czułem, że miło mu mnie widzieć. Było to przyjemne uczucie.

Ojciec zawsze lubił wygłaszać różne sentencje, ale teraz miały one charakter filozoficzny, a nie finansowy. W dawnych czasach zwróciłby moją uwagę na najnowsze notowania akcji w „Financial Times”.

„Spójrz, Artemisie – powiedziałaby. – Wszystko inne spada, a cena złota pozostaje niezmienna. To dlatego, że nie wystarcza go dla wszystkich. I nigdy nie wystarczy. Kupuj złoto, chłopcze, i dobrze je zabezpiecz”.

Lubiłem słuchać tych pereł mądrości, choć coraz trudniej było mi je zrozumieć.

Trzy dni po odzyskaniu przez ojca przytomności zasnąłem na jego łóżku, gdy uczył się chodzić. Obudziło mnie jego uważne spojrzenie.

–Wiesz, co ci powiem, Arty? – zagadnął. Kiwnąłem głową, niepewny, czego się spodziewać.

–W niewoli dużo rozmyślałem o swoim życiu, o tym, jak je marnowałem, gromadząc bogactwo bez względu na koszty, ponoszone przez moją rodzinę i otoczenie. Człowiek ma w życiu niewiele okazji, żeby coś zmienić. Zrobić to, co należy. Zostać bohaterem, jeśli chcesz. Zamierzam włączyć się do tej walki.

Nie takie mądrości przyzwyczailem się słyszeć od ojca. Czy to jego prawdziwa osobowość dawała o sobie znać, czy też była to sprawka magii wróżek? A może jedno i drugie?

–Nigdy się w nic nie angażowałem. Zawsze mi się wydawało, że świata nie da się zmienić. – Spojrzenie ojca stało się intensywne, oczy zapłonęły pasją. – Ale teraz jest inaczej. Zmieniła się moja hierarchia wartości. Zamierzam chwycić chwilę, być bohaterem, jak przystoi każdemu ojcu. – Usiadł na łóżku obok mnie. – A ty, Arty? Czy ruszysz ze mną w tę podróż? Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, czy zaryzykujesz, aby zostać bohaterem?

Nie wiedziałem, jak zareagować. Nie znałem odpowiedzi. Nadal jej nie znam.

Dwór Fowlów

Artemis zamknął się na dwie godziny w gabinecie, gdzie zasiadł po turecku w pozycji medytacyjnej, której nauczył go Butler. Od czasu do czasu przychodził mu do głowy jakiś pomysł, który natychmiast nagrywał na stojący przed nim, aktywowany dźwiękiem magnetofon. Butler i Julia wiedzieli, że nie wolno przerywać tego procesu, mającego kluczowe znaczenie dla powodzenia całej akcji. Był to stan graniczący ze snem, podczas którego Artemis umiał wyobrazić sobie hipotetyczną sytuację i ocenić jej prawdopodobne zakończenia. Każde zakłócenie mogło zerwać tok myśli chłopca niczym pajęczynę.

W końcu Artemis zmęczony, lecz zadowolony, ukazał się w drzwiach, niosąc trzy zapisane płyty CD.

–Chcę, żebyście zapoznali się z tymi plikami – powiedział. – Zawierają szczegółowe opisy waszych zadań. Kiedy nauczycie się ich na pamięć, zniszczcie płyty.

–CD? – zdziwiła się Holly, biorąc odeń płyty. – Jakież to malownicze. Mamy w muzeum kilka sztuk.

–Możecie skorzystać z komputerów w gabinecie – ciągnął Artemis.

–Dla mnie nic nie masz? – zapytał Butler, stojący z pustymi rękami.

Artemis zaczekał, aż pozostali odejdą.

–Dla ciebie mam instrukcje ustne – wyjaśnił. – Nie chcę ryzykować, że Ogierek odnajdzie je na moim komputerze.

Butler westchnął głęboko i opadł na fotel przy kominku.

–Nie idę z wami, prawda?

–Nie, przyjacielu. Ale twoje zadanie jest równie ważne – odparł Artemis, przysiadając na poręczy.

–Artemisie, doprawdy – powiedział Butler. – Dzięki temu, co zaszło, jakoś ominął mnie kryzys wieku średniego. Nie musisz wymyślać dla mnie zajęcia, żebym czuł się użyteczny.

–Butler, daj spokój. Powierzam ci niezwykle istotne zadanie, dotyczące zatarcia pamięci. Jeśli mój plan się nie powiedzie, nic nie uchroni nas przed tym zabiegiem. Nie wiem, jak mógłbym wpłynąć na samą procedurę, jednak bardzo bym chciał, aby coś – cokolwiek – uchowało się z przeszukania, któremu podda nas Ogierek. Coś, co

później wyzwoli w nas wspomnienie Ludu. Ogierek kiedyś mi wyznał, że dostatecznie silny bodziec potrafi całkowicie przywrócić pamięć.

Butler z grymasem zmienił pozycję w fotelu. Klatka piersiowa wciąż mu dokuczała. Właściwie, nic dziwnego – przecież żył zaledwie od niespełna czterech dni.

–Masz jakieś pomysły?

–Musimy skierować Ogierka na fałszywy trop. On tego oczekuje.

–Oczywiście. Na przykład plik ukryty na serwerze. Mógłbym wysłać do nas e-maila, ale go nie odbierać.

Kiedy pierwszy raz po zatarciu sprawdzimy pocztę, otrzymamy całą przesyłkę.

Artemis wręczył ochroniarzowi złożoną kartkę formatu A4.

–Niewątpliwie zamesmeryzują nas i przesłuchają. Dawniej ukrywaliśmy się przed siłą mesmeryzacji za okularami odblaskowymi, ale tym razem to nie przejdzie. Musiałem wymyślić coś innego. Oto instrukcje.

Butler przyjrzał się planom.

–To się da zrobić. Mam znajomego w Limerick. Najlepszy człowiek w kraju do takiej specjalistycznej roboty.

–Znakomicie – rzekł Artemis. – A potem nagraj na płytę wszystko, co wiemy o Małym Ludzie. Dokumenty, filmy, schematy, wszystko. I nie zapomnij o moim dzienniku. Opisałem w nim całą historię.

–A gdzie schowamy płytę? Artemis zdjął z szyi medalion wróżek.

–Moim zdaniem, ma podobny rozmiar. Jak sądzisz?

Butler wsunął złotą ozdobę do kieszeni kurtki. – Jeśli nie, to zaraz będzie miał.

Butler przygotował posiłek. Nic wymyślnego: wegetariańskie naleśniki, risotto z grzybów i krem karmelowy na deser. Mierzwa poprosił o wiaderko krojonych dżdżownic i żuków duszonych w wodzie deszczowej z sosem winegret na mchu.

–Czy wszyscy przejrzeni pliki? – zapytał Artemis, gdy zasiedli już w bibliotece.

–Tak – odparła Holly. – Ale brakuje mi kilku kluczowych fragmentów.

–Nikt nie zna całego planu, tylko te części, które go bezpośrednio dotyczą. Uważam, że tak jest bezpieczniej. Czy mamy odpowiedni sprzęt?

Holly wysypała na dywan zawartość plecaka.

–Pełny zestaw obserwacyjny SKR, w tym folia maskująca, mikrofony, kamera wideo oraz apteczka.

–Oprócz tego dwa nieuszkodzone kaski SKR oraz trzy ręczne lasery, które pozostały nam po oblężeniu – dodał Butler. – Oraz, oczywiście, prototypowy egzemplarz Kostki z laboratorium.

Artemis wręczył Mierzwie telefon bezprzewodowy.

–Doskonale. A zatem zaczynamy.

Iglica Spiro

Jon Spiro siedział w swoim nader wykwintnym gabinecie i wpatrywał się smętnym wzrokiem w stojącą na biurku Kostkę K. Ludzie uważają, że łatwo być kimś takim, jak on. Jakże się mylą! Im więcej miał pieniędzy, tym większej podlegał presji. Tylko w tym budynku zatrudniał ośmiuset pracowników, których byt zależał od niego. Żądali corocznych podwyżek, opieki medycznej, żłobków pracowniczych, podwójnych stawek za nadgodziny, a nawet możliwości pierwokupu akcji.

Na litość boską! Bywało, że Spiro tęsknił za dobrymi, starymi czasami, gdy kłopotliwego pracownika po prostu wyrzucało się przez okno i po krzyku. W dzisiejszej dobie, gdyby ktoś wypadł przez okno, zadzwoniłby do adwokata, zanim zdążyłby dolecieć na dół.

Kostka spadła mu jak z nieba. To mógł być interes jego życia, rozwiązanie wszystkich problemów. Gdyby udało mu się uruchomić ten dziwaczny gadżet, przyszłość stałaby przed nim otworem. Wzbiłby się do gwiazd, w dosłownym sensie. Miałby władzę nad satelitami całego świata; kontrolowałby kamery szpiegowskie, lasery wojskowe, sieci komunikacyjne, oraz, co najważniejsze, stacje telewizyjne. Można powiedzieć, że po prostu rządziłby światem.

Z recepcji odezwał się brzęczyk sekretarki.

–Pan Blunt do pana, sir.

Spiro dźgnął przycisk interkomu.

–Okej, Marlene, dawaj go tu. I powiedz mu, żeby lepiej od razu przygotował przeprosiny.

Stojący w dwuskrzydłowych drzwiach Blunt faktycznie wyglądał na skruszonego. Same te drzwi onieśmiały – Spiro kazał je ukraść z sali balowej wraku „Titanica”. Stanowiły doskonałą ilustrację szaleństwa wskutek nadmiaru władzy.

Arno Blunt od czasów Londynu bardzo stracił na animuszu. Z drugiej strony, trudno wyglądać arogancko, mając posiniaczone czoło i usta pełne gołych dziąseł.

Na widok zapadniętych policzków ochroniarza Spiro aż się wzdrygnął.

–Ile zębów straciłeś?

Blunt niepewnie dotknął szczęki.

–Wszystkie. Dentyszta mój, że korzenie popękały.

–Dobrze ci tak – rzekł oschle Spiro. – Co ja mam z tobą zrobić, Arno? Podaję ci Artemisa Fowla na tacy, a ty wszystko psujesz! Gadaj, co się tam stało. I nie chcę słyszeć o żadnych trzęsieniach ziemi. Chcę znać prawdę.

Blunt otarł z kącika ust kroplę śliny.

–Nie rozumiem tego. Czoś wybuchło. Nie wiem czo. Jakisz granat żwiękowy. Ale coś ci poiem. Butler nie żyje. Szczeliłem mu w łeb. Już się nie podniesie.

–Och, zamknij się! – nie wytrzymał Spiro. – To seplenienie przyprawia mnie o ból głowy. Im prędzej sprawisz sobie nowe zęby, tym lepiej.

–Może dzisz po południu, kiedy dżiąszła się wygoją.

–Chyba mówiłem, żebyś się zamknął!

–Szorry, szewie.

–Arno, przez ciebie znalazłem się w bardzo trudnym położeniu. Z powodu twojej niekompetencji musiałem wynająć ekipę od Antonellich. Cwana dziewczyna, taka jak Carla, może dojść do wniosku, że należy jej się jakiś udział. Będzie mnie to kosztować miliony.

Arno robił, co mógł, aby wyglądać przepraszająco.

–Ta mina spaniela na nic się nie zda, Blunt. Mnie to nie bierze. Jeśli interes szlag trafi, stracisz znacznie więcej niż zęby.

Arno postanowił zmienić temat.

–Naukofczom udało się uruchomicz Koszkę?

–Nie – odparł Spiro, obracając złotą bransoletkę identyfikacyjną na przegubie. – Fowl ją nieźle zabezpieczył. Kod Wieczności czy coś w tym rodzaju. Ten idiota Pearson nie zdołał nic z niej wydusić.

W owej chwili, dramaturgicznie nader odpowiedniej, z osłoniętego siatką głośniczka Kostki K dobył się głos:

–Panie Spiro? Tu mówi Irlandia. Panie Spiro, słyszy mnie pan?

Jona Spiro niełatwo było przestraszyć – jak dotąd, żaden kinowy horror nie przyprawił go o dreszcz przerażenia. Jednak usłyszawszy głos dobiegający z głośnika, gangster niemal spadł z krzesła. Jakość dźwięku była wprost niesłychana; gdyby zamknął oczy, mógłby przysiąc, że mówiący stoi tuż przed nim.

–Chcesz, żebym odpowiedział?

–Mówiłem ci, żebyś się zamknął! A poza tym, nie wiem, jak się odpowiada.

–Słyszę pana, panie Spiro – oznajmił głos. – Nie musi pan nic robić. Niech pan po prostu mówi. Kostka dokona reszty.

Spiro zauważył, że na ekranie Kostki pojawił się cyfrowy wykres fali. Kiedy się odezwał, urządzenie zareagowało.

–No dobra. Porozmawiajmy. Kim ty u diabła jesteś? I jak ci się udało uruchomić to pudło?

–Nazywam się Mo Digence, panie Spiro. Jestem małpą z ekipy Carli Frazetti. Nie wiem, co za pudło pan ma z tamtej strony, bo ja tutaj mam tylko stary pocztowy telefon.

–Kto wykręcił numer?

–Ten dzieciak, którego trzymam za kołnierz. Przekonałem go, że to bardzo ważne, bym z panem porozmawiał.

–A skąd wiedziałeś, że trzeba rozmawiać akurat ze mną? Skąd znasz moje nazwisko?

–Też od dzieciaka. Kiedy zobaczył, jak załatwiłem cyngla, wręcz podskakiwał, żeby powiedzieć mi wszystko, co wie.

Spiro westchnął; jeżeli cyngiel został uszkodzony, rodzina Antonelli zażąda sporego odszkodowania.

–Co zrobiłeś cynglowi?

–Nic, czego nie dałoby się naprawić. Ale przez jakiś czas nie będzie mierzył do dzieci z pistoletu.

–Powiedz mi, Digence, dlaczego właściwie uznałeś za stosowne uszkodzić własnego partnera?

Po drugiej stronie nastąpiła cisza, jakby Mierzwa układał sobie w głowie rzekomą kolejność wydarzeń.

–Więc, panie Spiro, to było tak. Mieliśmy polecenie, żeby dostarczyć dzieciaka do Stanów. Ale Łapciowi odbiło i zaczął wymachiwać gnatem. Pomyślałem, że chyba coś tu nie gra, więc go powstrzymałem. Siłą. Ale przy tej okazji dzieciak tak się przestraszył, że wypaplał wszystko, co chciałem wiedzieć. No, to postanowiłem do

pana zadzwonić.

–Dobrze zrobiłeś, Digence – zatarł dłonie Spiro.

–Dostaniesz premię, osobiście tego dopilnuję.

–Dziękuję, panie Spiro. Proszę mi wierzyć, cała przyjemność po mojej stronie.

–Jest tam dzieciak Fowlów?

–Stoi obok mnie. Trochę blady, ale niedraśnięty.

–Dawaj go tu – rozkazał Spiro, z którego opadło wszelkie przygnębienie.

–To ja – z Kostki dobiegł chłodny, lecz wyraźnie drżący głos Artemisa.

–No co, mały, już nie jesteś taki chojrak? – Spiro zacisnął garść, jakby trzymał Artemisa za gardło. – Mówiłem, że nie masz nerwu do tej roboty. Ja przeciwnie – jeśli nie dasz mi tego, co chcę, każę Mo skrócić twoje i moje cierpienia. Rozumiemy się?

–Tak. Wszystko jasne.

–Dobra – rzekł Spiro, wsadzając w zęby ogromne hawańskie cygaro. Nie zamierzał go palić, tylko przeżuć na miazgę. – No, gadaj. Co mam zrobić, żeby ta cholerna Kostka zaczęła działać?

–To nie takie proste, panie Spiro – odparł Artemis jeszcze bardziej drżącym głosem. – Kostka K jest zakodowana. Za pomocą czegoś, co się nazywa Kod Wieczności. Mogę zdalnie uruchomić niektóre funkcje, telefon, odtwarzacz MP3, i tak dalej, ale żeby całkowicie odkodować Kostkę i uczynić ją w pełni funkcjonalną, muszę mieć do niej dostęp. Gdyby pan ją tu przywiózł...

Spiro wypluł cygaro.

–Zaraz, zaraz, Fowl. Masz mnie za idiotę? Oczekujesz, że zawiozę ten bezcenny wytwór techniki z powrotem do Europy? Nie ma mowy! Jeśli chcesz usunąć kod, musisz to zrobić tutaj, w Iglicy Spiro!

–Ale narzędzia?! Laboratorium?!

–Mam tu narzędzia oraz laboratorium. Najlepsze na świecie. Zrobisz to tutaj.

–Trudno. Jeśli pan sobie życzy...

–Otóż to, mały. Życzę sobie. Życzę sobie, żebyś wsiadł do swego odrzutowca Lear – wiem, że taki posiadasz – zatankował paliwo i przyleciał na lotnisko O'Hare. Wyślę po

ciebie śmigłowiec.

–A mam jakiś wybór?

–Otóż to, mały. Nie masz. Ale jak wszystko pójdzie dobrze, to może puszcze cię wolno. Digence, wszystko słyszałeś?

–Głośno i wyraźnie, panie Spiro.

–Świetnie. Liczę na ciebie, że dostarczysz tu chłopaka całego i zdrowego.

–Załatwione.

W Kostce zapadła cisza.

–Muszę to uczcić – zachichotał Spiro i nacisnął przycisk interkomu. – Marlene, przyślij mi tutaj dzbanek prawdziwej kawy, nie tej bezkofeinowej lury.

–Ale, panie Spiro, lekarz powiedział...

Spiro odczekał chwilę, aż jego sekretarka uświadomi sobie, komu ośmieliła się sprzeciwić.

–Przepraszam, sir. W tej chwili, sir.

–No widzisz, Blunt. – Spiro wyciągnął się w fotelu i splótł palce za głową. – Pomimo twojej niekompetencji wszystko doskonale się układa. Mam dzieciaka w garści.

–Tak, szir. Misztszowskie poszunięcie, szir.

–Zamknij się, błaznie – roześmiał się Spiro. – Mówisz jak jakaś postać z filmów rysunkowych.

–Tak. Bardzo szmieszne, szir.

Na myśl o kawie Spiro oblizał wargi.

–Jak na rzekomego geniusza mały jest strasznie łatwowierny. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to może puszcze cię wolno”... Dał się nabrać jak dziecko.

–Tak, panie Szpiro. Całkiem jak dzieszko.

Dwór Fowlów

Artemis odwiesił słuchawkę zaróżowiony z podniecenia.

–I co myślicie? – zapytał.

–Chyba dał się nabrać – odparł Butler.

–Jak dziecko – dodał Mierzwa. – Naprawdę masz odrzutowiec? Chyba jest w nim jakaś kuchnia?

Butler odwiózł ich bentleyem na lotnisko w Dublinie – jego ostatnie zadanie na tym etapie operacji. Na tylnym siedzeniu, zadowoleni, że wóz ma przyciemnione szyby, siedzieli skuleni Holly i Mierzwa.

Butlerowie, brat i siostra, jechali z przodu, ubrani w identyczne garnitury od Armaniego. Tylko różowy krawat i błyszczący makijaż Julii trochę ożywiały poważny strój. Podobieństwo rodzinne rzucało się w oczy: te same wąskie nosy i pełne usta, te same oczy, rozglądające się na wszystkie strony, obracające się niczym kulka od ruletki, obserwujące, czujne.

–Tradycyjny pistolet raczej ci się nie przyda – mówił Butler. – Weź laser SKR. Nie trzeba ich ładować, tor ognia to prosta, nieskończona linia, a strzały nie są śmiertelne. Dałem Holly kilka sztuk z mojego zapasu.

–Jasne, Dom.

–Dom – zadumał się Butler, zjeżdżając z autostrady w stronę lotniska. – Od dawna nikt tak do mnie nie mówił. Ochroniarstwo zastępuje cały świat i człowiek zapomina, że ma własne życie. Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz, Julio?

Julia zaplotła włosy w ciasny warkocz, który następnie ścisnęła ozdobnym pierścieniem z nefrytem. Ozdobnym i niebezpiecznym.

–A gdzie poza ringiem mogłabym uprawiać wolną amerykankę? Na razie ochroniarstwo bardzo mi pasuje.

Butler zniżył głos:

–Oczywiście, to wbrew wszystkim zasadom, że Artemis jest twoim pryncypałem. On wie, jak masz na imię, i prawdę mówiąc, chyba trochę cię lubi.

Julia trzepnęła pierścieniem o dłoń.

–To tylko zastępstwo. Na razie nie mogę być niczym ochroniarzem. Madame Ko nie

podoba się mój styl.

–Wcale się nie dziwię – rzekł Butler i wskazując pierścień, zapytał: – Skąd to masz?

–Sama wymyśliłam – uśmiechnęła się Julia. – Mała niespodzianka dla tych, którzy nie doceniają kobiet.

Butler zatrzymał samochód na stanowisku dla wysiadających.

–Słuchaj, Julio – powiedział, biorąc siostrę za rękę. – Spiro to niebezpieczny człowiek. Patrz, jak mnie załatwił, a przecież, bez fałszywej skromności, byłem najlepszy. Gdyby ta akcja nie miała takiego znaczenia dla ludzi i wrózek, w ogóle bym cię na nią nie puścił.

Julia musnęła palcem twarz brata.

–Będę ostrożna.

Przystanęli na chodniku. Tuż nad ciżbą urlopowiczów i podróżujących w interesach biznesmenów unosiła się osłonięta tarczą Holly. Mierzwa, straszliwie cuchnący świeżą warstwą kremu ochronnego, odstraszał wszystkich, którzy mieli pecha go poczuć.

Butler dotknął dłoni Artemisa.

–Poradzisz sobie?

–Prawdę mówiąc, nie wiem. – Chłopiec wzruszył ramionami. – Bez ciebie u boku mam uczucie, jakby brakowało mi kończyny.

–Julia cię ochroni. Ma nietypowy styl, ale przecież jest Butlerką.

–To ostatnie zadanie, przyjacielu. Potem ochroniarze nie będą mi już potrzebni.

–Szkoda, że Holly nie może zwyczajnie zamesmeryzować Spiro za pośrednictwem Kostki.

Artemis pokręcił głową.

–To na nic. Nie wiadomo, czy udałoby się nawiązać połączenie, ponadto wróżka musi patrzeć człowiekowi prosto w oczy, żeby go zamesmeryzować, zwłaszcza kogoś tak stanowczego jak Spiro. W jego przypadku nie chcę ryzykować. Trzeba go unieszkodliwić; gdyby wróżki tylko go przemieściły, mógłby nadal działać na naszą szkodę.

–A twój plan? – zapytał Butler. – Holly mówiła, że jest dość zawiły. Jesteś pewien,

że się powiedzie?

Artemis puścił doń oko – niespotykany objaw frywolności.

–Owszem – odparł. – Zaufaj mi, ostatecznie jestem geniuszem.

Julia pilotowała odrzutowiec Lear przez Atlantyk. Holly siedziała w fotelu drugiego pilota i podziwiała sprzęt.

–Ładny ptaszek – rzuciła.

–Owszem, niezły, panno wróżko – odparła Julia, przechodząc na autopilota. – Ale idę o zakład, że w porównaniu z waszymi pojazdami to nic specjalnego?

–SKR ma za nic wygodę – rzekła ponuro Holly. – W wahadłowcu SKR nie starczyłoby miejsca, żeby pomachać dżdżownicą.

–Gdyby ktoś chciał machać dżdżownicą.

–Właśnie. – Holly przyjrzała się dziewczynie za sterami. – Dorosłaś przez te dwa lata. Kiedy ostatnio cię widziałam, byłaś dzieckiem.

–W ciągu dwóch lat wiele może się zdarzyć – uśmiechnęła się Julia. – Przez większość tego czasu staczałam walki z dużymi, owłosionymi mężczyznami.

–Powinnaś obejrzeć nasze zapasy. Dwóch napompowanych gnomów naparza się w komorze bezgrawitacyjnej. Niepiękny widok. Przyślę ci płytę z nagraniem.

–Nie, nie przyślesz.

Holly przypomniała sobie o zatarciu pamięci.

–Prawda – westchnęła. – Nie przyślę.

W kabinie pasażerskiej odrzutowca Mierzwa ponownie przeżywał dni swojej chwały.

–Hej, Artemisie – zawołał z ustami pełnymi kawioru. – Pamiętasz, jak nieomal urwałem Butlerowi głowę wybuchem gazów?

Artemis nie uśmiechnął się.

–Pamiętam, Mierzwa. Okazałeś się ziarnkiem piasku w doskonale funkcjonującej maszynie.

–Prawdę mówiąc, to był wypadek. Po prostu się zdenerwowałem. Nie zdawałem sobie sprawy, że wielkolud za mną stoi.

–To dla mnie ogromna pociecha. Zostałem załatwiony przez problem jelitowy.

–A pamiętasz, jak uratowałem ci skórę w Laboratoriach Koboï? Gdyby nie ja, już dawno gnąłbyś na Wzgórzu Wyjców. Naprawdę nie umiesz nic zrobić beze mnie?

Artemis pociągnął łyk wody mineralnej z wąskiego kryształowego kieliszka.

–Najwyraźniej nie, choć żyję nadzieją.

W przejściu między rzędami pojawiła się Holly.

–Powinniśmy wydać ci sprzęt, Artemisie. Za trzydzieści minut lądujemy.

–Dobry pomysł.

Elficzka wytrząsnęła zawartość torby na stół.

–Okej, co my tu mamy. Na początek mikrofon krtaniowy i kamera tęczęwkowa.

Pani kapitan wybrała ze stosu coś, co wyglądało jak okrągły opatrunek na przylepcu, zerwała ochronny pergamin i przykleiła do szyi Artemisa tkaninę, która natychmiast przybrała kolor jego skóry.

–Lateks pamięciowy – wyjaśniła. – Prawie niewidoczny. Być może mrówka, wędrująca po twojej krtani, by go zauważyła, ale poza tym... Ponadto tkaniny nie widać na rentgenie, więc mikrofon jest niewykrywalny. Zbiera wszystkie dźwięki w promieniu dziesięciu metrów i przesyła je do chipa w moim kasku. Niestety, nie możemy ci dać słuchawki, zbyt rzuca się w oczy. Więc my będziemy cię słyszeć, ale ty nas – nie.

Artemis przełknął ślinę i poczuł, jak mikrofon jeździ mu po grdyce.

–A kamera?

–Już się robi.

Holly wyjęła soczewkę kontaktową ze słoika z płynem.

–Po prostu cudo. Wysoka rozdzielczość, cyfrowa jakość oraz zestaw filtrów, w tym powiększenie i obraz termiczny.

Mierzwa wysłał do czysta kość kurczaka.

–Zaczynasz gadać jak Ogierek.

–Cud techniki, w rzeczy samej – rzekł Artemis, przyglądając się soczewce – ale jest

orzechowa.

–Pewnie, że orzechowa. Mam orzechowe oczy.

–Miło mi to słyszeć, Holly. Ale, jak dobrze wiesz, moje oczy są niebieskie. Ta kamera się nie nadaje.

–Nie patrz na mnie, Błotniaku. To ty podobno jesteś geniuszem.

–Nie mogę iść do Spiro z jednym okiem niebieskim, a drugim brązowym. Zauważy, że się różnią.

–Trzeba było o tym pomyśleć, kiedy medytowałeś. Teraz jest już trochę za późno.

Artemis ścisnął nasadę nosa.

–Masz rację. Ja to wszystko zaplanowałem; myślenie to moje zadanie, a nie twoje.

Holly łypnęła nań podejrzliwie.

–Czyżbyś chciał mnie obrazić, Błotniaku? Mierzwa wypluł kość do pobliskiego kosza.

–Muszę ci powiedzieć, Arty, że obsuwa na tym etapie operacji bynajmniej nie dodaje mi otuchy. Mam tylko nadzieję, że naprawdę jesteś taki sprytny, jak nieustannie opowiadasz.

–Nikomui nie opowiadam, jaki naprawdę jestem sprytny. Wzbudziłbym przerażenie. Trudno, zaryzykujemy brązową soczewkę. Przy odrobinie szczęścia Spiro się nie zorientuje. A gdyby coś zauważył, postaram się wymyślić jakiś wykręt.

Holly podniosła kamerę czubkiem palca i wsunęła ją pod powiekę Artemisa.

–To twoja decyzja, Artemisie – powiedziała. – Mam tylko nadzieję, że w osobie Spiro nie znajdziesz przeciwnika równego sobie.

23.00. Lotnisko O'Hare, Chicago

Spiro czekał na nich w prywatnym hangarze na lotnisku. Miał na sobie płaszcz z futrzanym kołnierzem, narzucony na nieodłączny biały garnitur. Mokry asfalt lśnił w drżącym blasku halogenowych reflektorów, podmuch śmigieł helikoptera szarpał połami płaszcza przemysłowca. Wszystko wyglądało całkiem jak w kinie.

Przydałaby się jeszcze muzyka w tle, pomyślał Artemis, schodząc z samobieżnych schodków.

Mierzwa, zgodnie z instrukcją, ponownie wszedł w rolę opryszka.

–Rusz się, mały – warknął całkiem przekonywająco. – Nie chcemy chyba, żeby pan Spiro na nas czekał.

Artemis miał właśnie ostro zareagować, gdy uświadomił sobie, że powinien sprawiać wrażenie „przerażonego dzieciaka”. Nie było to łatwe – dla Artemisa Fowla pokora stanowiła niemały problem.

–Rusz się, mówię! – powtórzył krasnal, podkreślając żądanie mocnym pchnięciem.

Artemis potknął się na schodkach i niemal wpadł na uśmiechniętego od ucha do ucha Arno Blunta. Nie był to zwykły uśmiech – zamiast zębów w ustach Blunta błyszczał porcelanowy komplet ostro zakończonych trójkątów. Ochroniarz prezentował światu oblicze hybrydy człowieka i rekina.

–Co, podobają ci się? – zawołał, dostrzegając ciekawe spojrzenie Artemisa. – Mam też inne protezy. Jedną zupełnie płaską, w sam raz do miażdżenia różnych rzeczy.

Usta Artemisa już-już zaczęły się układać w szyderczy grymas, gdy przypomniał sobie, że ma wyglądać na załężnionego. Czym prędzej nerwowo poruszył wargami, naśladując reakcję, jaką zazwyczaj wywoływał Butler. Jednak Spiro nie dał się nabrać.

–Ładnie udajesz, synek. Ale wybaczone, jakoś nie mogę uwierzyć, żeby wielki Artemis Fowl tak łatwo pękł. Arno, sprawdź ten samolot.

Blunt skinął głową i zanurzył się w brzuchu odrzutowca. Julia, ubrana w mundur stewardesy, poprawiała pokrowce na oparciach foteli. Mimo wielkiej sprawności fizycznej z trudem utrzymywała równowagę na wysokich obcasach.

–Gdzie pilot? – warknął Blunt.

–Samolot pilotował osobiście panicz Artemis – odparła Julia. – Lata, odkąd ukończył

jedenaście lat.

–Ach, tak? A to zgodne z prawem?

Julia zrobiła najniewinniejszą z min.

–Ja tam nic nie wiem, proszę pana. Ja tylko podaję drinki.

Blunt stęknął głucho z właściwym sobie wdziękiem, po czym pobieżnie obrzucił wzrokiem wnętrze, aż w końcu uznał, że może uwierzyć stewardesie. Na swoje szczęście – gdyby zaczął się spierać, spotkałyby go dwie przykrości. Po pierwsze, Julia przylałaby mu w nos pierścieniem z nefrytem; po drugie, Holly, ukryta w górnej szafce pod osłoną tarczy, ogłuszyłaby go strzałem z neutrina 2000. Oczywiście, mogła go również zamesmeryzować, jednak strzał z blastera wydał się jej bardziej stosowny po tym, co Blunt zrobił Butlerowi.

–Nikogo tu nie ma oprócz głupiej stewardesy – oznajmił Blunt, wystawiając głowę na zewnątrz.

Spiro wcale się nie zdziwił.

–Tak przypuszczałem. Jednak na pewno gdzieś tu są. Wierz mi, Digence, Artemis Fowl nigdy nie dałby się zastraszyć takiemu tłumokowi jak ty. Zjawił się tutaj, bo chce tu być.

Artemisa nie zaskoczyło to wnioskowanie; podejrzenia Spiro były całkiem naturalne.

–Nie wiem, o co panu chodzi – obruszył się na wszelki wypadek. – Jestem tutaj, bo ten odrażający człowieczek zagroził, że zmiążdży mi czaszkę zębami. Inaczej, po co bym przyjeżdżał? Pan nie wykorzysta Kostki K, a ja z łatwością zbuduję sobie następną.

Ale Spiro nawet go nie słuchał.

–Dobra, dobra, jak tam sobie chcesz, mały. Ale powiem ci jedno – nie masz pojęcia, w co się ładujesz. Iglica Spiro jest najlepiej zabezpieczonym budynkiem na tej planecie. Są tam cuda, których nie ma nawet wojsko. Z chwilą, gdy zamkną się za tobą drzwi, będziesz zdany na własne siły. Nikt nie przyjdzie ci na ratunek. Nikt. Zrozumiałeś?

Artemis przytaknął. Pojmował, co Spiro do niego mówi. Co nie oznaczało, że się z tym zgadzał. Być może Jon Spiro miał cuda, których nie posiadało nawet wojsko, lecz on, Artemis Fowl, dysponował cudami, jakich nie widziało ludzkie oko.

Służbowy śmigłowiec Sikorsky zabrał ich do heliportu na dachu Iglicy Spiro w

śródmieściu Chicago. Artemis, znajdujący się trochę na pilotowaniu, zdawał sobie sprawę, jak bardzo turbulencje atmosferyczne Wietrznego Miasta utrudniają lądowanie.

–Na tej wysokości wiatr musi być zdradliwy – rzucił od niechcienia. Chip w kasku Holly natychmiast zarejestrował tę wypowiedź.

–Żebyś wiedział! – odparł pilot, przekrzykując warkot silników. – Na szczycie Iglicy prędkość podmuchów dochodzi do stu kilometrów na godzinę. Przy złej pogodzie lądowisko odchyła się o dziesięć metrów od pionu!

Spiro jęknął, po czym dał Bluntowi znak głową. Arno pochylił się do przodu i trzepnął pilota w kask.

–Zamknij się, kretynie! – wrzasnął Spiro. – Może przy okazji pokażesz mu jeszcze plany budynku? – I zwracając się do Artemisa, dodał: – Do twojej wiadomości. Arty: plany nie są dostępne dla ogółu. Każdy, kto zechce je obejrzeć w ratuszu, odkryje, że w tajemniczy sposób zniknęły. Nie ma też sensu, byś kazał swoim współpracownikom szukać ich w Internecie. Jedyne komplety znajdują się w moim posiadaniu.

Artemis nie był zaskoczony; już wcześniej sam kilkakrotnie przeszukiwał Internet, choć w gruncie rzeczy nie podejrzewał Spiro o najmniejszą nieostrożność.

Wysiadłszy ze śmigłowca, skrupulatnie omiół wzrokiem dach, kierując kamerę tęczątkową w stronę wszystkich widocznych zabezpieczeń. Każdy szczegół mógł się okazać użyteczny – Butler często mu powtarzał, że nawet pozorny drobiazg, na przykład liczba stopni na klatce schodowej, może zadecydować o powodzeniu operacji.

Wsiedli do windy, która otworzyła się na wprost drzwi z szyfrowym zamkiem. System strategicznie rozmieszczonych kamer bezustannie śledził wszystkie ich poruszenia. Spiro podszedł do drzwi. Artemis poczuł w oku ostre ukłucie, po czym obraz w tęczątkowej kamerze powiększył się czterokrotnie. Mimo półmroku i odległości wprowadzany szyfr z łatwością dał się odczytać.

–Mam nadzieję, żeście to sfilmowali – mruknął, czując, jak mikrofon wibruje mu na szyi.

Arno Blunt przykucnął; jego niesłychane zęby znalazły się centymetr od nosa Artemisa.

–Rozmawiasz z kimś?

–Ja? – zdziwił się chłopiec. – A z kim miałbym rozmawiać? Nie wiem, czy

zauważyłeś, ale jesteśmy kilkadziesiąt pięter nad ziemią.

Blunt chwycił Artemisa za klapy, unosząc go w powietrze.

–A może masz mikrofon? A może ktoś właśnie nas słucha?

–Skąd wziąłbym mikrofon, ty ośle? Wasz karzełek zabójca przez całą podróż nie spuszczał mnie z oka! Chodził za mną nawet do toalety!

Spiro odchrząknął głośno.

–Hej, ty tam, panie Moje na wierzchu! Jeśli dzieciakowi coś się stanie, to możesz od razu skoczyć z dachu! On jest dla mnie wart więcej niż cała armia ochroniarzy!

Blunt postawił Artemisa na ziemi.

–Nie zawsze będziesz taki cenny, Fowl – syknął złowieszczco. – A kiedy twoje akcje spadną, będę czekał.

Wykładana lustrami winda zawiozła ich na osiemdziesiąte piąte piętro, gdzie powitał ich doktor Pearson oraz dwóch kolejnych mięśniaków. Po oczach poznał, że raczej nie są to neurochirurdzy; prawdę mówiąc, najbardziej przypominali rottweilery z trudem utrzymujące równowagę na dwóch nogach. Zapewne najlepiej się sprawdzali, tłukąc różne przedmioty bez zbędnych pytań.

Spiro przywołał jednego z nich.

–Pex, nie wiesz przypadkiem, ile liczą sobie Antonelli za uszkodzenie personelu?

Pex przez chwilę się zastanawiał, mozolnie poruszając ustami.

–Taa... zaraz... mam. Dwadzieścia tysięcy za cyngla i piętnaście za małpę.

–Znaczy, za trupa?

–Za trupa lub unieszdok... uniekszod... zepsutego.

–Okej – oznajmił Spiro. – Idźcie z Chipsem do Carli Frazetti i powiedzcie, że jestem jej winien trzydzieści pięć tysięcy. Pieniądze prześlę rano na jej rachunek na Kajmanach.

Mierzwa, co zrozumiałe, bardzo się zainteresował, a także nieco zaniepokoił.

–Jak to, trzydzieści pięć tysięcy? Ja przecież żyję! Jesteś winien tylko dwadzieścia tysięcy za Łapcia, chyba że dodatkowe piętnaście to moja premia?

Westchnienie żalu Spiro było niemal przekonujące.

–Takie jest życie, Mo – rzekł, figlarnie szturchając Mierzwę w ramię. – Planuję ogromny interes. Gigantyczny, mamuci. Siedmiocyfrowy jak numery telefoniczne. Nie mogę sobie pozwolić na żadne wpadki. Może coś wiesz, a może nie. Ale nie zamierzam ryzykować, że dasz cynk Phonetiksowi czy innym moim konkurentom. Jestem pewien, że rozumiesz.

Mierzwa rozciągnął wargi, ukazując rząd zębów wielkich jak nagrobki.

–O tak, Spiro, rozumiem doskonale! Ty zdradziecka żmijo! Wiesz, że dzieciak proponował mi dwa miliony dolarów, żebym go uwolnił?

–Trzeba było brać gotówkę – rzekł Arno Blunt, pchając Mierzwę w gigantyczne ramiona Peksa.

Ciągnięty korytarzem krasnal nie przestawał wykrzykiwać:

–Lepiej pochowaj mnie głęboko, Spiro! Naprawdę głęboko!

Oczy Spiro zwęziły się w wilgotne szparki.

–Słyszycie, co mówi, chłopaki. Zanim pójdziecie do tej Frazetti, głęboko go pochowajcie.

Doktor Pearson poprowadził zebranych do małego pancernego przedpokoju, za którym widniało wejście do głównego laboratorium.

–Proszę stanąć na podkładce skanującej – rzekł doktor. – Nie chcemy tu żadnych pluskiew. Zwłaszcza elektronicznych.

Artemis stanął na metalowej macie, która ugięła się niczym gąbka, opryskując jego buty strumieniami pianki.

–Pianka przeciwinfekcyjna – wyjaśnił Pearson. – Zabije każdego wirusa, jakiego nosicie. W tej chwili prowadzimy tu eksperymenty biotechnologiczne, bardzo podatne na choroby. A w dodatku pianka ma tę zaletę, że wywoła zwarcie wszelkich urządzeń podsłuchowych, jakie macie w butach.

Ruchomy skaner, umieszczony nad głową Artemisa, skąpał go w fioletowym świetle.

–Jeden z moich własnych wynalazków – rzekł Pearson. – Skaner kombinowany: promieniowanie termiczne, promienie rentgenowskie oraz wykrywacz metalu w jednym opakowaniu. Dzieli ciało na składowe i wyświetla ich obrazy na ekranie.

Artemis ujrzał swój trójwymiarowy wizerunek nakreślony na małym plazmowym

monitorze. Wstrzymał oddech, modląc się, by sprzęt Ogierka okazał się tak dobry, jak twierdził centaur.

Na ekranowej piersi Artemisa rozbłysło czerwone, pulsujące światelko.

–Aa! – zawołał doktor, odrywając guzik od kurtki chłopca. – Co my tu mamy?

Rozłamał plastik i ujrzał maleńki chip: mikrofon oraz źródło zasilania.

–Mikropluskwa! Bardzo sprytne. Panie Spiro, nasz młody przyjaciel usiłował nas szpiegować.

Jon Spiro nie rozgniewał się. W gruncie rzeczy był zadowolony, że ma pretekst, by napawać się przewagą.

–Widzisz, mały? Może i jesteś geniuszem, ale szpiegostwo oraz nasłuch to moja specjalność. Nic mi nie umknie. Im prędzej przyjmiesz to do wiadomości, tym prędzej będziemy mieli to za sobą.

Artemis zszedł z maty. Pozorny cel spełnił swoje zadanie – system nie zareagował na prawdziwą aparaturę. Pearson był chytry, ale Ogierek był chytrzejszy.

Chłopiec uważnie rozejrzał się po przedpokoju, który krył więcej niespodzianek. Każdy centymetr kwadratowy zajmowało jakieś urządzenie śledzące lub zabezpieczające. Nie przekradłaby się tędy nawet niewidzialna mrówka, co dopiero dwóch ludzi, elf i krasnal – to znaczy, jeżeli krasnal jakoś przeżył kontakt z Peksem i Chipsem.

Jednak największe wrażenie robiły drzwi do skarbca. Skarbce dużych przedsiębiorstw na ogół miewają imponujący wygląd – mnóstwo przycisków i chromu – głównie po to, aby należycie onieśmielić udziałowców. Jednakże w drzwiach, które miał przed sobą Artemis, każda zapadka tkwiła na właściwym miejscu, a ich tytanowe skrzydło wyposażone było w najnowszy model cyfrowego zamka.

Spiro wystukał na klawiaturze skomplikowany ciąg liczb. Metrowej grubości płyta odsunęła się, ukazując kolejną przeszkodę – drugie drzwi.

–Wyobraź sobie, że jesteś złodziejem – rzekł gangster tonem aktora, zapowiadającego spektakl teatralny – i jakoś zdołałeś wejść do budynku, omijając elektroniczne oczy i przechodząc przez zamknięte drzwi. Wyobraź sobie, że oszukałeś lasery, podkładkę skanującą oraz szyfr w zamku, aż wreszcie otworzyłeś pierwsze drzwi do skarbca – tak na marginesie, rzecz całkiem niemożliwa. Przy okazji, wyobraźmy sobie, że po drodze unieszkodliwiłeś pół tuzina kamer. Czy wówczas, po tym wszystkim, byłbyś jeszcze w stanie zrobić to, co ja?

Spiro stanął na małej, czerwonej płytce przed drugimi drzwiami, umieścił kciuk na żelowym skanerze, otworzył szeroko lewe oko i powiedział wyraźnie:

–Jon Spiro. Jestem szefem, otwieraj szybko.

Cztery rzeczy zdarzyły się jednocześnie: skaner siatkówkowy sfilmował oko Spiro i przekazał obraz do komputera; skaner żelowy odnotował linie papilarne kciuka; analizator głosu zbadał jego akcent, barwę oraz intonację; a komputer, sprawdzwszy poprawność informacji, wyłączył alarmy. Drzwi odsunęły się, ukazując duże pancerne pomieszczenie.

W samym środku, na specjalnie wykonanej stalowej kolumnie, spoczywała Kostka K. Była zamknięta w przezroczystym sześcianie z perspeksu, którego ścianki nieustannie obserwowało co najmniej sześć kamer. Dwaj potężni strażnicy, zwrócenii ku sobie plecami, niczym ludzka bariera bronili dostępu do wytworu technologii wróżek.

Spiro nie potrafił powstrzymać się od złości:

–W przeciwieństwie do ciebie pilnuję swoich zabawek. To jedyny taki skarbiec na świecie.

–Żywa ochrona w hermetycznym pomieszczeniu. Ciekawe.

–Ci faceci są szkoleni na dużych wysokościach. Poza tym, zmieniają się co godzinę i na wszelki wypadek mają zbiorniki z tlenem. Co ty sobie myślisz? Miałem tu zrobić przewody wentylacyjne?

–Nie popisuj się, Spiro – sarknął Artemis. – Wygrałeś. Jestem tutaj. Możemy przejść do rzeczy?

Spiro wystukał kolejny ciąg cyfr na klawiaturze umieszczonej w podstawie kolumny. Perspeksowe szybki opadły i gangster wyjął Kostkę z piankowego gniazdka.

–Czy ty trochę nie przesadzasz? – mruknął chłopiec. – To wszystko chyba nie jest konieczne.

–Nigdy nic nie wiadomo. A gdyby jakiś nieuczciwy biznesmen zechciał pozbawić mnie tego cacka?

Artemis świadomie zaryzykował szyderstwo.

–Doprawdy, Spiro. Sądzisz, że będę próbował się włamać? A może myślisz, że przylecę tu ze znajomymi wróżkami i magicznym sposobem odbiorę ci Kostkę?

–Przyprowadź tyle wróżek, ile tylko zechcesz, Artusiu – zaśmiał się Spiro. – Kostka zostanie tutaj, chyba że zdarzy się cud.

Choć brat Julii pochodził z drugiego końca świata, ona sama urodziła się jako obywatelka amerykańska. Cieszyła się z powrotu do ojczyzny; w zgiełku Chicago, otoczona kakofonią wielokulturowej mowy czuła się jak w domu. Uwielbiała drapacze chmur, strumienie pary buchające z otworów wentylacyjnych, przyjazny sarkazm sprzedawców ulicznych. Gdyby miała gdzieś osiąść na stałe, wybrałaby Stany Zjednoczone, aczkolwiek wolała ich zachodnie wybrzeże, bliżej słońca.

Julia po raz kolejny okrążała Iglicę Spiro małą zaciemnioną furgonetką. Holly siedziała z tyłu, śledząc na ekranie przyłbicy obraz, przekazywany na żywo z kamery tęczęwkowej Artemisa.

Nagle wzniosła do góry triumfalnie zaciśniętą pięść.

–Co się dzieje? – zapytała Julia, zatrzymując samochód na czerwonym świetle.

–Doskonale – uniosła przyłbicę Holly. – Zabierają Mierzwę, żeby go pogrzebać.

–Cool. Dokładnie tak, jak przewidział Artemis.

–A Spiro właśnie zaprosił do budynku wszystkich znajomych Artemisa z krainy wróżek.

Była to sprawa o kluczowym znaczeniu, gdyż Księga zabrania wróżkom wchodzenia do siedzib ludzkich bez zaproszenia. Teraz jednak Holly mogła swobodnie wtargnąć do środka i siać zniszczenie bez obawy, że złamie zasady doktryny.

–Świetnie – rzekła Julia. – Wchodzimy. Osobiście przywalę facetowi, który postrzelił mojego brata.

–Nie tak prędko. Ten budynek posiada najbardziej wyrafinowane zabezpieczenia, jakie kiedykolwiek widziałam u Błotniaków. Spiro zastosował tu kilka niezwykłych sztuczek.

Julia w końcu znalazła miejsce parkingowe na wprost głównych obrotowych drzwi do Iglicy.

–Dla tego małego końskiego kolesia to chyba nie problem?

–Nie, ale Ogierek nie może nam pomagać. Julia wycelowwała w drzwi lornetkę.

–Wszystko zależy od tego, jak go poprosisz. Mądrała taki jak Ogierek... trzeba mu rzucić wyzwanie.

Z Iglicy wynurzyły się trzy postacie – dwóch dużych mężczyzn w czerni oraz mały, zdenerwowany osobnik. Mierzwa drobił nogami w powietrzu, jakby tańczył irlandzkiego giga. Nie łudził się jednak, że zdoła uciec; Pex i Chips trzymali go mocniej niż dwa ogary, walczące o kość.

–O, Mierzwa. Lepiej dajmy mu jakieś wsparcie, na wszelki wypadek.

Holly zapięła mechaniczną uprząż i naciśnięciem guzika rozpostarła skrzydła.

–Popilnuję go z powietrza. Ty obserwuj chłopaka.

Julia przypięła kabel wideo do komputera w jednym z zapasowych kasków. Na ekranie rozbłysł obraz z kamery Artemisa.

–Naprawdę sądzisz, że Mierzwa potrzebuje pomocy? – zapytała.

Bzyknęło i Holly zniknęła Julii z oczu.

–Pomocy? Lecę tylko po to, by dopilnować, żeby nie zrobił tym Błotniakom krzywdy.

Spiro przestał już udawać uprzejmego gospodarza.

–Opowiem ci historyjkę, Arty – oznajmił, miłośnie pieszcząc Kostkę. – Był sobie raz irlandzki dzieciak, który myślał, że dorósł do wielkich interesów. Więc zadarł z poważnym biznesmenem.

Nie mów do mnie Arty, pomyślał Artemis. Tylko ojciec tak mnie nazywa.

–Temu biznesmenowi nie spodobały się te zaczepki, więc postanowił się odegrać i mimo wrzasków i krzyków dzieciaka uświadomił mu, jakie są realia. No i teraz dzieciak musi podjąć decyzję: czy powie biznesmenowi wszystko, co wie, czy narazi siebie oraz swoją rodzinę na śmiertelne niebezpieczeństwo? No, Arty, co wybierasz?

Igrając z Artemisem Fowlem, Spiro popełniał poważny błąd. Dorosłym nie mieściło się w głowie, że blady trzynastolatek może stanowić dla nich zagrożenie. Artemis starał się wykorzystać ten fakt: zamiast zwykłego, sztytogo na miarę garnituru włożył sportowy strój, a w samolocie ćwiczył niewinne, szczere spojrzenie. Niestety, szczere spojrzenie nie wchodzi w grę, gdy jedna tęcza jest innej barwy niż druga.

Blunt szturchnął Artemisa między łopatki.

–Pan Spiro zadał ci pytanie – powiedział, kłapiąc nowymi zębami.

–Przecież tu jestem, prawda? – odparł chłopiec. – Zrobię, co zechcecie.

Spiro postawił Kostkę na długim, stalowym stole na środku skarbca.

–Życzę sobie, żebyś zdezaktywował Kod Wieczności i natychmiast uruchomił Kostkę.

Artemis pożałował, iż nie potrafi oblać się potem i uwiarygodnić niepokoju, jaki rzekomo odczuwał.

–Natychmiast? To nie takie proste.

Spiro chwycił chłopca za ramiona, wlepiając w niego wściekłe spojrzenie.

–A niby dlaczego nie? Po prostu wpisz słowo kodowe i jazda.

Artemis spuścił wzrok, kryjąc pod powiekami swe różnobarwne oczy.

–To nie jest zwyczajne słowo kodowe. Kod Wieczności jest nieodwracalny. Muszę odtworzyć cały język. To może potrwać parę dni.

–Nie masz notatek?

–Owszem, na dysku. Twoja małpa nie pozwoliła mi nic zabrać w obawie przed jakąś pułapką.

–Możesz je jakoś odtworzyć?

–No, moglibyśmy polecieć z powrotem do Irlandii. Osiemnaście godzin tam i z powrotem.

Spiro nie chciał nawet o tym słyszeć.

–Wykluczone. Dopóki mam cię tutaj, to cię kontroluję. A kto wie, jakie powitanie czeka mnie w Irlandii? Bierz się do roboty, nieważne, ile to potrwa.

–Niech będzie – westchnął Artemis. Gangster wstawił Kostkę do gabloty z perspeksu.

–Wyśpij się, mały, jutro będziesz musiał obrać ten gadżet jak cebulę. Bo jak nie, to spotka cię to samo, co pewnie już spotkało Mo Digence’a.

Artemis niespecjalnie się przejął. Nie wierzył, by Mierzwie coś groziło; prawdę mówiąc, jeśli ktokolwiek miał kłopoty, to te dwa mięśniaki, Pex i Chips.

Rozdział dziewiąty

Diabeł w pudełku

Pusty plac, teren fabryki Malthouse,

południowe Chicago

Jon Spiro nie wynajął Pexa i Chipsa dla ich talentów oratorskich. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej mieli wykonać tylko jedno zadanie. Setce kandydatów wręczono orzech włoski i kazano go rozłupać jakimkolwiek sposobem. Jedynie dwóm się udało: Pex przez kilka minut krzyczał na orzech, po czym zmiażdżył go w gigantycznych dłoniach, Chips wybrał bardziej kontrowersyjną metodę – umieścił orzech na stole, po czym chwycił rozmówcę za koński ogon i rozbił łupinę jego głową. Obaj zostali z miejsca zatrudnieni i szybko zyskali pozycję najbardziej zaufanych przybocznych Blunta do robót na miejscu. Poza Chicago ich nie wysyłano, gdyż wiązało się to z czytaniem mapy, a w tym Pex i Chips nie byli zbyt dobrzy.

A zatem Pex i Chips gawędzili sobie pod pełnym księżycem, patrząc, jak Mierzwa kopie dół wielkości krasnala w suchej glinie na tyłach opuszczonej cementowni.

–Zgadniesz, dlaczego nazywają mnie Pex? – zapytał Pex, prężąc mięśnie klatki piersiowej.

Chips otworzył torbę chipsów ziemniaczanych, do których miał słabość.

–A bo ja wiem. Może to jakieś... tego... zdrobnienie? – Jakie?

–A bo ja wiem? – zadumał się Chips. Często używał tego zwrotu. – Od imienia Francis?

Nawet Pex pojął, że to głupia odpowiedź.

–Francis? Jak Pex może być zdrobnieniem od Francis?

–No – Chips wzruszył ramionami – miałem kiedyś wujka Roberta i wszyscy mówili do niego Bobby. Też bez sensu.

Pex przewrócił oczami.

–Chodzi o mięśnie Pek-to-ral-ne, kretynie, czyli mięśnie klatki piersiowej. Mówią do mnie Pex, bo mam wielką klatę.

W dole Mierzwa aż jęknął. Słuchanie tych bezmyślnych przechwałek było chyba gorsze od kopania dziury łopata. Krasnala aż kusilo, żeby zrobić odstępstwo od planu i zacząć pożerać piach, jednak na tym etapie operacji Artemis nie życzył sobie żadnych pokazów. Gdyby Mierzwa nagle zniknął, a jakimś cudem nie udałoby się zamesmeryzować goryli, Spiro mógłby popaść w jeszcze większą paranoję.

Na górze Chips aż się rwał, żeby kontynuować zabawę.

–No, a teraz ty powiedz, dlaczego nazywają mnie Chips – zagadnął, chowając za plecami torbę chipsów.

Pex potarł czoło. Chyba wiedział...

–Tylko mi nie mów – jęknął. – Sam zgadnę. Mierzwa wystawił głowę z dziury.

–Dlatego, że on wciąż je chipsy, idioto. Chips je chipsy. Jesteście najgłupszymi Błotniakami, jakich w życiu spotkałem. Czemu po prostu mnie nie zabijecie? Przynajmniej nie musiałbym słuchać tych andronów.

Pex i Chips osłupieli. Zajęci intensywną pracą umysłową niemal zapomnieli o małym więźniu. Ponadto, nie byli przyzwyczajeni, by przyszłe ofiary mówiły do nich cokolwiek, z wyjątkiem: „Nie, Boże, proszę, nie!”.

Pex nachylił się nad grobem.

–Andronów?

–No, tej całej gadki o Chipsie i Peksie.

–Nie – pokręcił głową Pex. – Co to za słowo „androny”? Nigdy go nie słyszałem.

Mierzwa z rozkoszą wyjaśnił.

–To znaczy brednie, bzdury, dyrdymały, banialuki, duby smalone, duperele. Jasno się wyrażam?

Chips rozpoznał ostatni wyraz.

–Duperele? Hej, on nas obraża! Obrażasz nas, mały?

Mierzwa złożył dłonie w parodii modlitwy.

–Nareszcie, olśnienie!

Goryle zawahali się, niepewni, jak zareagować na obelgę. Tylko dwaj ludzie mogli im regularnie ubliżać:

Arno Blunt i Jon Spiro. Ale tamto stanowiło część roboty – człowiek po prostu nie zwracał uwagi na epitety, tylko podkręcał grającą w mózgu muzykę.

–Musimy słuchać tego pyskacza? – zwrócił się Pex do partnera.

–Chyba nie. Może powinienem zadzwonić do pana Blunta?

Mierzwa stęknął. Gdyby głupota była przestępstwem, ci dwaj uchodziliby za wrogów publicznych numer jeden i dwa.

–Masz mnie po prostu zabić, nie pojmujesz? O to chodziło, zapomniałeś już? Zabij mnie i skończ z tym.

–Jak myślisz, Chips? Mam go po prostu zabić? Chips przeżuł garść chrupków Ruffles o smaku barbecue.

–No, pewnie. Rozkaz to rozkaz.

–Ale ja bym mnie nie zabił tak zwyczajnie – znów wtrącił Mierzwa.

–Nie?

–Oo, nie. Po tym, jak was przed chwilą obraziłem? Zakwestionowałem waszą inteligencję? Nie, ja zasługuję na coś specjalnego.

Niemal było widać, jak z przegrzanego mózgu Peksa uszami wydobywa się para.

–Właśnie, kurduplu. Zrobimy ci coś specjalnego. Nikt nas nie będzie zawsze obrażał.

Mierzwa nawet się nie fatygował, żeby wykazać nielogiczność tego stwierdzenia.

–Słusznie. Jestem pyskaty i zasługuję na wszystko, co mnie spotka.

Nastąpiła krótka cisza, podczas której Chips i Pex usiłowali wymyślić coś gorszego niż prosty strzał w głowę.

Krasnal dał im minutę, po czym zaproponował uprzejmie:

–Gdybym to ja decydował, tobym zakopał się żywcem.

Chips się przeraził.

–Zakopać cię żywcem? To okropne! Krzyczałbyś, grzebałbyś rękami! Miałbym potem koszmary!

–Obiecuję, że się nie ruszę. Poza tym, należy mi się. W końcu wyzwiałem was od niedorozwiniętych, przedpotopowych jednokomórkowców.

–Tak?

–Teraz już tak.

Pex, jako bardziej porywczy, oznajmił:

–Dobra, panie Digence. Wiesz, co z tobą zrobimy? Zakopimy cię żywcem!

Mierzwa złapał się za głowę.

–Och, to straszne!

–Sam się prosiłeś, koleś.

–Faktycznie, no nie?

Pex wyciągnął z bagażnika zapasową łopatę.

–Nikt nie będzie mówił, że jestem nadrozwiniętym przedpoborowym jednopłatowcem.

–Jasne, założę się, że nie – przytaknął Mierzwa, uczynnie układając się w grobie.

Pod marynarką wściekle machającego łopatą Peksa zagrały wyrzeźbione na siłowni mięśnie. Po kilku minutach Mierzwa zniknął pod stertą ziemi.

Chipsowi zrobiło się niedobrze.

–To okropne. Okropne. Biedny mały. Pex był niewzruszony.

–No co, przecież sam się prosił. Wyzywał nas od... tych wszystkich rzeczy.

–Ale żywcem pochowany? To jak w horrorze! No wiesz, w tym filmie z... horrorami.

–Chyba go widziałem. To ten, gdzie na samym końcu napisy leciały przez ekran?

–Ten. Prawdę mówiąc, te wszystkie wyrazy zepsuły mi całą przyjemność.

Pex udeptał luźną ziemię.

–Spoko, stary. W naszym filmie nie ma napisów. Wsiedli do chevroleta, ale Chips wciąż trochę się denerwował.

–Wiesz, kiedy to się dzieje naprawdę, to jest bardziej naprawdę niż w kinie.

Pex wjechał na autostradę, ignorując znak zakazu.

–To przez zapach. W kinie nie czujesz zapachu.

–Na końcu Digence musiał się strasznie bać – chlipnął Chips z uczuciem.

–Wcale się nie dziwię.

–Bo widziałem, jak płacze. Trzęsły mu się ramiona, jakby się śmiał. Ale na pewno płakał, no bo co za świr by się śmiał, kiedy go zakopują żywcem?

Otworzył paczkę chipsów o smaku wędzonego bekonu.

–Taa, na pewno płakał.

Mierzwa śmiał się tak bardzo, że niemal udławił się pierwszym kęsem ziemi. Co za błazny! Ale z drugiej strony, być może mieli szczęście, że okazali się błaznami, inaczej teraz pewnie wybieraliby sposób własnej egzekucji.

Krasnal rozwarł szczękę i skierował się prosto w dół. Wkrótce wydrążył pięciometrową studnię, po czym zwrócił się na północ, pod osłonę kilku opuszczonych magazynów, podczas gdy jego broda, niczym echosonda, wysyłała na wszystkie strony sygnały. Na terenach zabudowanych nigdy dość ostrożności – zawsze kręciły się po nich jakieś zwierzęta, poza tym Błotni Ludzie mieli zwyczaj zakopywania różnych obiektów w najmniej oczekiwanych miejscach. Rury, szamba, beczki z odpadami przemysłowymi – w swoim czasie Mierzwa, chcąc nie chcąc, zdążył popróbować każdej z tych rzeczy. A nie ma nic gorszego niż sytuacja, gdy coś niespodziewanie wpada do ust, zwłaszcza kiedy to coś się wierci.

Przyjemnie było znowu drążyć tunel. Krasnale zostały do tego stworzone. Mierzwa, zachwycony dotykiem ziemi między palcami, wkrótce wpadł we właściwy, długodystansowy rytm. Nagarniał piach do rozwartych ust, przeżuwał, oddychając przez szparki nozdrzy, po czym wydał odpady z drugiego końca.

Wreszcie po raz ostatni rozwinął anteny włosów. Upewniwszy się, że na powierzchni nie ma żadnych wibracji, kopnięciem skierował się ku górze i używając resztek krasnalowych gazów, wyskoczył z dziury.

Metr nad ziemią wpadł w ręce Holly.

–Urocze – sarknęła.

–A czego się spodziewałaś? – odciął się Mierzwa, wcale nieskruszony. – Przecież jestem siłą natury. Przez cały czas tu byłaś?

–Tak, na wypadek, gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli. Dałeś niezły popis.

Mierzwa otrzepał ubranie z gliny.

–Dwa strzały z neutrina oszczędziłyby mi kopania. Holly uśmiechnęła się. W owej chwili do złudzenia przypominała Artemisa.

–Tego nie ma w planie. A przecież musimy trzymać się planu, nieprawdaż?

Owinęła krasnala płachtą folii maskującej i przypięła go do pasa Moonbelt.

–Tylko uważaj, dobrze? – zaniepokoił się Mierzwa. – My, krasnale, jesteśmy stworzeniami podziemnymi. Nie lubimy latać; nie lubimy nawet zbyt wysoko skakać.

Holly uruchomiła skrzydła i dodała gazu.

–Wezmę pod uwagę twoje obawy – odrzekła, kierując się do śródmieścia – w takim samym stopniu, w jakim ty liczysz się z SKR.

Mierzwa pobladł. Dziwne, lecz ta maleńka elficzka napawała go znacznie większym lękiem niż dwaj dwumetrowi goryle.

–Holly, jeśli kiedykolwiek cię obraziłem, to cię bezwarunkowo...

Nigdy nie udało mu się skończyć tego zdania, gdyż nagle przyspieszenie wbiło mu słowa z powrotem do gardła.

Iglica Spiro

Arno Blunt odprowadził Artemisa do celi. Była dość wygodna, miała łazienkę i zestaw kina domowego. Ale brakowało w niej dwóch rzeczy: okien i klamki w drzwiach.

–Nie wiem, co się stało w tej restauracji w Londynie – rzekł Blunt, głaszcząc chłopca po głowie – ale jeśli spróbujesz czegoś podobnego, to wyrwę cię na nice i zjem wnętrzności. – Zgrzytnął spiczastymi zębami, po czym pochylił się do ucha Artemisa. Każdej wymawianej przezeń sylabie towarzyszył lekki szcęk protezy. – Wszystko mi jedno, co mówi szef, nie będziesz mu długo potrzebny, więc na twoim miejscu byłbym dla mnie bardzo miły.

–Gdybyś ty był na moim miejscu, ja byłbym na twoim i musiałbym ukryć się w mysiej dziurze – odparł Artemis.

–Taak? A to dlaczego?

Artemis odczekał chwilę, aby jego słowa nabrały większej mocy:

–Dlatego, że przyjdzie po ciebie Butler. I będzie bardzo zły.

Blunt odskoczył o kilka kroków.

–Nic z tego, mały. Widziałem, jak padał. Widziałem krew.

–Nie powiedziałem, że żyje. Powiedziałem tylko, że po ciebie przyjdzie.

–Po prostu chcesz mnie ogłupić. Pan Spiro ostrzegał mnie przed tobą – wymamrotał Blunt, wycofując się ku drzwiom i nie spuszczać z chłopca wzroku.

–Spokojnie, Blunt. Nie trzymam go w kieszeni. Zostało ci kilka godzin, może nawet dni, zanim się pojawi.

Arno Blunt zatrzasnął drzwi tak mocno, że zadrżała futryna. Uśmiech Artemisa stał się jeszcze szerszy. Każda sytuacja ma jakieś dobre strony.

Stojąc pod prysznicem, Artemis podstawił czoło pod strumień gorącej wody. Prawdę mówiąc, czuł lekki niepokój. Układanie planu w zaciszu własnego domu to jedno, a wykonanie go, gdy jest się uwięzionym w jaskini lwa, to całkiem co innego. I choć nigdy by się do tego nie przyznał, jego pewność siebie przez ostatnich kilka dni dostała niezłe cięgi. W Londynie Spiro go przechytrył, i to najwyraźniej bez wysiłku, a on wpadł w pułapkę tak łatwo, jak turysta zapuszczający się w ciemny zaułek.

Artemis świetnie zdawał sobie sprawę ze swych talentów. Potrafił spiskować, knuć,

planować nieczne występkę. Nic nie mogło się równać z podnieceniem, towarzyszącym realizacji planu doskonałego. Ostatnio jednak do smaku zwycięstwa zakradła się gorycz poczucia winy, zwłaszcza po tym, co się zdarzyło Butlerowi. O mały włos, a chłopiec byłby utracił starego przyjaciela; sama myśl o tym wciąż przyprawiała go o mdłości.

Należało coś zmienić. Niedługo on, Artemis, znajdzie się pod baczny okiem ojca, który najwyraźniej ma nadzieję, że jego syn dokona właściwych wyborów – w przeciwnym razie Fowl senior może go w ogóle pozbawić możliwości wybierania. W uszach chłopca ponownie zabrzmiały słowa: „A ty, Arty? Czy podejmiesz ze mną tę podróż? Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, czy zaryzykujesz, aby zostać bohaterem?”

Nadal nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

Artemis szczerzej otulił się szlafrokiem z monogramem swego ciemniźcyela. Doprawdy, ten Spiro był nieznośny – nie dość, że przypominał mu o sobie złotymi literami, to jeszcze śledził go przez kamerę, reagującą na każdy ruch w pomieszczeniu.

Na razie należało skupić całą uwagę na włamaniu do skarbca Spira i wykradzeniem Kostki K. Artemis w zasadzie zdołał przewidzieć, jakie środki bezpieczeństwa podejmie przedsiębiorca, toteż zabrał odpowiednie narzędzia. Inne, nieprzewidziane przeszkody, miał nadzieję pokonać dzięki technologii wróżek, a także przy pomocy Ogierka. Co prawda ten ostatni otrzymał wyraźny zakaz ingerencji, lecz Artemis był przekonany, że jeśli Holly przedstawi włamanie jako test na inteligencję, centaur nie oprze się wyzwaniu.

Chłopiec siedział na łóżku, od niechcienia drapiąc się po karku. Tak jak zapewniała Holly, lateksowa osłona mikrofonu wytrzymała prysznic. Świadomość, że nie jest sam w swym więzieniu, bardzo podnosiła Artemisa na duchu.

Mikrofon wychwytywał najłżejsze wibracje, toteż nie musiał mówić głośno, by przekazać instrukcje:

–Dobry wieczór, koleżanki i koledzy – wyszeptał, zwracając się plecami do kamery.
– Wszystko idzie zgodnie z planem. Zakładam, że Mierzwa wrócił do was cały i zdrowy. Uprzedzam, że zapewne wkrótce odwiedzą was goryle Spiro – jestem pewien, że kazał obserwować ulice. Jeżeli nabierze przekonania, że moi ludzie zostali wyeliminowani, to jego czujność zostanie uspiona. Był tak uprzejmy, że oprowadził mnie po lokalu; mam nadzieję, że zdążyliście sfilmować wszystko, co trzeba, by dokończyć naszą misję. Nawiasem mówiąc, miejscowi chyba określają taką operację nazwą skok. A teraz powiem wam, co powinniście zrobić.

Artemis mówił powoli, wyraźnie wymawiając każde słowo. Członkowie zespołu musieli wypełnić jego polecenia co do joty, miało to zasadnicze znaczenie. W przeciwnym razie cały plan mógł wybuchnąć niczym aktywny wulkan – a on, Artemis, siedział na krawędzi tego wulkanu.

Pex i Chips wpadli w doskonały humor. Kiedy, załatwiwszy Mo Digence'a, wrócili do Iglicy, pan Blunt nie tylko dał im po pięć tysięcy premii, ale jeszcze przydzielił kolejne zadanie. Zamontowana na zewnątrz Iglicy kamera obserwacyjna odnotowała, że przed głównym wejściem już od trzech godzin stoi zaparkowana czarna furgonetka, ponadto przegląd kaset wideo ujawnił, że auto dobrą godzinę krążyło wokół budynku, szukając wolnego miejsca. Pan Spiro kazał zwracać uwagę na podejrzane pojazdy, a ten z pewnością robił wrażenie podejrzanego.

–Zejdźcie tam – polecił Blunt, rozparty na fotelu w dyżurce – i jeśli znajdziecie w środku coś, co oddycha, zapytajcie, czemu oddycha akurat pod moim budynkiem.

Taką instrukcję Pex i Chips potrafili zrozumieć. Żadnych pytań, żadnych skomplikowanych urządzeń. Po prostu otworzyć drzwi, wystraszyć wszystkich, zamknąć drzwi. Łatwizna. Rozbawieni, zaczęli przepychać się w windzie, wymieniając szturchańce, aż stracili czucie w ramionach.

–Dzisiaj możemy zarobić sporo dolców, koleś – cieszył się Pex, masując biceps, żeby pobudzić krążenie.

–Pewnie, że tak – przytaknął Chips, podniecony myślą o serialu *Barney* na DVD, który mógłby kupić za te pieniądze. – Pewnie znowu dostaniemy premię. Co najmniej pięć kawałków. Razem to będzie...

Nastąpiła dłuższa cisza, podczas której obaj mężczyźni mozolnie liczyli na palcach.

–Kupa kasy – rzekł wreszcie Pex.

–Kupa – zgodził się Chips.

Julia wycelowała lornetkę w obrotowe drzwi Iglicy. Byłoby łatwiej skorzystać z wrózkowego kasku z systemem Optix, niestety, przez ostatnie dwa lata głowa dziewczyny znacznie się powiększyła. Nie tylko to się zmieniło: Julia z kanciastej nastolatki zamieniła się w wysportowaną młodą kobietę. Jednak nie była jeszcze dobrym materiałem na ochroniarza. Musiała wygładzić kilka fałdek – fałdek na osobowości.

Julia Butler lubiła się bawić i nie mogła nic na to poradzić. Sama myśl o tym, że będzie musiała stać z kamienną twarzą przy boku jakiegoś nadętego polityka, wzbudzała w niej gwałtowną niechęć. Oszalałaby z nudów – chyba że o jej usługi zawodowe poprosiłby Artemis. U boku Artemisa Fowla człowiek nigdy się nie nudził.

Niestety, taka propozycja była mało prawdopodobna; Artemis zapewnił wszystkich, że to jego ostatnia robota i po Chicago zamierza wkroczyć na drogę cnoty. Oczywiście, jeżeli w ogóle doczekają jakiegoś „po Chicago”.

Robota obserwacyjna także okropnie Julię nudziła. Siedzenie bez ruchu po prostu nie leżało w jej naturze. Przez swoją nadaktywność niejedną raz oblewała sprawdziany w Akademii madame Ko.

–Dziewczyno, znajdź w sobie spokój – powtarzała Japonka. – Poszukaj owego cichego miejsca, które masz wewnątrz siebie, i zamieszkać w nim.

Kiedy madame Ko zaczynała wygłaszać mądrości kung-fu, Julia na ogół z trudem tłumiała ziewanie. Natomiast Butler chłonał je całym swym jestestwem.

Nieustannie odszukiwał w sobie ciche miejsce i je zamieszkiwał – w gruncie rzeczy, wynurzał się z niego tylko po to, by zmiażdżyć każdego, kto zagrażał Artemisowi. Może dlatego on miał tatuaż w kształcie błękitnego diamentu, a Julia nie.

W drzwiach Iglicy pojawiły się postacie dwóch zwalistych mężczyzn, którzy z głośnym rechotem walili się po ramionach.

–Kapitan Nieduża, zaczynamy – powiedziała Julia do radia, nastrojonego na częstotliwość Holly.

–Zrozumiano – odparła Holly ze swego stanowiska ponad Iglicą Spiro. – Ilu nieprzyjaciół?

–Dwóch. Dużych i durnych.

–Potrzebujesz wsparcia?

–Nie. Załatwię ich sama. Wpadniesz na słówko, kiedy wrócisz?

–Okej. Schodzę za pięć minut, tylko pogadam z Ogierkiem. Aha, Julio, nie pokierasz ich zanadto.

–Jasne.

Julia wyłączyła radio, przeszła na tył furgonetki i jęła upychać rozrzucony sprzęt obserwacyjny pod składanym siedzeniem. Teoretycznie, mięśniacy mogli ją obezwładnić; nie bardzo chciało się jej w to wierzyć, lecz wiedziała, że jej brat z pewnością ukryłby nietypowe urządzenia. Następnie zdjęła żakiet od kostiumu, nałożyła czapkę bejsbolówkę tył na przód, po czym otworzyła tylne drzwi i wyskoczyła na zewnątrz.

Pex i Chips zmierzali przez State Street ku podejrzanej furgonetce. Jej ciemne szyby faktycznie wyglądały zagadkowo, lecz nasza dwójka niezbyt się tym przejmowała; ostatnio każdy nabuzowany testosteronem studenta jeździł z zaciemnionymi oknami.

–Co myślisz? – zainteresował się Pex. Chips zacisnął pięści.

–Myślę, że nie będziemy zawracać sobie głowy pukaniem.

Pex przytaknął. Taką metodę stosowali zazwyczaj. I Chips już-już wyrwałby drzwi z zawiasów, gdyby nie młoda dama, która nagle wyłoniła się zza maski.

–Pewnie szukacie mojego taty? – zagadnęła tonem wprost z MTV. – Znaczy, ciągle ktoś go szuka, a jego nigdy nie ma. Tata w ogóle jest taki zaaferowany. Znaczy, w sensie duchowym.

Pex i Chips jednocześnie zamrugali, co na całym świecie oznacza: „Hę?”. Dziewczyna stanowiła olśniewającą mieszankę ras azjatyckiej i białej, lecz zważywszy na niezrozumienie, jakie odmalowało się na twarzach goryli, mogłaby równie dobrze mówić po grecku. Słowo „zaaferowany” miało sześć sylab, na litość boską!

–To twoja furgonetka? – zapytał Chips, przejmując inicjatywę.

–Znaczy, w takim samym stopniu, w jakim cokolwiek na tym świecie jest nasze – powiedziała dziewczyna, bawiąc się końcem warkocza. – Jeden świat, jedna ludzkość, no nie, koleś? Znaczy, własność to złudzenie. Może nawet nasze ciała nie są nasze? Może jesteśmy marzeniami większego ducha?

Pex pękl.

–Twoja furgonetka, czy nie?! – wrzasnął, zaciskając na szyi dziewczyny kciuk i palec wskazujący.

Julia skinęła głową. Brakło jej powietrza, żeby coś powiedzieć.

–Już lepiej. Jest ktoś w środku?

Gest przeczenia.

Pex nieco rozluźnił uścisk.

–Ile osób jest w rodzinie?

–Siedem – odparła dziewczyna szeptem, aby zużyć jak najmniej powietrza. – Tata, mama, dziadkowie i trojaczki. Beau, Mo i Joe. Poszli na sushi.

Pex się rozpogodził. Trojaczki i dziadkowie nie powinni stanowić problemu.

–Okej, Zaczekamy. Otwieraj, mała.

–Sushi? – zdumiał się Chips. – To surowa ryba. Jadłeś to kiedy, stary?

Julia manipulowała kluczem. Pex wciąż trzymał ją za kark.

–Tak, kupiłem kiedyś w supermarkecie.

–Dobre było?

–Noo. Wrzuciłem na tłuszcz na dziesięć minut. Niezłe.

Dziewczyna odsunęła tylne drzwi i wskoczyła do środka. Za nią, schylając głowy, wgramolili się Pex i Chips. Niestety, przy tej okazji Pex na chwilę rozluźnił uchwyt na szyi Julii. Był to błąd – dobrze wyszkolony najemnik nigdy by nie pozwolił, aby nieskrępowany więzień wszedł pierwszy do niezabezpieczonego pojazdu.

Julia potknęła się „przypadkiem” i przyklękła na dywaniku.

–Sushi... Dobre z frytkami – rozmarzył się Pex.

Stopa dziewczyny śmignęła do tyłu i potężnie ugodziła go w klatkę piersiową. Goryl zwałił się bez tchu na podłogę.

–Ojej! – zdziwiła się dziewczyna, podnosząc się z klęczek. – A to ci dopiero!

Chips nie wierzył własnym oczom, podejrzewał wręcz, że wzrok go mami. Niemożliwe, by ta mała imitacja gwiazdki muzyki pop rozłożyła na łopatki dziewięćdziesiąt kilo mięśni i złości!

–Ty... ty... – wyjąkał. – Nic z tego. Nie ma mowy.

–Ależ tak – odparła Julia, wykonując baletowy piruet. Nefrytowy pierścień na końcu warkocza, rozpędzony siłą odśrodkową, grzmotnął Chipsa między oczy jak wystrzelony z procy kamień. Goryl zachwiał się i padł na wznak, lądując na kanapce ze sztucznej skóry.

Za plecami Julii Pex odzyskiwał oddech. Przestał dziko wywracać oczami i skupił wzrok na napastniczce.

–Cześć – powiedziała Julia, pochylając się nad nim. – Wiesz co?

–Co?

–Sushi się nie smaży – odparła dziewczyna, waląc goryla w obie skronie. Natychmiast stracił przytomność.

Z toalety wyłonił się Mierzwa, dopinając klapkę swoich tunelowych portek.

–Czyżbym coś przegapił?

Holly unosiła się pięćdziesiąt metrów nad śródmieściem Chicago, znanym lokalnie jako Pętla ze względu na otaczające je tory kolejki nadziemnej. Elficzka znalazła się tu z dwóch powodów: po pierwsze, chcąc sporządzić trójwymiarowe plany Iglicy Spiro, musiała ją najpierw prześwietlić; po drugie, pragnęła porozmawiać z Ogierkiem na osobności.

Na dachu kamienicy z początków dwudziestego wieku ujrzała sylwetkę kamiennego orła. Przysiadła na jego głowie. Nie miała zbyt wiele czasu – wiedziała, że wibracje jej tarczy ochronnej już po chwili zaczną kruszyć kamień.

W słuchawce rozległ się głos Julii:

–Kapitan Nieduża, zaczynamy.

–Zrozumiano – odparła Holly. – Ilu nieprzyjaciół?

–Dwóch. Dużych i durnych.

–Potrzebujesz wsparcia?

–Nie. Załatwię ich sama. Wpadniesz na słówko, kiedy wrócisz?

–Okej. Schodzę za pięć minut, tylko pogadam z Ogierkiem. Aha, Julio, nie pokierasz ich zanadto.

–Jasne.

Holly uśmiechnęła się. Julia to niezłe ziółko, pomyślała, nieodrodna latorośl Butlerów. Ale była nieobliczalna i roztrzepana – nawet na stanowisku obserwacyjnym nie umiała milczeć dłużej niż przez dziesięć sekund. Brakowało jej właściwej bratu dyscypliny. Wesola nastolatka, w gruncie rzeczy dziecko. Zajęcie ochroniarza niezbyt do niej pasowało, Artemis nie powinien był jej wciągać w swoje wariackie przedsięwzięcia. Chociaż... ten irlandzki chłopiec miał w sobie coś takiego, że nawet wróżka zapominała o zastrzeżeniach. W ciągu ostatniego półtora roku ona, Holly, walczyła dla niego z trollem, uzdrowiła całą jego rodzinę, nurkowała w Oceanie Arktycznym, a teraz zamierzała złamać wyraźny rozkaz komendanta Bulwy.

Połączyła się z salą operacyjną SKR.

–Ogierek, słyszysz mnie?

Przez kilka sekund panowała cisza, po czym z mikrosluchawki buchnął głos centaura:

–Holly? Zaczekaj, słabo cię słyszę. Muszę dostroić długość fali. Mów do mnie, powiedz coś!

–Sprawdzam. Raz dwa. Raz dwa. Trolle tratuja tłum w tumultcie.

–Okej, mam cię. Czysto jak kryształ. Co slychać w Krainie Błota?

Holly spojrzala na lezace pod nia miasto.

–Tu nie ma zadnego błota. Samo szkło, stal i komputery. Spodobałoby ci się.

–O nie. Na pewno nie. Błotniak to Błotniak, nieważne, czy nosi garnitur, czy opaskę biodrową. Telewizja to jedyna dobra rzecz, jaką mają. W naszej Podziemnej TV leca same powtórki, niemal żałuję, że skończył się proces goblinów. Zostali uznani za winnych wszystkich zarzucanych im czynów. Wyrok zapadnie w przyszłym miesiącu.

Ściśnięty niepokojem żołądek Holly nieco się rozluźnił.

–Winni. Dzięki bogom. Nareszcie życie wróci do normy.

–Do normy? – zachichotał szyderczo Ogierek. – Jeśli szukasz normy, musisz znaleźć sobie inną robotę. Jeśli nie odbierzemy Spiro gadżetu Artemisa, pożegnamy się z normą na zawsze.

Centaur miał rację. Odkąd Holly awansowała z obyczajówki do rozpoznania, jej życie było dalekie od normalności. Ale... może nie pragnęła normalnego życia? Czy nie z tego powodu w ogóle zgodziła się na przeniesienie?

–Dlaczego dzwonisz? – zainteresował się Ogierek. – Tęsknisz za domem, czy co?

–Nie – zaprzeczyła Holly. Mówiła prawdę. Nie tęskniła. Prawie nie myślała o Oazie od chwili, gdy Artemis uwikłał ją w swoją najświeższą intrygę. – Potrzebuję rady.

–Rady? Coś podobnego! A nie chcesz przypadkiem prosić o pomoc? O ile pamiętam, słowa komendanta Bulwy brzmiały: „Macie to, co macie”. Zasady to zasady, Holly.

–Tak, Ogierku – westchnęła elficzka. – Zasady to zasady. Juliusz wie najlepiej.

–Owszem, Juliusz wie najlepiej – potwierdził Ogierek. Jednak nie robił wrażenia

przekonanego.

–Pewnie i tak nie zdołałbyś nam pomóc. Zabezpieczenia Spiro są dość zaawansowane.

Ogierek parsknął, a parszający centaur to coś, co warto usłyszeć.

–No, jasne. A co on takiego ma? Dwie puste puszkę i psa? Wielkie mi rzeczy!

–Chciałbyś! W tym budynku są takie urządzenia, jakich nigdy przedtem nie widziałam. Sprytne.

W narożniku przyłbicy Holly rozbłysnął niewielki ciekłokrystaliczny ekran. Ogierek nadawał na wizji z Komendy Policji – coś, czego zasadniczo nie powinien robić podczas operacji o nieoficjalnym charakterze. Centaur był ciekawy.

–Wiem, do czego zmierzasz – powiedział, grożąc Holly palcem.

–Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – odparła elficzka tonem niewiniątka.

–„Pewnie i tak nie zdołałbyś nam pomóc. Zabezpieczenia Spiro są dość zaawansowane” – zaczął ją przedrzeźniać centaur. – Próbujesz podrażnić moją miłość własną. Nie jestem głupi, Holly.

–Okej, niech ci będzie. Chcesz znać prawdę?

–Aaa, to teraz mówimy prawdę? Interesująca taktyka jak na SKR!

–Iglica Spiro to istna forteca. Bez twojej pomocy nie dostaniemy się do środka, nawet Artemis to przyznał. Niepotrzebny nam sprzęt ani dodatkowa magiczna moc, prosimy tylko o kilka rad przez radio i może trochę pracy z kamerą. Po prostu zachowaj z nami łączność, to wystarczy.

Ogierek podrapał się po brodzie.

–Nie ma wejścia, co? I nawet Artemis to przyznaje?

–„Bez Ogierka sobie nie poradzimy”. Tak powiedział.

Na obliczu centaura odmalowała się jawna satysfakcja.

–Macie jakieś nagranie wideo?

Holly wyciągnęła zza pasa ręczny komputer.

–Artemis częściowo sfilmował wnętrze Iglicy. W tej chwili wysyłam ci nagranie e-

mailem.

–Musimy mieć plany budynku.

Elficzka poruszyła przyłbicą z lewa na prawo, aby Ogierek zorientował się w jej położeniu.

–Po to tu jestem. Żeby zrobić zdjęcie rentgenowskie. Za dziesięć minut znajdzie się w twoim komputerze.

W słuchawkach Holly rozległ się brzęczyk – to komputer w Komendzie Policji sygnalizował, że jej przesyłka dotarła.

–Szyfry... – otworzył plik Ogierek, nucąc pod nosem. – Okej. Kamery... nie ma sprawy. Zaczekaj, zaraz pokażę obraz z wewnętrznych kamer. Przewijam do przodu przez korytarze... pam param pam pam. Aaa, skarbiec. Na osiemdziesiątym piątym piętrze. Podkładki reagujące na nacisk, pianki antybiotyczne... Czujniki ruchu... Lasery reagujące na temperaturę... Kamery termiczne... Rozpoznawanie głosu... Skanery linii papilarnych i tęczówki... – Urwał. – Nieźle, jak na Błotniaka.

–A co mówiłam? – sarknęła Holly. – Dwie puste puszki i pies, dobre sobie!

–Fowl ma rację. Beze mnie jesteście skończeni.

–Więc pomożesz nam?

Ogierek musiał trochę ponapawać się zwycięstwem:

–Nie mogę nic obiecać, uważasz... – Ale?

–Będę miał otwarty ekran. Na wszelki wypadek...

–Rozumiem.

–Bez gwarancji.

–Bez gwarancji. Jestem ci winna skrzynkę marchewki.

–Dwie skrzynki. I karton soku z żuka.

–Zgoda.

Centaur aż się zaróżowił w obliczu spodziewanego wyzwania.

–Będzie ci go brakowało, Holly? – zapytał znienacka.

Pytanie zaskoczyło elficzkę.

–Kogo? – zapytała, choć znała odpowiedź.

–Chłopaka Fowlów, rzecz jasna. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zostaniemy wytarci z jego pamięci. Skończą się wariackie plany i mrożące krew w żyłach awantury. Czeka nas spokojne życie.

Choć kamera w kasku skierowana była na zewnątrz i centaur nie mógł jej widzieć, Holly odwróciła wzrok.

–Nie – powiedziała stanowczo. – Nie będzie. Ale jej oczy mówiły co innego.

Prześwietlając Iglicę Spiro na różnych wysokościach, Holly stworzyła trójwymiarowy model budynku, przesłała kopię pliku Ogierkowi, po czym wróciła do furgonetki.

–Chyba prosiłam, żeby ich nie uszkodzić – mruknęła, pochylając się nad ogłuszonymi gorylami.

–Hej, wróżko, nie ma sprawy – wzruszyła ramionami Julia. – Trochę mnie poniosło w ogniu walki. Daj mu zastrzyk błękitnych iskerek i niech sobie idzie.

Holly potarła palcem doskonale okrągły siniec na czole Chipsa.

–Szkoda, że mnie nie widziałas – ciągnęła Julia. – Trach, trach, i po krzyku. Nie mieli najmniejszych szans.

Z palca Holly spłynęła pojedyncza błękitna iskierka, która wytarła siniec tak jak mokra ścierka usuwa plamę po kawie.

–Przecież mogłaś ich ogłuszyć za pomocą neutrina.

–Neutrino? A jaka w tym zabawa?

Kapitan Nieduża zdjęła kask i zmierzyła ludzką nastolatkę wściekłym spojrzeniem.

–Julio, to nie jest zabawa. Wydawało mi się, że to pojmujesz, zwłaszcza po tym, co się zdarzyło Butlerowi.

Uśmiech Julii zniknął jak zdmuchnięty.

–Wiem, że to nie zabawa, pani kapitan. Ale może ja po prostu tak działam.

–Więc być może wybrałaś niewłaściwe zajęcie.

–A ty być może zbyt długo pracujesz – odcięła się Julia. – Butler twierdzi, że też

kiedyś byłaś nieźle odjechana.

Z łazienki wyszedł Mierzwa, wysmarowany kremem przeciwsłonecznym. Co prawda był środek nocy, ale krasnal nie zamierzał ryzykować. Jeśli ta akcja nie wypali – na co się mocno zanosilo – rano będzie trzeba zwiewać co sił w nogach.

–Jakiś problem, moje panie? Jeśli kłóćcie się o mnie, szkoda fatygi. Z zasady nie umawiam się z osobniczkami spoza gatunku.

Napięcie opadło jak przekłuty balon.

–Chciałbyś, wlochaczu – rzekła Holly.

–Właśnie, koszmarku – dodała Julia. – A ja z zasady nie umawiam się z nikim, kto mieszka w kupie gnoju.

Mierzwa wcale się nie przejął.

–Obie przeżywacie fazę odrzucenia – oznajmił beztrosko. – Mam taki wpływ na kobiety.

–Nie wątpię – zarechotała Holly.

Pani kapitan położyła swój kask na składanym stoliku i przełączyła kamerę na „Wyświetlanie”. We wnętrzu furgonetki rozbłysł trójwymiarowy holograficzny plan Iglicy Spiro – obracająca się siatka neonowych zielonych kresek.

–Teraz słuchajcie. Plan jest taki. Zespół pierwszy wypala sobie drogę przez ścianę na osiemdziesiątym piątym piętrze. Zespół drugi wchodzi przez drzwi z lądowiska na dachu.

Holly zaznaczyła punkty wtargnięcia, pukając palcem w ekran ręcznego komputera. Na holograficznym planie pojawiły się pulsujące pomarańczowe światełka.

–Ogierek zgodził się pomóc i będzie z nami utrzymywał łączność radiową. Julio, ty weźmiesz ręczny komputer; przyda ci się, żeby naradzać się z nami w biegu. Nie zwracaj uwagi na gnomickie znaki, prześlemy ci wszystkie potrzebne pliki. Ale pamiętaj, żeby używać słuchawek, bo wtedy głośniki są automatycznie wyciszane. Tylko tego brakowało, żeby komputer zapiszczał w niewłaściwym momencie! A to małe wgłębienie poniżej ekranu to mikrofon. Odbiera nawet szepty, więc nie będziesz musiała krzyczeć.

Julia zapięła na nadgarstku urządzenie wielkości karty kredytowej.

–Jaki jest skład zespołów i jakie mają cele?

Holly zanurzyła się w trójwymiarowym obrazie. Jej sylwetkę opasały smugi światła.

–Zespół pierwszy załatwia ochroniarzy, podmieniając zbiorniki z tlenem. Zespół drugi zabiera Kostkę. Proste. Idziemy parami, ty z Mierzwą, ja z Artemisem.

–O nie – zaprotestowała Julia, kręcąc głową. – Z Artemisem muszę iść ja. To mój pryncypał. Mój brat tkwiłby przy nim jak przyklejony, więc ja też powinnam.

Elficzka wynurzyła się z hologramu.

–Nic z tego. Nie umiesz latać ani wspinać się po pionowych ścianach. W każdym zespole musi być jedna wróżka. Jak ci się nie podoba, pogadaj z Artemisem, kiedy znów go zobaczysz.

Julia zafrasowała się. Słowa wróżki brzmiały rozsądnie, oczywiście, że tak – pomysły Artemisa zazwyczaj bywały rozsądne. Zrozumiała także, dlaczego Artemis nie wyjawiał im całości planu jeszcze w Irlandii: wiedział, że ona, Julia, z pewnością mu się sprzeciwi. Już i tak od sześciu godzin byli rozdzieleni, a przecież czekała ich najtrudniejsza część akcji, podczas której Artemis nie będzie miał u boku Butlera.

Holly weszła z powrotem w hologram.

–Zespół pierwszy, czyli ty i Mierzwa, wdrapie się po ścianie Iglicy i wypali otwór na osiemdziesiątym piątym piętrze. Po wejściu do środka umieścicie na kablu telewizji przemysłowej ten zacisk wideo – rzekła, unosząc coś, co wyglądało jak kawałek drutu. – To naładowany światłowód – wyjaśniła. – Pozwala spiratować dowolny system wideo. Dzięki niemu Ogierek będzie mógł przekierować do nas sygnał z każdej kamery w budynku, i na odwrót, wysłać ludziom taki obraz, jaki mu się spodoba. Potem zastąpicie używane przez ochroniarzy zbiorniki z tlenem naszą specjalną mieszanką.

Julia schowała zacisk do kieszeni kurtki.

–Ja wejdę przez dach – ciągnęła Holly – skąd udam się do pokoju Artemisa. Kiedy pierwszy zespół da znak, że droga wolna, pójdziemy po Kostkę K.

–W twoich ustach to brzmi bardzo prosto – westchnęła Julia.

–W jej ustach to zawsze tak brzmi – zaśmiał się Mierzwa. – Ale nigdy się nie sprawdza.

Zespół pierwszy, u podnóża Iglicy

Spiro

Julia Butler została przeszkolona w siedmiu rodzajach sztuk walki. Nauczyła się ignorować ból i brak snu, znosić tortury fizyczne oraz psychiczne. Nic jednak nie przygotowało jej na to, co musiała wytrzymać, aby dostać się do tego budynku.

Iglica nie miała ślepych ścian, a w jej pomieszczeniach przez całą dobę pracowali ludzie. Trzeba było zacząć wspinaczkę od poziomego chodnika. Julia zaparkowała furgonetkę, podjeżdżając jak najbliżej budynku.

Wyszli przez szyberdach, owinięci płachtą maskującą folii Holly. Julia, przypięta do pasa Moonbelt Mierzwy, zastukała w kask krasnala:

–Śmierdzisz!

Po chwili cylindryczny odbiornik w jej uchu zabrzączał:

–Może dla ciebie to smród, ale dla krasnalowej kobiety stanowię esencję zdrowego samca. To ty śmierdzisz, Błotna Dziewczyno, gorzej, jeżeli mam być szczery, niż skunks w dwumiesięcznych skarpetkach.

Nad szyberdachem ukazała się głowa Holly.

–Ciszej tam! – syknęła. – Nie wiem, czy pamiętacie, ale mamy bardzo napięty harmonogram! Twój bezcenny pryncypał, droga Julio, siedzi w zamknięciu, czekając, aż się zjawię. Jest już pięć po czwartej, za niespełna godzinę zmieniają się strażę, a ja muszę jeszcze zamesmeryzować tych goryli. Mamy tylko pięćdziesiąt pięć minut, więc nie traćmy czasu na kłótnie!

–Nie mogłabyś użyć skrzydeł, żeby podrzucić nas na gzyms?

–Podstawowa zasada taktyki wojskowej: dziel i rządź. Jeśli się rozdzielimy, to być może jednemu zespołowi się uda; ale jeśli zostaniemy razem, to niepowodzenie jednego pociągnie za sobą resztę.

Te słowa otrzeźwiły Julię. Wróżka miała rację – Julia powinna była pamiętać o tej zasadzie. Znowu to samo: w kluczowym momencie traciła koncentrację.

–Okej. Do roboty. Będę milczeć jak grób. Mierzwa wsadził ręce do ust, wysysając z porów resztki wilgoci.

–Trzymaj się – rzekł, oderwawszy dłonie od podniebienia. – Idziemy.

Napiął potężne nogi i jednym susem pokonał półtorametrową odległość, dzielącą ich od Iglicy Spiro. Za jego plecami unosiła się Julia, mając wrażenie, że płynie pod wodą. Rzecz w tym, że osoba przypięta do księżycowego pasa Moonbelt nie tylko traci wagę, lecz również koordynację, a czasem odczuwa kosmiczne mdłości. Pasy te zaprojektowano do przenoszenia przedmiotów nieożywionych, nie żywych stworzeń, a już na pewno nie ludzi.

Mierzwa od kilku godzin nic nie pił, wskutek czego pory jego krasnalowej skóry rozszerzone do rozmiarów łebka od szpilki, z głośnym mlaśnięciem przyssały się do gładkiej powierzchni budynku. Krasnal trzymał się stalowych belek i unikał okien – co prawda naszą parę spowijał arkusz folii, ale wciąż wystawały spod niego rozmaite kończyny, mogące zwrócić czyjąś uwagę. Folia maskująca nie jest w stanie zapewnić całkowitej niewidzialności, choć bowiem tysiące wplecionych w tkaninę mikroczujników nieustannie analizuje i odbija otoczenie, wystarczy przelotny deszczyk, żeby spowodować zwarcie.

Mierzwa szybko posuwał się do góry, utrzymując miarowy, gładki rytm. Giętkie palce rąk i nóg krasnala wpijały się w najmniejszą szczelinę, tam zaś, gdzie nie było szczelin, przyczepność zapewniały mu pory. Włoski jego brody, rozpostarte wachlarzowato poniżej przyłbicy, skrupulatnie badały powierzchnię budynku.

Julia nie mogła się powstrzymać:

–Twoja broda! To strasznie dziwne! Co ona robi, szuka pęknięć?

–Wibracji – stęknął Mierzwa. – Czujników, prądów, konserwatorów. – Najwyraźniej nie zamierzał tracić energii na budowanie pełnych zdań. – Czujnik ruchu nas wykryje, jesteśmy skończeni. Z folią lub bez.

Julia nie miała mu za złe, że oszczędza dech. Mieli przed sobą długą drogę. Prosto w górę.

Niebawem znaleźli się tak wysoko, że przestały ich osłaniać sąsiednie budynki. Julia poczuła, że jej nogi unosi silny podmuch wiatru i już po chwili powiewała na plecach krasnala niczym szalik. Nigdy dotąd nie czuła się tak bezradna. Nie miała najmniejszego wpływu na przebieg wydarzeń, całe wyszkolenie zwyczajnie przestało się liczyć. Jej życie jak najdosłowniej było w rękach Mierzwy.

Kolejne piętra przesuwwały się przed nią jak zamazana smuga szkła i stali. Wiatr chwyliwymi palcami szarpał oboje śmiazków, grożąc, że poniesie ich w mrok nocy.

–Przez ten wiatr tu jest mnóstwo wilgoci – wydyszał krasnal. – Nie wiem, jak długo zdołam się utrzymać.

Julia przeciągnęła palcem po ścianie. Była śliska od kropelek wody. Okrywająca ich

plachta iskrzyła za każdym razem, gdy wilgotny wiatr zwierzał mikroczujniki, a miejscami całkiem się wytarła, ukazując fragmenty obwodów, jak gdyby zawieszone w nocnym powietrzu. Cały budynek również się kołysał, mogąc w każdej chwili zrzucić zmęczonego krasnala i jego pasażerkę.

W końcu palce Mierzwy zacisnęły się na gzymsie osiemdziesiątego piątego piętra. Krasnal wdrapał się na wąską półkę i przywarł przyłbicą do ściany.

–To pomieszczenie jest do niczego – oznajmił. – Wyczuwam dwa wykrywacze ruchu oraz alarm laserowy. Musimy iść dalej.

Pobiegł po gzymsie krokiem pewnym jak kozica. To przecież była jego specjalność – krasnale nie spadały, chyba że ktoś je popchnął. Julia ostrożnie podążyła za nim. Nawet Akademia madame Ko nie przygotowała jej na coś takiego.

Wreszcie Mierzwa znalazł okno, które go zadowalało.

–Okej – w słuchawce Julii rozległ się jego pełen napięcia głos. – Chyba znalazłem czujnik z wyczerpaną baterią.

Włosy brody przywarły do szyby.

–Nie słyszę żadnej wibracji, więc nie ma tu żadnego źródła prądu i nikt nie rozmawia. Wygląda na to, że wszystko w porządku.

Pokropił wzmocnioną szybę odrobiną krasnalowej pasty do skał. Szkło natychmiast zamieniło się w płyn, zostawiając na dywanie mętną kałużę. Przy odrobinie szczęścia otwór mógł pozostać nieodkryty przez cały weekend.

–Uech! – jęknęła Julia. – To cuchnie prawie tak samo jak ty.

Mierzwa nawet się nie pofatygował, by odpowiedzieć na obelgę, lecz najszybciej przeturlał się w zacisze pomieszczenia za oknem.

–Czwarta dwadzieścia ludzkiego czasu – oznajmił, spoglądając na umieszczony w przyłbicy księżycomierz. – Mamy opóźnienie. No, chodź.

Julia wskoczyła do środka.

–Typowe błotniactwo – gderał krasnal. – Spiro wydaje miliony na system zabezpieczeń, który następnie nawala z powodu jednej baterii.

Dziewczyna wyciągnęła z kabury otrzymane od SKR neutrino 2000, odbezpieczyła broń i nacisnęła przycisk mocy. Wskaźnik zmienił barwę z zielonej na czerwoną.

–Jeszcze nie koniec – rzekła, zmierzając do drzwi.

–Stój! – syknął Mierzwa. – Kamera!

Dziewczyna zamarła. Zapomniała o kamerze. Przebywają w budynku zaledwie od minuty, a ona już popełnia błędy! Skup się, kobieto, skup się!

Krasnal skierował przyłbicę w stronę ukrytej we wnęce kamery. Filtr jonowy uwidocznił jej zasięg w postaci migotliwego, złocistego strumienia. Nie dało się go ominąć.

–Nie ma martwego punktu – powiedział. – A kabel do kamery biegnie z tyłu, za skrzynką.

–Będziemy musieli skulić się razem pod folią – Julia aż się skrzywiła na tę myśl.

Na ekranie komputera na jej nadgarstku pojawił się Ogierek.

–Teoretycznie moglibyście tak zrobić. Niestety, folia maskująca w przypadku kamery nie działa.

–Jak to?

–Oczy kamer są lepsze niż ludzkie. Przyjrzałaś się kiedyś obrazowi telewizyjnemu? Kamera rozbija go na piksele. Jeśli przejdziecie tędy owinięci w folię, będziecie wyglądali jak dwie osoby, przemykające się za ekranem projekcyjnym.

Julia łypnęła wściekle na monitor.

–Coś jeszcze? Podłoga zamieni się w jezioro kwasu?

–Wątpię. Spiro jest niezły, ale nie jest mną.

–Nie możesz zapętlić obrazu w kamerach, kucyku? – warknęła Julia do mikrofonu. – Chyba wystarczy przez chwilę wysłać im fałszywy sygnał?

Ogierek zgrzytnął końskimi zębami.

–Znowu mnie nie doceniają? Nie, nie mogę ustawić pętli, albowiem inaczej niż podczas oblężenia Fowlów nie ma mnie tam! Do tego właśnie służy zacisk wideo. Obawiam się, że jesteście zdani sami na siebie.

–W takim razie rozwalę tę kamerę!

–Ani się waż! Oczywiście, strzał z neutrina wyłączy ją z obiegu, ale wywoła reakcję całej sieci. Równie dobrze mogłabyś zatańczyć przed Arno Bluntem irlandzkiego giga.

Julia ze złością kopnęła listwę przypodłogową. Wyłożyła się już na pierwszej przeszkodzie. Jej brat wiedziałby, co zrobić, ale był po drugiej stronie Atlantyku. Od kamery dzieliło ją zaledwie sześć metrów, ale równie dobrze mógł to być kilometr tłuczonego szkła.

Zauważyła, że Mierzwa odpina klapkę na zadku.

–No, świetnie. Teraz karzełek potrzebuje na nocniczek. Nie mogłeś sobie znaleźć lepszej pory?

–Zamierzam zignorować twój sarkazm – rzekł Mierzwa, kładąc się płasko na podłodze – bo wiem, co Spiro robi z ludźmi, których nie lubi.

Julia uklękła obok niego. Nie za blisko.

–Mam nadzieję, że nie rozpoczniesz następnego zdania od słów: „Mam chytry plan”.

Krasnal wyraźnie ustawiał zadek do strzału.

–Prawdę mówiąc...

–Żartujesz.

–Jestem śmiertelnie poważny. Dysponuję całkiem pokaźną energią.

Julia nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Ten mały krasnal był kimś bliskim jej sercu – metaforycznie, rzecz jasna. Przystosował się do sytuacji, tak jak ona powinna była zrobić.

–Wystarczy, że obrócimy kamerę na cokole o dwadzieścia stopni, a dotrzemy do kabla niezauważeni.

–I dokonasz tego... siłą wiatrów?

–Właśnie.

–A hałas?

–Ciche i śmiercionośne – puścił do niej oko Mierzwa. – Jestem zawodowcem. Kiedy ci powiem, ściśnij mi mały palec u nogi,.

Pomimo wyczerpujących treningów w najtrudniejszych terenach na świecie Julia nie była przygotowana do uczestnictwa w ofensywie wiatrowej.

–Muszę brać w tym udział? To mi wygląda na akcję jednoosobową...

Mierzwa ocenił odległość zmrużonymi oczyma, po czym odpowiednio ustawił tyłek.

–Ten strzał wymaga precyzji. Potrzebny mi kanonier, żebym mógł się skupić na celowaniu. U krasnali refleksologia jest nauką ścisłą. Każda część stopy jest połączona z pewną częścią ciała. Tak się składa, że mały palec u lewej nogi jest u nas połączony z...

–Okej – zgodziła się Julia pośpiesznie. – Pojmuję.

–No, to do roboty.

Julia ściągnęła Mierzwie but. Jej oczom ukazały się skarpetki bez palców, odsłaniające pięć owłosionych wypustek, które przejawiały ruchliwość, nieznaną ludzkim kończynom.

–To jedyny sposób?

–Chyba że masz lepszy pomysł.

Dziewczyna ostrożnie chwyciła palec, porośnięty krętymi włosami, które usłużnie się rozchyliły, by ułatwić jej dostęp do stawu.

–Już?

–Czekaj – Mierzwa polizał palec wskazujący i uniósł go w górę. – Nie ma wiatru.

–Jeszcze nie – mruknęła Julia. Krasnal poczynił ostatnie poprawki.

–Dobra. Naciskaj.

Julia wstrzymała oddech i wykonała polecenie. My zaś, by oddać tej chwili sprawiedliwość, opiszemy ją w zwolnionym tempie.

Palce dziewczyny zacisnęły się na palcu krasnala, wyzwalając impuls, który błyskawicznie przemieścił się po jego nodze. Mimo gwałtownych skurczów, jakoś udało mu się leżeć nieruchomo, aż wreszcie ciśnienie w jego brzuchu stało się nie do wytrzymania. Rozległ się głuchy huk; pocisk sprężonego powietrza wyrwał się z klapki i przeleciał przez pokój, otoczony falami drgającego, rozgrzanego gazu, rozchodzącymi się niczym kręgi na wodzie. Julia nie bardzo wiedziała, do czego przyrównać owo przeżycie. Miała wrażenie, że kuca obok mózdzierza.

–Za bardzo podkrecony – stęknął Mierzwa. – Przesadziłem.

Powietrzna kula spiralnie popędziła ku sufitowi, po drodze gubiąc kolejne warstwy jak cebula.

–Dobra – ponaglił krasnal. – Trochę w prawo. Kolejny zdumiewający pocisk uderzył w ścianę metr od celu, lecz na szczęście odbił się rykoszetem od kamery, która zawirowała jak talerz na patyku. Intruzi zamarli. Urządzenie wykonało pół tuzina obrotów i zatrzymało się ze skrzypieniem.

–No? – zapytała Julia.

Mierzwa odwrócił się i sprawdził zasięg kamery przez filtr jonowy.

–Udało się – wydyszał. – Dużo szczęścia. Droga wolna do samego końca. Od dawna nie odpalałem torpedy – dodał, zapinając klapkę na dymiącym zadku.

Julia wyjęła z kieszeni zacisk wideo, machając nim nad naręcznym komputerem, żeby Ogierek go zobaczył.

–Mam to zapiąć na jakimkolwiek kablu, tak?

–Nie, Błotna Dzieweczko – westchnął centaur, rozkoszując się ukochaną rolą niedocenianego geniusza. – To skomplikowany produkt nanotechnologii, pełen mikrowłókien, działających jako odbiorniki, nadajniki i uchwyty. Naturalnie, żywi się prądem z systemu Błotniaków.

–Naturalnie – powtórzył Mierzwa, z trudem unosząc opadające powieki.

–Musicie przyczepić go do przewodu wideo i upewnić się, że jest porządnie przymocowany. Na szczęście jego mikroczuJNIK nie musi mieć kontaktu ze wszystkimi przewodami, wystarczy mu jeden.

–A które to są przewody wideo?

–No... wszystkie. Julia jęknęła.

–Więc mam to zapiąć na pierwszym lepszym kablu?

–No tak – przyznał centaur. – Ale zrób to starannie. Każde mikrowłókno powinno być mocno przytwierdzone.

Dziewczyna sięgnęła nad głowę, wybrała dowolny kabel i przypięła do niego zacisk.

–Dobrze?

Zaległa cisza. Ogierek czekał na odbiór. Wreszcie na plazmowym ekranie pod ziemią zamigotały obrazy.

–Doskonale. Mamy oczy i uszy.

–No, to idziemy – ponagliła Julia. – Włącz tę pętlę. Ogierek wszakże zmarnował minutę na kolejny wykład.

–To więcej niż pętla, młoda damo. Zamierzam całkowicie wykasować ruchome elementy z taśm nadzoru. Oznacza to, że obraz oglądany w dyżurce będzie prawidłowy, tylko was na nim nie będzie. Po prostu nie stójcie bez ruchu, inaczej kamera was dostrzeże. Starajcie się czymś poruszać, choćby małym palcem.

Julia zerknęła na cyfrowy zegar na ekranie komputera.

–Czwarta trzydzieści. Musimy się śpieszyć.

–Okej – rzekł Mierzwa. – Ściśle strzeżone centrum mieści się w następnym korytarzu. Pójdziemy najkrótszą drogą.

–Tędy – oznajmiła Julia, wyświetlając w powietrzu hologram planu. – Tym korytarzem, dwa razy w prawo i jesteśmy.

Krasnal wyminął ją i podszedł do ściany.

–Mówiłem, najkrótszą drogą, Błotniaczko. Myśl twórczo.

Znajdowali się w dyrektorskim biurze z widokiem na panoramę miasta wyposażonym w sięgające do sufitu sosnowe półki. Mierzwa odsunął segment regału, po czym postukał w ścianę.

–Płyta gipsowa. Żaden problem.

–Tylko żeby nie było gruzu, krasnalu. Artemis mówił, że mamy nie zostawiać śladów – ostrzegła dziewczyna.

–Nie martw się. Nie brudzę przy jedzeniu.

Mierzwa zdjął szczękę z zawiasów, dzięki czemu jego jama gębowa zyskała wielkość piłki do koszykówki. Następnie rozwarł szczęki pod niesłychanym kątem stu siedemdziesięciu stopni i wygryzł w ścianie potężną wyrwę. W jego wielkich jak nagrobki zębach gips wkrótce zamienił się w miałki pył.

–Trooę suue – wymamrotał. – Tłuuno bszeelnąć. Trzy kęsy później znaleźli się po drugiej stronie.

Krasnal przedostał się do sąsiedniego pokoju, nie roniąc z ust nawet okruszka. Za nim z otworu wygramoliła się Julia, maskując wyrwę segmentem regału.

Następne biuro nie było już tak luksusowe, ot, ciemna klitka jakiegoś wicedyrektora – żadnej panoramy miasta i proste metalowe półki. Julia ustawiła je porządnie na

miejscu, a Mierzwa tymczasem przywarł brodą do drewnianych drzwi.

–Jakieś wibracje na zewnątrz. Prawdopodobnie kompresor. Bardzo regularne, więc to nie rozmowa. Według mnie jesteśmy bezpieczni.

–Moglibyście po prostu zapytać mnie – zabręczał w słuchawce jego kasku głos Ogierka. – Dostaję obraz ze wszystkich kamer w budynku. Jest ich ponad dwa tysiące, w razie gdyby was to interesowało.

–Dzięki za informację. I co, droga wolna?

–Owszem. Aż dziw bierze. Nikogo w bezpośrednim sąsiedztwie, z wyjątkiem strażnika przy biurku w przedsionku.

Julia wyjęła z plecaka dwa szare zbiorniki.

–Dobra. Pora, bym zapracowała na siebie. Zostań tutaj. To potrwa najwyżej minutę.

Delikatnie otworzyła drzwi i ruszyła korytarzem, stąpając bezszelestnie w butach na gumie. Panował tu półmrok, paliły się tylko podłużne świetlówki, wpuszczone w dywan jak w samolocie, oraz czerwone światełka nad wyjściami awaryjnymi.

Schemat wyświetlany przez komputer naręczny powiedział Julii, że do dyżurki zostało jeszcze dwadzieścia metrów. Miała nadzieję, że nikt nie zamknął szafki z tlenem. Właściwie, po co miałyby to robić? Zbiorniki tlenowe nie należały do przedmiotów, objętych szczególną ochroną. A gdyby ktoś z personelu zdecydował się na obchód, Ogierek z pewnością ostrzeże ją z wyprzedzeniem.

Skradając się korytarzem jak pantera, dotarła do ostatniego zakrętu i położywszy się płasko na podłodze, wystawiła nos za róg.

Miała przed sobą stanowisko ochrony na piętrze. Tuż obok niego, jak to wyjawiał Pex pod wpływem siły mesmerycznej, widniał stojak ze zbiornikami tlenu, przeznaczonymi dla strażników w skarbcu.

Za biurkiem siedział tylko jeden ochroniarz, pochłonięty oglądaniem meczu koszykówki na ekranie przenośnego telewizora. Julia podczołgała się na brzuchu, aż znalazła się bezpośrednio pod stojakiem. Goryl, osobnik mniej więcej wielkości lodówki, wciąż gapił się w ekran, odwrócony do niej tyłem.

–Co u diabła? – wykrzyknął nagle. Coś przykuło jego uwagę na monitorze ochrony.

–Rusz się! – syknął Ogierek w słuchawce Julii. – Co?

–Rusz się! Widać cię na monitorze!

Julia pokiwała palcem. Zapomniała, że musi się poruszać. Butler nigdy by nie zapomniał!

Nad jej głową strażnik zastosował uświęcony tradycją sposób reperacji i z całej siły walnął w plastikową obudowę monitora. Zamazany kształt zniknął.

–Cholerne zakłócenia – mruknął. – Głupie satelity. Młodsza latorośl Butlerów poczuła, że po nosie spływa jej strużka potu. Ostrożnie sięgnęła ku górze i umieściła na stojaku przyniesione zbiorniki z tlenem. Chociaż określenie „zbiorniki z tlenem” jest trochę mylące. Zbiorniki nie zawierały tlenu.

Sprawdziła godzinę. Mogło już być za późno.

Zespół drugi, wysoko nad Iglicą

Spiro

Holly unosiła się sześć metrów nad szczytem Iglicy, czekając na zielone światło. Cała operacja niezbyt się jej podobała – było w niej za dużo niewiadomych. Gdyby zadanie nie miało tak kluczowego znaczenia dla przyszłości cywilizacji wrózek, w ogóle by się go nie podjęła.

Z upływem nocy jej nastrój wcale się nie poprawiał. Członkowie zespołu pierwszego okazali się nader nieprofesjonalni, wyklócając się niczym para dzieciaków. Aczkolwiek Julia, aby oddać jej sprawiedliwość, niedawno jeszcze naprawdę była dzieciakiem. Mierzwa przeciwnie – nie odnalazłby dzieciństwa nawet za pomocą encyklopedii.

Kapitan Nieduża śledziła ich postępy na ekranie przyłbicy, wzdrygając się przy każdej nowej przygodzie. W końcu jednak, wbrew wszelkim przeciwnościom, Julia zdołała jakoś zamienić zbiorniki.

–Naprzód – rzucił Mierzwa, usiłując wyrażać się po wojskowemu. – Powtarzam, zgodnie z czarnym kodem... ten... tego, mamy tu czerwoną sytuację „naprzód”.

Kiedy krasnal dostał napadu niepowstrzymanego chichotu, Holly rozłączyła się z niesmakiem. Gdyby coś się działo, Ogierek zawsze mógł otworzyć na jej przyłbicy dodatkowy ekran.

Pod nią Iglica Spiro mierzyła w niebo niczym największa rakieta świata. Mgła, gęstniejąca u podstawy budynku, dodatkowo powiększała złudzenie. Holly skierowała skrzydła w dół i powoli opadła na lądowisko śmigłowców. Wywołała plik wideo z zapisem wejścia Artemisa do Iglicy i zatrzymała go w miejscu, w którym Spiro wprowadzał szyfr do zamka drzwi na dachu.

–Dziękuję, Spiro – powiedziała, z uśmiechem naciskając odpowiednie cyfry.

Pneumatyczne skrzydła rozsunęły się bezszelestnie. Na klatce schodowej automatycznie rozbłysły światła. Rozmieszczone co sześć metrów kamery nie pozostawiały ani skrawka martwego pola. Ale dla Holly nie miało to znaczenia – ludzkie kamery nie potrafiły dostrzec wróżki osłoniętej tarczą, chyba że należały do typu rejestrującego bardzo wiele ujęć na sekundę. A nawet wtedy, aby zauważyć wróżkę, należało bardzo uważnie oglądać stopklatki. Jak dotąd zdołał tego dokonać tylko jeden Błotny Człowiek – irlandzki chłopiec, wówczas dwunastoletni.

Holly sfrunęła klatką schodową, po drodze uruchamiając w przyłbicy argonowy filtr,

wykrywający lasery. Cały budynek mógł być poszatkowany ich promieniami, ona zaś dowiedziałaby się o tym dopiero, gdyby włączył się alarm; nawet wróżka okryta tarczą ma dostatecznie dużą masę, by na milisekundę zatrzymać promień, biegnący do czujnika. Na ekranie przyłbicy wszystko zasnuło się jednolitą fioletową mgłą. Tutaj laserów nie było, lecz z pewnością w skarbcu sytuacja wyglądała inaczej.

Kiedy Holly zbliżyła się do lśniących, stalowych drzwi windy, odezwał się Ogierek:

–Artemis jest na osiemdziesiątym czwartym piętrze, skarbiec na osiemdziesiątym piątym, natomiast apartament Spiro na osiemdziesiątym szóstym, gdzie się obecnie znajdujesz.

–A ściany?

–Według wskazań spektrometru, ścianki działowe to głównie gips i drewno. Z wyjątkiem strategicznych pomieszczeń, które mają wzmocnienia ze stali.

–Niech zgadnę. Chodzi o pokój Artemisa, skarbiec i apartament Spiro.

–Strzał w dziesiątkę, pani kapitan. Lecz nie trać nadziei. Wyznaczyłem najkrótszą trasę, której opis wysyłam teraz do twojego kasku.

Holly zaczęła, aż w rogu przyłbicy pojawi się ikona gęsiego pióra, oznaczająca, że przyszła poczta.

–Otwórz pocztę – rzekła do mikrofonu, wyraźnie wymawiając wyrazy. Wnętrze przyłbicy pokryła siatka zielonych linii, na której rysowała się zaznaczona na czerwono trasa.

–Idź za laserem, Holly. Nawet głupi by trafił. Bez obrazy.

–Nie obraziłam się, na razie. Ale jeżeli się nie uda, tak się obrażę, że się zdziwisz.

Czerwony promień prowadził wprost do wnętrza windy. Holly wleciała do metalowego pudła i zjechała na osiemdziesiąte piąte piętro. Laser powiódł ją korytarzem.

Spróbowała otworzyć drzwi biura po lewej. Zamknięte. Nic dziwnego.

–Muszę wyłączyć tarczę, żeby się tu włamać. Jesteś pewien, że dla kamery moja sylwetka będzie niewidoczna?

–Oczywiście – odparł Ogierek.

Holly niemal widziała, jak centaur dzieciennie odyma wargi. Wyłączyła tarczę i odpięła od pasa Omniwytrych. Narzędzie to wykonywało rentgenowskie zdjęcie zamka i

przekazywało je do mikroprocesora, który dobierał klucz, a nawet nim obracał. Rzecz jasna, Omniwytrych działał tylko w wypadku zamków z dziurką – na szczęście, mimo ich zawodności, Błotni Ludzie nadal się nimi posługiwali.

W niespełna pięć sekund drzwi stały przed nią otworem.

–Pięć sekund! – mruknęła Holly niezadowolona. – Trzeba wymienić baterie.

Czerwona linia na ekranie przyłbicy prowadziła do środka biura, po czym skręcała pod kątem prostym w dół, w podłogę.

–Niech zgadnę. Pode mną jest Artemis?

–Owszem. Sądząc po obrazie z kamery tęczęwkowej, śpi.

–Mówiłeś, że celę otacza powłoka z hartowanej stali.

–Rzeczywiście. Ale na ścianach i suficie nie ma czujników ruchu. Wystarczy, że wypalisz otwór.

–Ach, tylko tyle? – zaszydziła Holly, wydobywając neutrino 2000.

Wybrała miejsce w pobliżu ściennego klimatyzatora i odwinęła dywan, spod którego metalicznie błysnęła podłoga.

–Żadnego śladu, pamiętaj! – szepnął w słuchawce Ogierek. – To sprawa życia i śmierci.

–Zajmę się tym później – odparła Holly, nastawiając klimatyzator na oczyszczanie. – Na razie muszę go uwolnić. Czas nagli.

Wyregulowała promień lasera w taki sposób, aby jedynie przeciął stalową podłogę. Po chwili z płynnej stali buchnął gryzący dym, który klimatyzator natychmiast wyssał i wyrzucił w nocne niebo Chicago.

–Artemis nie jest jedynym, który ma jakiś rozum – stęknęła, ocierając twarz, zlaną potem pomimo chłodzenia w kasku.

–Klimatyzator usunął dym i alarm przeciwpożarowy się nie włączył. Bardzo dobrze.

–Obudził się? – zapytała elficzka, wycinając w podłodze kwadrat pół na pół metra, który trzymał się tylko na pasku stali w narożniku.

–Przytomny i rześki jak szczypiorek na wiosnę, by użyć metafory centaurów. Rozcinanie laserem stalowego sufitu ma taki wpływ na ludzi.

–Świetnie – rzekła kapitan Nieduża, tnąc metal do końca. Metalowy kwadrat przez chwilę wisiał na cienkiej stalowej nitce, po czym spadł.

–Nie narobi hałasu? – zaniepokoił się Ogierek.

–Nie wydaje mi się – odpowiedziała Holly, patrząc w dół.

Rozdział dziesiąty

Palce i kciuki

Cela Artemisa Fowla, Iglica Spiro

Pierwszy strzał z lasera wyrwał Artemisa ze stanu głębokiej medytacji. Chłopiec wstał z pozycji lotosu, wciągnął sweter i ułożył na podłodze stos poduszek. Po chwili na poduszki opadł potężny kwadrat stali, nie czyniąc najmniejszego hałasu. W otworze ukazała się twarz Holly.

–Przewidziałaś, co zrobię? – zapytał Artemis, wskazując na poduszki.

Kapitan SKR przytaknęła.

–Zaledwie trzynaście lat, a już taki przewidywalny.

–Przypuszczalnie wykorzystowałaś klimatyzator, żeby pozbyć się dymu?

–Owszem. Mam wrażenie, że aż za dobrze się znamy.

Holly spuściła w dół przytwierdzoną do pasa linkę zakończoną hakiem.

–Zrób na końcu pętlę i wskakuj. Wyciągnę cię na górę.

Po kilku sekundach Artemis wdrapywał się przez otwór do pokoju na górze.

–Udało ci się namówić pana Ogierka?

–Sam go zapytaj – odparła wróżka, wręczając mu małą cylindryczną słuchawkę.

Chłopiec włożył w ucho ów cud nanotechnologii.

–No, Ogierek? Czym mnie zadziwisz? Głęboko pod ziemią, w Oaza City, centaur aż zatarł ręce. Artemis był jedyną osobą, która naprawdę rozumiała jego wykłady.

–Spodoba ci się to, Błotniaku. Nie tylko wytarłem cię z zapisu wideo, nie tylko wymazałem dziurę w suficie, ale stworzyłem symulację Artemisa.

–Zasymulowałaś mnie? Naprawdę? – zapytał Artemis, zaintrygowany. – W jaki sposób?

–W gruncie rzeczy to proste – odrzekł skromnie Ogierek. – Mam mnóstwo nagrań ludzkich filmów. Wykorzystałem scenę z *Wielkiej ucieczki*, kiedy Steve McQueen siedzi w izolacji. Musiałem tylko trochę zmienić strój.

–A twarz?

–Miałem kilka cyfrowych zdjęć z twojego przesłuchania w Oazie. Sklepiłem jedno z drugim, i *voilà*. Nasz symulowany Artemis zrobi wszystko, co mu każę, kiedy mu każę. Na razie śpi, ale może za pół godziny poproszę, żeby poszedł do łazienki.

–Cuda współczesnej nauki – sarknęła Holly, zwijając linkę. – SKR ładuje w twój wydział ciężkie miliony, a ty potrafisz tylko wysyłać Błotnych Chłopców do toalety.

–Holly, powinnaś być dla mnie miła. Wyświadczam ci wielką przysługę. Gdyby Juliusz wiedział, że ci pomagam, bardzo by się zdenerwował.

–Przecież właśnie dlatego nam pomagasz! Elficzka cicho podeszła do drzwi i odrobinę je uchyliła. Na korytarzu panowała pustka i cisza, przerywana tylko cichym pomrukiem obracających się kamer oraz brzęczeniem świetlówek. W narożniku przyłbicy Holly migotały miniaturowe obrazy z zabezpieczających kamer Spiro. W tej chwili na piętrze robiło obchód sześciu ochroniarzy. Elficzka zamknęła drzwi.

–Dobra. Trzeba iść. Musimy dotrzeć do Spiro, zanim strażnicy się zmienią.

Artemis przykrył dywanem dziurę w podłodze.

–Zlokalizowałaś jego apartament?

–Bezpośrednio nad nami. Musimy tam wejść i zeskanować jego tęczówkę oraz kciuk.

Przez twarz Artemisa przemknął dziwny grymas. Po sekundzie zniknął.

–Skan. Tak. Im prędzej, tym lepiej.

Holly jeszcze nigdy nie widziała u chłopca takiej miny. Poczucie winy? Czy to możliwe?

–Jest coś, czego mi nie powiedziałaś? – zapytała. Lecz na twarzy Artemisa znów malowała się zwykła obojętność.

–Nie, kapitan Nieduża. Poza tym, czy naprawdę sądzisz, że to właściwa pora na przesłuchanie?

Wróżka pogroziła mu palcem.

–Artemisie! Jeśli teraz, w środku akcji, ze mną zadrzesz, nie zapomnę ci tego!

–Nie martw się – rzekł cierpko Artemis. – Ja z pewnością zapomnę.

Apartament Spiro mieścił się dokładnie dwa piętra nad całą Artemisa – dzięki temu można było wzmocnić stałą cały segment. Ale, paradoksalnie, nie zainstalowano w nim kamer, ponieważ Spiro nie mógł znieść myśli, że ktoś miałby go śledzić.

–Typowe – mruknął Ogierek. – Opętani żądzą władzy megalomani nie lubią, kiedy ktoś podgląda ich brudne sekrety.

–Chyba ktoś tu jest w stadium negacji – rzekła Holly, kierując ku sufitowi promień neutrina.

Podwieszany sufit topniał niczym lód w czajniku, odsłaniając stalową konstrukcję stropu. W dywan wżerały się krople roztopionej stali. Kiedy krąg zyskał odpowiednią średnicę, Holly wyłączyła laser i zdjawszy z kasku kamerę, wsunęła ją w ciemny otwór.

Ekran pozostał pusty.

–Przełącz na podczerwień.

Z mroku wyłoniły się zarysy wieszaka z garniturami – zapewne białymi.

–Garderoba. Trafiliśmy na garderobę.

–Doskonale – powiedział Ogierek. – Uśpij go.

–I tak śpi. Jest za dziesięć piąta nad ranem.

–Lepiej mieć pewność, że się nie obudzi.

Holly przypięła kamerę na właściwym miejscu, po czym wyluskała z pasa srebrzystą kapsułkę i umieściła ją w otworze.

–Ta kapsułka to Spacz Wzmacniacz, jeżeli jesteś ciekaw – skomentował Ogierek na użytek Artemisa.

–Gazowy?

–Nie, fale mózgowe.

–Mów dalej – zaciekawiał się Artemis.

–Działa na zasadzie odczytywania wzorców fal mózgowych, które następnie powiela. Każdy, kto przebywa w jego pobliżu, pozostaje w stanie, w jakim dotychczas się znajdował, dopóki kapsułka się nie rozpuści.

–Bez śladu?

–Najmniejszego. I żadnych skutków ubocznych. Nieważne, ile mi płacą, i tak dostają za mało.

Holly odczekała, aż na zegarze w przyłbicy minie minuta.

–Okej. Śpi jak zabity, pod warunkiem, że nie czuwał, kiedy wprowadziliśmy Spacza Wzmacniacza. Chodźmy.

Nie licząc czarnej dziury w garderobie, sypialnia Spiro była równie biała jak jego garnitury. Holly i Artemis wygramolili się na biały, puszysty dywan, wokół którego stały czeczotowe szafy, i przez rozsuwane drzwi przedostali się do pokoju, świecącego bielą w ciemnościach. Białe, futurystyczne meble, białe reflektorki i białe zasłony.

Holly przez chwilę wpatrywała się w obraz, zajmujący prawie całą ścianę.

–No nie, coś podobnego! – szepnęła w końcu. Było to całkowicie białe malowidło olejne, opatrzone mosiężną plakietką z napisem *Duch śniegu*.

Spiro niemal ginął wśród wydm jedwabnej pościeli na środku ogromnego futonu. Holly odgarnęła kołdrę i przewróciła go na plecy. Nawet we śnie twarz mężczyzny miała złośliwy wyraz, jakby jego sny były równie paskudne, jak myśli na jawie.

–Miły facet – rzekła Holly, kciukiem unosząc lewą powiekę Spiro. Kamera na jej kasku zeskanowała tęczę, po czym zapisała informację na dysku. Projekcja owego pliku na skaner w skarbcu była już prostą sprawą.

Linie papilarne kciuka stanowiły większy problem. Tutaj należało przechytrzyć skaner żelowy, którego maleńkie sensory wyczuwały rzeczywiste rowki i wzniesienia na palcu Spiro. Sama projekcja nie wystarczała – potrzebny był model trójwymiarowy. Artemis wpadł na pomysł, by wykorzystać lateksowy przyklep z pamięcią, stanowiący standardowe wyposażenie apteczek SKR – taki sam, jakim przytwierdzono mikrofon do jego krtani. Musieli tylko owinąć nim kciuk Spiro, a za chwilę zyskaliby gotowy „odlew”.

Holly wyciągnęła z pasa rolkę przyklepca i oddarła piętnastocentymetrowy kawałek.

–To na nic – oznajmił Artemis.

Serce Holly zamarło. To było to – owa rzecz, której Artemis nie chciał jej powiedzieć. – Co?

–Lateks z pamięcią. W ten sposób nie oszukamy skanera żelowego.

–Nie mam czasu na bzdury, Artemisie – powiedziała Holly, złączając z futonu. – My nie

mamy czasu na bzdury. Lateks z pamięcią zachowa doskonałą kopię, co do najdrobniejszej molekuly.

Artemis uporczywie patrzył w podłogę.

–To prawda, model będzie doskonały, ale odwrócony. Jak negatyw fotograficzny. Wypukły, tam gdzie powinien być wklęsły.

–D’Arvit! – zaklęła Holly.

Błotny Chłopiec miał rację. Oczywiście. Skaner żelowy uznałby lateksowy model za odcisk zupełnie innego kciuka. Skryte przyłbicą policzki pani kapitan zakwitły czerwienią.

–Wiedziałaś o tym, Błotniaku! Cały czas wiedziałaś! Artemis nie pofatygował się, aby zaprzeczyć.

–Zdumiewa mnie, że nikt inny na to nie wpadł.

–Więc po co kłamałaś?

Chłopiec okrążył łóżko i chwycił prawą rękę Spiro.

–Bo skaner żelowy nie da się nabrać. Trzeba mu pokazać prawdziwy kciuk.

–Niby co mam zrobić? – parsknęła Holly. – Odciąć mu palec i zabrać ze sobą?

Milczenie Artemisa było wystarczającą odpowiedzią.

–Co? Chcesz, żebym ucięła mu kciuk? Oszalałaś? Artemis cierpliwie zaczekał, aż przejdzie jej szok.

–Pani kapitan, proszę posłuchać. To przecież tylko na chwilę. Kciuk można przytwierdzić z powrotem, prawda?

Holly podniosła rękę.

–Zamknij się, Artemisie. Po prostu bądź cicho. A ja myślałam, że się zmieniłeś. Komendant miał rację. Natury ludzkiej nie da się zmienić.

–Cztery minuty – upierał się Artemis. – Mamy cztery minuty, żeby włamać się do skarbca i wrócić. Spiro niczego nie poczuje.

Cztery minuty, według podręcznika, wynosiła maksymalna zwłoka podczas uzdrawiania. Potem nie było już gwarancji, że kciuk się przyjmie. Skóra by się zrosła, lecz mięśnie i zakończenia nerwowe mogłyby zostać odrzucone przez organizm.

Holly odniosła wrażenie, że jej kask się kurczy.

–Artemisie, zaraz ci przyłożę, jak mi bogowie mili.

–Holly, pomyśl. Nie miałem wyjścia, musiałem skłamać w tej sprawie. Gdybym powiedział ci wcześniej, zgodziłabyś się?

–Nie! I teraz też się nie zgadzam!

Twarz Artemisa była blada jak ściany pokoju.

–Musisz, pani kapitan. Nie ma innego sposobu.

Elficzka machnęła lekceważąco ręką, jakby Artemis był natrętną muchą, po czym zwróciła się do mikrofonu:

–Ogierek, słyszałeś? To obłąd!

–To może brzmi jak obłąd, Holly, ale jeśli nie odzyskamy wytworu naszej technologii, stracimy znacznie więcej niż kciuki.

–Ogierek, nie wierzę własnym uszom! Po czyjej ty jesteś stronie? Nie chcę nawet myśleć o prawnych konsekwencjach takiego postępku.

–Prawne konsekwencje? – sarknął centaur. – Z prawem rozminęliśmy się już jakiś czas temu. To jest tajna operacja, żadnych protokołów i zezwoleń. Gdyby wyszła na światło dzienne, na drugi dzień znaleźlibyśmy się bez pracy. Parę kciuków nie robi żadnej różnicy.

Holly podkręciła klimatyzację w kasku, kierując na czoło strumień zimnego powietrza.

–Artemisie, jesteś pewien, że zdążymy? Chłopiec wykonał w myślach kilka obliczeń, po czym skinął głową:

–Tak, jestem pewien. A poza tym, i tak nie mamy innej możliwości.

–Nie mogę uwierzyć, że w ogóle to rozważam – rzekła wstrząśnięta Holly, przechodząc na drugą stronę futonu. Delikatnie uniosła dłoń Spiro. Nie zareagował, nawet nie stęknął we śnie. Jego oczy pod powiekami szybko drgały w fazie snu REM.

Holly dobyteła broni. Oczywiście, amputacja palca i ponowne przytwierdzenie go za pomocą magii były w teorii całkowicie możliwe. Delikwent nie doznałby żadnego szwanku, więcej, zastrzyk czarodziejskiej mocy usunąłby z jego dłoni plamy wątrobiane. Jednak nie o to chodziło. Magii nie wolno było używać w ten sposób. Po raz kolejny Artemis manipulował Małym Ludem dla swych własnych celów.

–Piętnastocentymetrowy promień – zabrzmiał w jej uchu głos Ogierka. – Bardzo wysoka częstotliwość. Cięcie musi być czyste. I przy okazji daj mu magiczny zastrzyk. Może dzięki temu zyskasz kilka minut.

Z jakiegoś powodu Artemis zajrzał Spiro za uszy.

–Hmm – mruknął. – Sprytne.

–Co? – syknęła Holly. – Co znowu? Artemis wyprostował się.

–Nic takiego. Nie przerywaj sobie.

Neutrino Holly błysnęło krótkim, skupionym promieniem. Jej przyłbica zaśniła czerwono. – Jedno cięcie – rzekł Artemis. – Czyste.

–Dosyć! – łypnęła nań wściekle Holly. – Ani słowa, Błotniaku! A zwłaszcza ani jednej rady!

Chłopiec zamilkł; pewne bitwy wygrywa się przez ustępstwa.

Holly ujęła kciuk Spiro i wysłała w rękę człowieka łagodny czarodziejski impuls. Po kilku sekundach skóra napięła się, znikły zmarszczki, powróciła sprężystość.

–Filtr – rzuciła w mikrofon. – Rentgen.

Nagle wszystko, łącznie z ręką Spiro, stało się przezroczyste. Pod skórą wyraźnie zarysowały się kości i stawy. Elficzka potrzebowała jedynie kciuka, więc mogła przeciąć kość między zgięciami. Wolą unikać komplikacji, związanych z rekonstrukcją stawu – ponowne przytwierdzenie palca w tak krótkim czasie i bez tego zapowiadało się dość trudno.

Wstrzymała oddech. Spacz Wzmacniacz działał skuteczniej niż jakakolwiek narkoza – Spiro z pewnością nie poczuje najmniejszego dyskomfortu. Wykonała cięcie. Poszło gładko i natychmiast się zagoiło. Nie spadła ani jedna kropla krwi.

Artemis zawiął kciuk w chusteczkę znaną w szafce Spiro.

–Dobra robota – powiedział. – Chodźmy. Nie ma czasu.

Przez dziurę w podłodze garderoby Artemis i Holly ponownie zeszli na osiemdziesiąte piąte piętro. Były tu przeszło dwa kilometry korytarzy, nieustannie patrolowanych przez trzy pary strażników. Obchód zaplanowano ze szczególną starannością, tak aby ktoś zawsze miał na oku wejście do skarbcza. Pokonanie prowadzącego doń stumetrowego korytarza trwało osiemdziesiąt sekund, po czym zza węgła wyłaniała się kolejna para ochroniarzy. Całe szczęście, że tego

konkretnego poranka niektórzy z nich patrzyli na świat nieco inaczej niż zazwyczaj.

Ogierek dał hasło.

–Okej, nasi chłopcy zbliżają się do rogu.

–Jesteś pewien, że to oni? Wszyscy ci goryle wyglądają tak samo, mała głowa i kompletny brak szyi.

–Jestem pewien. Zostali wyraźnie oznakowani.

Holly ostemplowała Peksa i Chipsa farbą, używaną przez urząd celny i imigracyjny do wydawania niewidzialnych wiz. Oglądane przez filtr podczerwieni owe stemple jarzyły się jaskrawą pomarańczową barwą.

–Dobra, idź – rzekła Holly, wypychając Artemisa przez drzwi. – Tylko bez sarkastycznych komentarzy.

Nie musiała go ostrzegać. Nawet Artemis Fowl pojmował, że na tak niebezpiecznym etapie operacji należy powstrzymać się od sarkazmu.

Pobiegł korytarzem ku strażnikom, ogromnym mężczyznom w nienaturalnie odstających pod pachami kurtkach. Oczywiście mieli broń. Duży kaliber, z mnóstwem pocisków.

–Jesteś pewna, że są zamesmeryzowani? – zapytał chłopiec.

–Oczywiście – odrzekła Holly, unosząca się nad jego głową. – Mają umysły tak czyste, że można by na nich pisać jak kredą na tablicy. Ale jeżeli chcesz, to ich ogłuszę.

–Nie – rzekł Artemis. – Żadnych śladów. Nie wolno nam zostawiać śladów.

Pex i Chips zbliżali się z wolna, omawiając zalety rozmaitych fikcyjnych postaci.

–Kapitan Hook jest super – mówił Pex. – I skopałby Barneyowi ten fioletowy tyłek sto razy na sto.

–W ogóle nie kojarzysz, o co chodzi w *Barneyu* – westchnął Chips. – To sprawa wartości. Kopanie w tyłek nie ma tu nic do rzeczy.

Przeszli obok Artemisa, w ogóle go nie widząc. Dlaczegoż mieliby go widzieć? Holly tak ich zamesmeryzowała, że nie dostrzegliby na tym piętrze nikogo niezwykłego, chyba że zostałyby im wskazany.

Przed Artemisem widniało zewnętrzne stanowisko ochrony. Zostało mu czterdzieści

sekund do pojawienia się następnej pary strażników – i ci nie zostali zamesmeryzowani.

–Trochę ponad pół minuty, Holly. Wiesz, co robić.

Holly nastawiła termozwoje w swoim kombinezonie na temperaturę pokojową, aby oszukać promienie laserów, krzyżujące się przy wejściu do skarbcza. Następnie uniosła się delikatnie – większy odrzut mógł uaktywnić podkładkę naciskową – i z wolna poleciała do przodu, odpychając się od ścian w miejscach, gdzie według wskazań kasku nie było żadnych sensorów. Muśnięta podmuchem podkładka zadrżała, ale czujnik nie zareagował.

Artemis niecierpliwie obserwował jej poczynania.

–Pośpiesz się, Holly. Dwadzieścia sekund. Wróżka mruknęła coś nienadającego się do druku i zbliżyła się do drzwi na odległość ręki.

–Plik wideo Spiro 3 – powiedziała i komputer w kasku wyświetlił film, na którym Jon Spiro wprowadzał szyfr do klawiatury zamka. Holly dokładnie powtórzyła jego ruchy i sześć wzmocnionych trzpieni, umieszczonych wewnątrz stalowych drzwi, cofnęło się. Obciążone przeciwwagą skrzydło otworzyło się szeroko, a wszystkie zewnętrzne alarmy automatycznie zgasły. Przed wróżką odsłoniły się potężne drugie drzwi z płytką kontrolną, na której płonęły trzy czerwone światelka. Jeszcze tylko trzy przeszkody: skaner żelowy, skaner tęczęwki i aktywacja głosem.

Taka operacja była zbyt skomplikowana, by używać komend głosowych. Zdarzało się już, że komputery Ogierka źle interpretowały polecenia, chociaż centaur upierał się, że to błąd personelu. Holly energicznym ruchem zdarła osłonę ze sterującej kaskiem klawiatury na swoim przegubie.

Najpierw na wysokości 168 cm wyświetliła trójwymiarowy obraz oka Spiro. Skaner siatkówkowy natychmiast wyemitował promień, który rotacyjnie zbadał wirtualną gałkę oczną, po czym, najwyraźniej zadowolony, zwolnił pierwszy zamek. Czerwone światło zamieniło się w zielone.

Następny krok polegał na zmyleniu analizatora głosu za pomocą odpowiedniego pliku dźwiękowego. Nie było to proste – zainstalowano tu bardzo wyrafinowany sprzęt, który nie dałby się nabrać byle jakiemu nagraniu. To znaczy, nagraniu wykonanemu przez ludzi. Ale cyfrowe mikrofony Ogierka produkowały kopie nieodróżnialne od oryginału. Nawet śmierdzące dżdżownice kompostowe o odwołkach wręcz pokrytych uszami reagowały na syk godowy, emitowany przez urządzenia centaura, który w chwili obecnej prowadził negocjacje patentowe z agencją zbierającą robaki.

Holly odtworzyła plik przez głośniki w kasku.

–Jon Spiro. Jestem szefem, otwieraj szybko”.

Alarm numer dwa także się wyłączył. Kolejne zielone światelko.

–Przepraszam, pani kapitan – rzekł Artemis, w którego głosie zabrzmiał ton niepokoju. – Już prawie nie mamy czasu.

Odwinął kciuk i minawszy Holly, stanął na czerwonej podkładce, po czym przycisnął kciuk do skanera.

Opuszkę odciętego palca pokrył zielony żel. Alarm zapłonął na zielono. Udało się. Oczywiście, że się udało. W końcu kciuk był oryginalny. Jednak drzwi pozostały zamknięte.

–No? Wchodzimy? – Holly szturchnęła Artemisa w ramię.

–Przecież widzisz, że nie. A szturchańce bynajmniej nie ułatwiają mi koncentracji.

Chłopiec wpatrzył się w płytkę rozdzielczą. Co przeoczył? Myśl, kolego, myśl! Uruchom te słynne szare komórki! Pochylił się ku drzwiom, przenosząc ciężar ciała na przednią nogę. Podkładka pod jego stopami cicho skrzypnęła.

–Oczywiście! – zawołał Artemis. Chwycił Holly i mocno przytulił do siebie.

–Czerwony kolor to nie tylko ostrzeżenie – wyjaśnił. – Ta płytka reaguje na ciężar.

Miał rację. Ich łączna masa była dostatecznie zbliżona do masy Spiro, aby oszukać wagę. Zapewne mieli do czynienia z urządzeniem mechanicznym, komputer nie dałby się zwieść w ten sposób. Drugie drzwi opadły i zniknęły w szczelinie pod ich stopami.

–Ruszaj – rzekł Artemis, wręczając kciuk Holly. – Masz niewiele czasu. Zaraz do ciebie dołączę.

–A jeśli nie?

–To przejdziemy do planu B. Holly powoli pokiwała głową.

–Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

–Miejmy nadzieję.

Artemis wkroczył do skarbca. Obojętnie minął warte fortunę klejnoty i obligacje na okaziciela – zmierzał prosto do Kostki K, uwięzionej w klatce z perspeksu. Drogę zagrodzili mu dwaj bykowaci strażnicy. Na twarzach mieli maski tlenowe i trwali w nienaturalnym bezruchu.

–Przepraszam panów. Czy mają panowie coś przeciwko temu, że pożyczę sobie Kostkę K?

Żaden z mężczyzn nie zareagował choćby zmarszczeniem brwi. Niewątpliwie była to zasługa gazu paraliżującego, który obecnie wypełniał zbiorniki. Gaz ten wyprodukowano z jadu całego gniazda pajaków peruwiańskich, a jego skład chemiczny przypominał skład maści, używanej przez południowoamerykańskich Indian do znieczuleń.

Artemis wprowadził kod, recytowany mu przez Ogierka wprost do ucha. Cztery ścianki perspektowej skrzynki opadły bezszelestnie i skryły się we wnętrzu kolumny. Kostka K stała przed nim w pełnej krasie. Wyciągnął rękę...

Sypialnia Spiro

Gdy Holly wróciła do sypialni Spiro, przemysłowiec leżał w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła. Oddychał normalnie i miarowo. Stoper na przyłbicy wróżki wskazywał kilka sekund po 4.57. Najwyższa pora.

Holly troskliwie odwinęła kciuk, a następnie delikatnie przyłożyła go do kikutu. Dłoń Spiro była zimna i niezdrowa w dotyku. Elficzka uważnie przyjrzała się miejscu zetknięcia przez szkło powiększające; o ile mogła stwierdzić, obie części idealnie do siebie pasowały.

–Uzdrowiaj – rzekła i z jej palców popłynął potok niebieskich iskier, które wsiąkły w obie połówki kciuka Spiro. Nici błękitnego światła zszyły naskórek, ślad po cięciu w oczach zarastał świeżą skórą. Palec zaczął wibrować, z porów buchnęła para, spowijając dłoń obłokiem mgły. Cała ręka zadygotała gwałtownie, koścista pierś zafalowała od wstrząsów, kręgosłup wygiął się w łuk, aż Holly przeraziła się, że pęknie. W końcu przemysłowiec opadł bezwładnie na łóżko. Jego serce podczas operacji ani na chwilę nie straciło rytmu.

Kilka zbłąkanych iskier powędrowało w podskokach po ciele Spiro niczym kamyczki na wodzie i zniknęło za jego uszami, tam, gdzie wcześniej zaglądał Artemis. Ciekawe. Oczom zaintrygowanej Holly ukazała się półkolista blizna, obecnie błyskawicznie likwidowana za pomocą magii. Za drugim uchem widniał symetryczny ślad.

Holly zrobiła zbliżenie obu fragmentów skóry.

–Ogierek? Co o tym sądzisz?

–Chirurgia – orzekł centaur. – Może nasz przyjaciel Spiro zrobił sobie lifting. A może...

–A może to nie jest Spiro – dokończyła Holly, przełączając się na kanał Artemisa. – Artemis? To nie Spiro! To sobowtór! Słyszysz mnie? Odbiór!

Artemis nie odpowiadał. Może nie chciał; a może nie mógł.

Skarbiec

Chłopiec wyciągnął rękę po sześcian, gdy wtem rozległ się syk odsuwane go pneumatycznie przepierzenia. W przejściu ukazali się Jon Spiro oraz Arno Blunt. Przedsiębiorca uśmiechał się tak szeroko, że z łatwością pochłonałby plaster melona.

Zaklaskał w dłonie, aż zadźwięczała biżuteria.

–Brawo, paniczu Fowl! Niektórzy z nas nie sądzili, że zajdziesz tak daleko.

Blunt wyjął z portfela studolarowy banknot i wręczył go Spirowi.

–Dziękuję, Arno. Mam nadzieję, że to cię nauczy, by nie zakładać się z firmą.

Artemis z namysłem pokiwał głową.

–W sypialni był sobowtór?

–Owszem. Mój kuzyn Costa. Nasze głowy mają taki sam kształt. Kilka cięć i jesteśmy jak dwie krople wody.

–Więc ustawiłeś skaner żelowy, by akceptował odcisk jego palca.

–Tylko na jedną noc. Chciałem zobaczyć, jak daleko zdołasz dotrzeć. Zdumiewający dzieciak z ciebie, Arty. Nikomu dotychczas nie udało się wejść do skarbcza, a zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, ilu zawodowców próbowało. Najwyraźniej mój system ma jakieś wady, którym będą musieli się przyjrzeć specje od ochrony. Jak tu w ogóle wszedłeś? Nie zauważyłem, byś przyprowadził Costę.

–Tajemnica zawodowa.

–Nieważne – rzekł Spiro, schodząc z małego podwyższenia. – Obejrzymy taśmy. Na pewno są jakieś kamery, do których nie udało ci się dostać. Jedna rzecz jest pewna; nie dokonałeś tego bez pomocy z zewnątrz. Arno, poszukaj u niego słuchawki.

Odnalezienie małego cylindra zajęło Bluntowi niespełna pięć sekund. Wyłuskał go triumfalnie, po czym natychmiast zmiażdżył butem.

Spiro westchnął.

–Arno, jestem pewien, że to małe elektroniczne cudenko było warte więcej, niż ty zdołasz zarobić przez całe życie. Doprawdy, nie mam pojęcia, dlaczego jeszcze cię trzymam.

Blunt skrzywił się, ukazując nowy zestaw zębów. Były przezroczyście i do połowy napełnione błękitnym olejem niczym makabryczna maszynka do robienia fal.

–Przepraszam, panie Spiro.

–Będziesz jeszcze bardziej przepraszał, mój dentystycznie upośledzony przyjacielu – wtrącił Artemis. – Butler już po ciebie idzie.

Blunt odruchowo cofnął się o krok.

–Chyba nie sądzisz, że te bajędy mnie przestraszą! Butler nie żyje. Widziałem, jak padał.

–Być może. Ale czy widziałeś, jak umierał? O ile sobie przypominam, kiedy ty postrzeliłeś Butlera, on postrzelił ciebie.

Blunt pomacał szwy na skroni.

–Szczęśliwy przypadek.

–Przypadek? Butler to pierwszorzędny strzelec. Na twoim miejscu nie mówiłbym mu tego w oczy.

Spiro roześmiał się zachwycony.

–Arno, dzieciak robi ci wodę z mózgu. Trzydzieści lat, a rozgrywa cię, jak fortepian w Carnegie Hall. Okaż trochę kręgosłupa, człowieku, podobno jesteś zawodowcem.

Blunt usiłował wziąć się w garść, lecz na jego twarzy wciąż malował się lęk przed duchem Butlera.

Spiro szybkim ruchem podjął Kostkę K z podstawki.

–Arty, twoje cięte riposty bardzo mnie bawią, ale są bez znaczenia. Znowu wygrałem; zostałeś przechytrzony. To dla mnie tylko gra, rozrywka. Twoja mała akcja była bardzo kształcząca, choć odrobinę żałosna. Ale zrozum – już jest po wszystkim. Zostałeś sam, a ja nie mam czasu na zabawy.

Artemis westchnął. Wyglądał jak obraz klęski.

–Chciałeś mi dać nauczkę, prawda? Żeby mi pokazać, kto tu rządzi.

–Właśnie. Niektórzy długo się uczą. Okazuje się, że im inteligentniejszy jest przeciwnik, tym większe ma ego. Nie mogłeś od razu spełnić mego życzenia; nie, musiałeś najpierw pojąć, że nie możesz się ze mną równać – rzekł Spiro, kładąc kościstą dłoń na ramieniu młodego Irlandczyka. – Teraz słuchaj uważnie, mały. Masz

mi umożliwić dostęp do Kostki. Przestań mi wciskać ciemnotę – jeszcze nie spotkałem specja od komputerów, który nie zostawiłby sobie furtki. Albo natychmiast uruchomisz to cudo, albo sytuacja przestanie mnie bawić, a wierz mi, tego z pewnością byś sobie nie życzył.

Artemis objął dłońmi czerwoną Kostkę i wpatrzył się w jej płaski ekran. To była najdelikatniejsza część planu. Spiro musiał uwierzyć, że kolejny raz udało mu się wymanewrować Artemisa Fowla.

–Zrób to, Arty. Teraz.

Artemis przeciągnął ręką po spierzchniętych wargach.

–Dobrze. Daj mi minutę. Spiro poklepał go po ramieniu.

–Jestem człowiekiem szczodrym. Daję ci dwie. – Skinął Bluntowi głową: – Pilnuj go, Arno. Nie chcę żadnych więcej pułapek ze strony naszego młodego przyjaciela.

Artemis usiadł przy stalowym stole i obnażywszy wnętrze Kostki, szybko pogrzebał w skłębionym pęku światłowodów, całkowicie usuwając jedno pasmo – blokadę SKR. Po niecałej minucie ponownie zamknął obudowę.

Oczy Spiro rozszerzyły się w oczekiwaniu; przez głowę przelatywały mu marzenia o niewyobrażalnym bogactwie.

–Dobre nowiny, Arty. Chcę słyszeć tylko dobre nowiny.

Chłopiec zachowywał się coraz potulniej, jakby jego zadufanie w końcu ustąpiło w obliczu rzeczywistości.

–Przeładowałem ją. Działa. Tylko że...

Spiro zamachał rękami. Jego bransolety zabrzęczały jak owcze dzwonki.

–Tylko że co? Lepiej, żeby to był jakiś drobiazg!

–Nic takiego. Prawie nie warto wspominać. Musiałem przywrócić wersję 1.0. Wersja 1.2 była zakodowana zgodnie ze ścisłym wzorcem mojego głosu; wersja 1.0 jest gorzej zabezpieczona, i przez to bardziej kapryśna.

–Kapryśna?! Kostka to przecież skrzynka, nie moja babcia!

–Nie jestem skrzynką! – odparła Kostka głosem Ogierka, który wcielił się w nią dzięki usuniętej blokadzie. – Jestem cudem sztucznej inteligencji. Żyję, więc się uczę.

–Rozumiesz teraz, o co mi chodzi? – rzekł Artemis słabym głosem. Centaur zaraz

zawali całą sprawę; na tym etapie nie wolno wzbudzać podejrzeń Spiro!

Spiro łypnął na Kostkę, jakby była jego podwładnym.

–Stawiasz się?

Kostka nie odpowiedziała.

–Trzeba mówić do niej po imieniu – wyjaśnił Artemis. – Inaczej udzielałaby odpowiedzi na wszystkie pytania w zasięgu czujników.

–A jak ma na imię?

Julia często mawiała: „Eee?”. Artemis nie miał skłonności do kolokwializmów, lecz w owej chwili ten byłby nader stosowny.

–Na imię ma Kostka.

–Dobra, Kostko. Będziesz mi się stawiać?

–Będę robić wszystko, co leży w zakresie możliwości mojego procesora.

Spiro zatarł dłonie z dziecięcą uciechą, błyskając biżuterią niczym zachód słońca na wzburzonym morzu.

–Okej, wypróbujmy tę zabawkę. Kostko, powiedz mi, czy ten budynek jest pod obserwacją jakiegoś satelity?

Ogierek zamilkł na chwilę. Artemis oczyma wyobraźni widział centaura, wywołującego na swoim ekranie program śledzący Sattrack.

–Zaraz powiem, choć sądząc ze śladów jonowych, w ten budynek celuje więcej wrogich promieni niż w „Sokoła Milenium”.

Spiro rzucił Artemisowi nieprzyjazne spojrzenie.

–Mówiłem, że ma uszkodzony chip osobowości – tłumaczył chłopiec. – Dlatego... dlatego zrezygnowałem z tej wersji. Można to naprawić w każdej chwili.

Spiro przytaknął. Nie życzył sobie elektronicznego dżina o manierach goryla.

–A SKR, co to za jedni, Kostko? – zapytał. – Śledzili mnie w Londynie. Teraz też mnie obserwują?

–SKR? To syryjska telewizja satelitarna – odparł Ogierek zgodnie z instrukcją Artemisa. – Nadają głównie teleturnieje. Nie mają takiego zasięgu.

–Dobra, zapomnijmy o nich. Muszę znać numer seryjny tego satelity.

Głęboko pod ziemią Ogierek zerknął na ekran.

–Hmm... chwileczkę. Stany Zjednoczone, rejestracja rządu federalnego, numer ST1147P.

Spiro triumfalnie zacisnął pięści.

–Tak jest! Dobrze! Tak się składa, że już wcześniej sam zdobyłem tę informację. Kostko, zdałaś egzamin!

Miliarder zaczął płaszać po laboratorium. Zachowywał się jak chciwe dziecko.

–Mówię ci, Arty, to mi ujmuje lat! Czuję się tak, jakbym zaraz miał włożyć garnitur i iść na bal maturalny!

–Coś podobnego.

–Nie wiem, od czego zacząć. Mam sam tłuc kasę? Czy kogoś obrobić?

–Świat leży u twych stóp – rzekł Artemis z wymuszonym uśmiechem.

Przedsiębiorca lekko pogłaskał Kostkę.

–Otóż to! Waśnie tak jest! I zamierzam zebrać zeń całą śmietankę!

W drzwiach skarbcza stanęli Pex i Chips z obnażoną bronią.

–Panie Spiro! – wymamrotał Pex. – Czy to jakiś alarm?

–No, proszę! – zaśmiał się Spiro. – Kawaleria przybyła! Spóźniona o całą wieczność. Nie, to nie alarm. I dałbym wiele, żeby się dowiedzieć, jak małemu Artemisowi udało się was ominąć!

Wynajęte mięśniaki wlepiły w Artemisa wzrok, jakby właśnie pojawił się znikąd. Co, zważywszy na ich zmesmeryzowane mózgi, było całkowicie zgodne z prawdą.

–Nie wiemy, panie Spiro. W ogóle go nie widzieliśmy. Chce pan, żebyśmy go zabrali i urządzili mu mały wypadek?

Spiro zaśmiał się krótko, warkliwie i nieprzyjemnie.

–Mam dla was nowe określenie. Zbyteczni. Wy dwaj jesteście zbyteczni, a on jeszcze nie. Kojarzycie? Więc stójcie i starajcie się wyglądać na niebezpiecznych, inaczej zastąpię was prawdziwymi ogolonymi goryłami.

Po czym miłośnie wpatrzył się w ekran Kostki, jakby w pomieszczeniu nikogo więcej nie było.

–Obliczam, że zostało mi jeszcze dwadzieścia lat. Potem, jeśli o mnie chodzi, świat może iść do diabła. Nie mam rodziny ani spadkobierców, nie muszę nic budować dla potomności. Zamierzam wyssać wszystkie soki z tej planety, a dzięki Kostce będę mógł zrobić co zechcę, komukolwiek zechcę.

–Wiem, co ja bym zrobił przede wszystkim – powiedział Pex. W jego oczach odmalowało się zdumienie, że w ogóle wyrwały mu się jakieś słowa.

Spiro zamarł. Nie był przywykzajony, by mu przerywano tyradę.

–Co takiego byś zrobił, głupku? – zapytał. – Kupiłbyś sobie stolik w Pieczonych Żeberkach u Merva?

–Nie – odparł Pex. – Dorwałbym tych gości od Fonetiksa. Od lat uważają, że są lepsi niż Przedsiębiorstwa Spiro.

Chwila była przełomowa, nie tylko dlatego, że Pex miał jakiś pomysł, lecz również dlatego, że był to pomysł dobry.

W oczach Spiro zajaśniała iskierka namysłu.

–Fonetix. Moi najwięksi konkurenci. Nienawidzę tych dupków. Nic nie sprawi mi większej przyjemności niż zniszczenie tej kupy drugorzędnych telefonicznych narwańców. Ale jak to zrobić? Przyszła kolej na Chipsa.

–Słyszałem, że pracują nad nowym supertajnym urządzeniem komunikacyjnym. Nazywa się superżywotna bateria czy coś takiego.

Spiro aż się zachnął. Najpierw Pex, teraz Chips? Lada moment nauczą się czytać! Niemniej...

–Kostko – rzekł. – Udostępnij mi bazę danych Fonetiksa i skopiuj wszystkie schematy ich projektów.

–Nic z tego, szefie – odrzekł Ogierek. – Fonetix działa w systemie zamkniętym. W Dziale Rozwoju nie ma żadnego łącza internetowego. Musiałabym znaleźć się u nich na miejscu.

Euforia Spiro zniknęła.

–Co ona gada? – rzucił się na Artemisa. Artemis odchrząknął.

–Kostka nie może zdalnie udostępnić zamkniętego systemu. Jej Omniczujnik musi

dotykać obcego komputera albo przynajmniej być w jego pobliżu. W Fonetiksie paranoidalnie obawiają się hakerów, do tego stopnia, że ich Dział Rozwoju jest całkowicie odcięty od świata pod kilkunastometrową warstwą skały. Nie mają nawet poczty elektronicznej. Wiem, bo sam kilkakrotnie próbowałem się do nich włamać.

–Kostka wykryła satelitę, no nie?

–Satelita nadaje. A skoro nadaje, to można go wyśledzić.

Spiro przez chwilę obracał ogniwa bransolety identyfikacyjnej.

–A więc trzeba będzie udać się do Fonetiksa.

–Nie radzę – powiedział Artemis. – To za duże ryzyko, żeby je podejmować dla prywatnej zemsty.

–Ja pójdę, panie Spiro – zaofiarował się Blunt. – Przyniosę panu te plany.

–Miły pomysł. Arno. Dobra myśl. Ale niechętnie powierzyłbym komuś innemu kontrolę nad Kostką. Kto wie, na jaką pokusę zostałby wystawiony? Kostko, umiesz rozbroić system alarmowy Fonetiksa?

–Czy krasnal umie zrobić dziurę w portkach?

–Co takiego?

–Ee... Nic. Określenie techniczne. Nie zrozumie pan. System alarmowy Fonetiksa już został rozbrojony.

–A strażnicy, Kostko? Ich też umiesz rozbroić?

–*No problem.* Mogę zdalnie uruchomić zabezpieczenia wewnętrzne.

–To znaczy?

–Zbiorniki w przewodach wentylacyjnych. Gaz usypiający. Nielegalny, według prawa stanowego Chicago. Ale sprytny, bez żadnych skutków ubocznych, nie zostawia śladów. Po dwóch godzinach intruz przychodzi do siebie w areszcie.

–Paranoicy z Fonetiksa – zarechotał Spiro. – No dobra, Kostko, uspij ich.

–Lulu – odrzekł Ogierek z aż nazbyt realistyczną uciechą.

–Właśnie. A wtedy od schematów Fonetiksa będzie nas dzielił jedynie kod komputera, tak, Kostko?

–Niech mnie pan nie rozśmiesza. Jeszcze nie wynaleziono tak krótkiej jednostki czasu, by zmierzyć, ile zajmie mi włamanie do twardego dysku Fonetiksa.

Spiro przypiął Kostkę do pasa.

–Wiesz co? Chyba polubię to urządzenie. Artemis podjął ostatnią, szczerze brzmiącą próbę opanowania sytuacji.

–Panie Spiro, naprawdę nie sędzę, żeby to był dobry pomysł.

–Pewnie, że nie – zaśmiał się Jon Spiro, z brzękiem zmierzając do drzwi. – Dlatego zabieram cię ze sobą.

Dział Rozwoju Laboratorium Fonetix,

dzielnica przemysłowa Chicago

Z zasobnego parku samochodowego Spiro wybrał miejskiego lincolna, model z lat dziewięćdziesiątych, z fałszywą rejestracją, którego często używano do ucieczek. Auto było stare i nie rzucało się w oczy, ale nawet gdyby policja zdołała zanotować jego numer, niewiele by na tym zyskała.

Blunt zaparkował przed głównym wejściem do Działu Rozwoju Laboratorium Fonetix. Za szklanymi obrotowymi drzwiami widać było siedzącego za biurkiem strażnika. Arno wyjął ze schowka składaną lornetkę i wpatrzył się w umundurowaną postać.

–Śpi jak dziecko – oznajmił.

Spiro klepnął go po ramieniu.

–Dobra. Mamy niecałe dwie godziny. Damy radę?

–Jeśli ta Kostka jest tak dobra, jak twierdzi, możemy tam wejść i wyjść w przeciągu kwadransa.

–To maszyna – wtrącił zimno Artemis. – Nie jeden z twoich wypasionych na sterydach pracowników.

Blunt zerknął przez ramię na Artemisa, który tkwił na tylnym siedzeniu, wciśnięty między Peksa i Chipsa.

–Ni z tego, ni z owego zrobiłeś się bardzo odważny.

–A co mam do stracenia? – wzruszył ramionami chłopiec. – W końcu, gorzej już chyba być nie może.

Obok obrotowego wejścia mieściły się zwykłe drzwi. Kostka zdalnie zwolniła zamek, otwierając intruzom drogę do holu. Dzwonki alarmowe milczały; żaden pluton ochroniarzy nie przybiegł, aby ich zatrzymać.

Spiro ruszył korytarzem, rozochocony wsparciem nowego elektronicznego przyjaciela oraz myślą o rychłym końcu Fonetiksa. Specjalnie zabezpieczona winda stanowiła dla Kostki przeszkodę nie większą niż drewniany płotek dla czołgu i niebawem Spiro i ska zjeżdżali do mieszczącego się osiem pięter niżej podziemnego laboratorium.

–Jedziemy pod ziemię – zachłysnął się Pex. – Tam są kości dinozaurów. Wiecie, że po milionie miliardów lat łąjno dinozaura zamienia się w diament?

Zazwyczaj uwagi tego rodzaju groziły kulą w łeb, ale dzisiaj Spiro był w dobrym humorze.

–Nie, nie wiedziałem, Pex. Może powinienem wypłacać ci gazę w łąjni.

Pex zrozumiał, że we własnym dobrze pojętym interesie lepiej robi, trzymając odtąd buzię na kłódkę.

Wstępu do laboratorium bronił skaner odcisków kciuka, nawet nie żelowy. Kostka z łatwością odnalazła wzorcowy odcisk i dokonała jego ponownej projekcji. Szyfru zabezpieczającego nie było.

–Łatwizna – zapał Spiro. – Powinienem był to zrobić wiele lat temu.

–Nie zawadziłaby odrobina wdzięczności – Ogierek nie mógł powstrzymać irytacji. – W końcu to ja umożliwiłam ci wejście i unieszkodliwiłam strażę.

Spiro podniósł skrzynkę wyżej.

–Niech ci wystarczy fakt, że nie oddałem cię na złom.

–Nie ma za co – mruknął Ogierek.

Arno Blunt sprawdził monitory stanowisk ochrony – w całym budynku leżeli pokodem nieprzytomni strażnicy. Jeden z nich wciąż miał w ustach pół kromki żytniego chleba.

–Muszę przyznać, panie Spiro, że to piękny widok! I w dodatku ci z Fonetiksa będą musieli pokryć rachunek za gaz usypiający!

Spiro zerknął na sufit. W półmroku zamrugało doń czerwienią kilka światełek kamer.

–Kostko, czy przy wyjściu trzeba będzie zniszczyć dyżurkę z monitorami?

–W żadnym wypadku – odparł koński zwolennik aktorskiej metody Stanisławskiego.

– Wytarłam wasze wzorce z nagrań wideo.

Artemis zwisał nad podłogą, niesiony pod pachy przez Peksa i Chipsa.

–Zdrajca – mamrotał. – Dałem ci życie, Kostko. Jestem twoim stwórcą.

–No cóż, Fowl, może stworzyłeś mnie zanadto na swoje podobieństwo. *Aurum potestas est.* Złoto to władza. Robię tylko to, czego mnie nauczyłeś.

Spiro czule pogłaskał Kostkę.

–Kocham tę skrzynkę. Jest dla mnie jak rodzeństwo, którego nigdy nie miałem.

–Jak to, wydawało mi się, że masz brata? – zdziwił się Chips, co zdarzało mu się nader często.

–Niech będzie – przyznał Spiro. – Więć jak rodzeństwo, które bym naprawdę lubił.

Serwer Fonetiksa, stojący pośrodku laboratorium, wyglądał niczym monolit, z którego, prężąc się jak pytony, biegły kable do rozlicznych stacji roboczych.

Spiro odpiął od pasa nowego najlepszego przyjaciela.

–Gdzie cię postawić, Kostko?

–Po prostu połóż mnie na serwerze, a mój Omniczujnik dokona reszty.

Po kilku sekundach na maleńkim ekranie Kostki migają już zielonkawe schematy.

–Mam ich! – zapał Spiro, unosząc triumfalnie pięści. – Nie będą mi już przysyłać szyderczych e-maili z notowaniami giełdowymi!

–Ściąganie zakończone – poinformowała zadowolona z siebie Kostka. – Jesteśmy w posiadaniu wszystkich projektów Fonetiksa na następne dziesięciolecie.

Spiro przytulił Kostkę do piersi.

–Cudnie. Zanim ujawnię istnienie Kostki, zdążę wypuścić na rynek własną wersję telefonu Fonetiksa i jeszcze zarobię kilka milionów! Słyszysz, Arno?

Lecz Arno stał jak wryty ze wzrokiem wlepionym w monitory ochrony.

–Ee, panie Spiro... – wydukał wreszcie. – Mamy tu sytuację...

–Sytuację? – warknął jego szef. – Co to ma znaczyć? Nie jesteś już w wojsku, Blunt. Mów po ludzku.

Nowozelandczyk popukał w ekran, jakby mógł w ten sposób zmienić ukazywany obraz.

–Znaczy, mamy problem. Duży problem. Przedsiębiorca osłupiał, po czym chwycił Artemisa za ramiona.

–Fowl, coś ty zrobił?! Co to ma... – Nie dokończył. Coś zwróciło jego uwagę. – Twoje oczy... Co jest z twoimi oczami? Mają różne kolory!

Artemis uraczył go czarującym wampirzym uśmiechem.

–Żeby cię lepiej widzieć, Spiro.

Zaspana strażniczka w holu gmachu Fonetiksa nagle otrzeźwiała i czujnie rozejrzała się spod daszka wypożyczonej czapki, sprawdzając, czy Spiro nie zostawił warty w korytarzu. Była to oczywiście Julia, którą Holly przetransportowała do Fonetiksa, gdy Artemis tkwił schwytyany w skarbcu Spiro. Przyszła pora, by uruchomić plan B.

Nie istniał żaden gaz usypiający. W ogóle, strażników było tylko dwóch: jeden miał przerwę i drzemał w szatni, drugi robił obchód wyższych pięter. Ale Spiro o tym nie wiedział; upajał się oglądaniem zastępów symulowanych ochroniarzy, których chrapanie rozbrzmiewało w całym budynku dzięki wideoklipowi, wprowadzonemu przez Ogierka do systemu Fonetiksa.

Julia podniosła słuchawkę i wykręciła trzy cyfry: 9... 1... 1...

Spiro delikatnie sięgnął do oka Artemisa, wyluskał kamerę tęczówkową i bacznie się jej przyjrzał, zwracając szczególną uwagę na mikroobwody po wklęsłej stronie.

–Elektronika – szepnął. – Zdumiewające. Co to jest? Artemis zamrugnął. Z oka spłynęła mu łza.

–Nic. Tego nie ma. Tak jak mnie tu nie ma. Twarz Spiro wykrzywił grymas czystej nienawiści.

–Ależ jesteś tu, Fowl. I nigdy stąd nie wyjdiesz. Blunt z niewybaczalną poufałością postukał pracodawcę po ramieniu.

–Szefie! Panie Spiro! Naprawdę musi pan sam to zobaczyć...

Julia zdjęła kurtkę ochrony Fonetiksa, pod którą ukazał się mundur specgrupy policji chicagowskiej. Sprawy w laboratorium Działu Rozwoju mogły się skomplikować, ona zaś musiała zagwarantować Artemisowi bezpieczeństwo. Stała za filarem w holu i czekała na syreny.

Spiro wlepił wzrok w monitory ochrony. Obraz na nich uległ zmianie: nie ukazywał już drzemiących strażników, lecz Spiro i jego ludzi, włamujących się do Fonetiksa. Z jedną różnicą – na ekranie nie było śladu Artemisa.

–Kostko, co to ma znaczyć?! – Spiro aż się zapluł. – Mówiłaś, że wszyscy zostaniemy usunięci z nagrań!

–Kłamałam. To pewnie ta przestępcza osobowość, która się we mnie rozwija.

Spiro cisnął Kostką o posadzkę. Na próżno.

–Solidny polimer – wyjaśnił Artemis, podnosząc nienaruszoną obudowę. – Właściwie niezniszczalny.

–W przeciwieństwie do ciebie.

Wiszący między Chipsem i Peksem Artemis wyglądał jak kukielka.

–Nie rozumiesz jeszcze? – wycedził. – Wszyscy zostaliście sfilmowani. Kostka pracowała dla mnie.

–Wielkie rzeczy! Wystarczy, że zajrzę do dyżurki i zabiorę taśmę.

–To nie będzie takie proste.

Spiro nadal wierzył, że ma jakieś wyjście.

–A dlaczego? Kto mnie powstrzyma? Ty, mój mały?

–Nie – rzekł Artemis, wskazując na ekran. – Oni, mój stary.

Chicagowska policja przywiozła cały sprzęt, jakim dysponowała, oraz kilka urzędzeń, które musiała pożyczyć. Firma Fonetix była największym pracodawcą w mieście, nie mówiąc już o tym, że znajdowała się w pierwszej piątce donatorów Funduszu Pomocy Policji. Toteż kiedy oficer dyżurny odebrał stamtąd wezwanie, ogłosił ogólnomiejski alarm.

W niespełna pięć minut pod wejściem do Fonetiksa znalazło się dwudziestu mundurowych funkcjonariuszy oraz specgrupa w pełnym składzie. Nad ich głowami unosiły się dwa śmigłowce, a na dachach sąsiadujących domów usadowiło się ośmiu strzelców wyborowych. Nikt nie zdołałby wydostać się z budynku – chyba że byłby niewidzialny.

Strażnik Fonetiksa zauważył na monitorze intruzów, kiedy wracał z obchodu. Chwilę później ujrzał grupę policjantów, którzy walili w drzwi kolbami pistoletów.

–Miałem właśnie do was dzwonić – wysapał, naciskając brzęczyk otwierający wejście. – W skarbcu są jacyś obcy. Musieli się podkopać albo co, bo tędy nie szli.

Strażnik, który odpoczywał w szatni, zdziwił się jeszcze bardziej. Akurat kończył czytać dział sportowy w „Herald Tribune”, gdy do pomieszczenia wpadli dwaj posępni osobnicy w kamizelkach kuloodpornych.

–Legitymacja? – warknął wyższy, najwyraźniej nie mając ochoty na formułowanie pełnych zdań.

Strażnik drżącą ręką pokazał mu plastikowy identyfikator.

–Nie ruszać się – polecił drugi. Nie musiał dwa razy powtarzać.

Tymczasem Julia wyśliznęła się zza filara i dołączywszy do specgrupy, zaczęła głośno wrzeszczeć i machać bronią jak wszyscy, toteż natychmiast wtopiła się w tłum. Jednak pojawił się mały problem. Do laboratorium prowadziła tylko jedna droga – przez szyb dźwigu.

Dwaj funkcjonariusze rozwarli łomami drzwi windy.

–Mamy dylemat – rzekł starszy rangą. – Jeżeli najpierw odetniemy zasilanie, to nie ściągniemy kabiny na górę; jeżeli najpierw wezwiemy kabinę, to włamywacze zostaną ostrzeżeni.

Julia przepchnęła się do przodu.

–Przepraszam, sir. Proszę o pozwolenie zjechania po kablu. Wysadzę drzwi na dole, a wtedy wy wyłączycie prąd.

Ale dowódca nawet nie chciał o tym słyszeć.

–Odmawiam. To zbyt niebezpieczne. Włamywacze zdążą władować w te drzwi sto serii. A w ogóle, kto ty jesteś?

Julia wyciągnęła mały karabinek i przypięła go do kabla windy.

–Jestem nowa – odparła, po czym zniknęła w ciemnej otchłani.

W laboratorium na dole Spiro i s-ka wpatrywali się w monitory jak zahipnotyzowani. Ogierek puścił na ekrany wszystko, co działo się na wyższych kondygnacjach.

–Specgrupa – powiedział Blunt. – Śmigłowce. Ciężkie uzbrojenie. Jak to się stało?

Spiro kilkakrotnie plasnął się w czoło.

–Zasadzka! To wszystko zasadzka! Zostaliśmy wystawieni! Pewnie Mo Digence też dla ciebie pracuje?

–Owszem. A także Pex i Chips, choć o tym nie wiedzą. Nigdy byś tu nie przyszedł, gdybym ja sam to zaproponował.

–Ale jak?! Jak to zrobiłeś? To niemożliwe! Artemis rzucił okiem na ekrany.

–A jednak możliwe. Wiedziałem, że zaczał się na mnie w skarbcu Iglicy Spiro. Potem wykorzystałem twoją nienawiść do Fonetixa, żeby cię zwabić tutaj, poza twoje

normalne środowisko.

–Jeżeli mnie przymkną, to i ciebie też.

–Mylisz się. Mnie tu nigdy nie było. Taśmy są tego dowodem.

–Ależ jesteś! – ryknął Spiro, ostatecznie wyprowadzony z równowagi. Dygotał na całym ciele, tocząc z ust pianę, która pryskała wokół szerokim łukiem. – Dowodem będzie twój trup! Daj mi broń, Arno! Zastrzelę tego drania!

Blunt nie umiał ukryć rozczarowania, ale zrobił, co mu kazano. Spiro trzęsącymi się dłońmi ujął pistolet i wymierzył. Pex i Chips pośpiesznie usunęli się na bok – szef bynajmniej nie słynął z celności.

–Zabrałeś mi wszystko! – wrzasnął przedsiębiorca.

–Wszystko!

Artemis był dziwnie spokojny.

–Wciąż nic nie rozumiesz, Jon. Jest tak, jak mówiłem: mnie tu nigdy nie było. – Zacerpnął tchu. – I jeszcze jedno. Miałeś rację: Artemis to w Anglii imię kobiece, tak nazywała się grecka bogini łowów. Ale od czasu do czasu pojawia się mężczyzna, który ma taki talent do polowania, że zdobywa prawo, by je nosić. Ja jestem tym mężczyzną, łowcą Artemisem. I upolowałem ciebie.

Po czym po prostu zniknął.

Holly unosiła się nad grupą Spiro przez całą drogę do gmachu Fonetiksa. Już wcześniej otrzymała pozwolenie, aby wejść na teren; Julia po prostu zadzwoniła do informacji dla zwiedzających i swym najrozkoszniejszym głosikiem zapytała dyżurnego ochroniarza:

–Ojej, proszę pana, a mogę zabrać swoją niewidzialną przyjaciółkę?

–Jasne, kotku – odparł dyżurny. – I weź też kocyk, jeśli dzięki temu lepiej się czujesz.

Zostały wpuszczone.

Unosząc się pod sufitem, Holly śledziła wędrówkę Artemisa do podziemi. Z planem Błotnego Chłopca wiązało się duże ryzyko – gdyby Spiro postanowił zastrzelić go w Iglicy, już byłoby po nim.

Ale nie. Dokładnie tak, jak przewidział Artemis, Spiro pragnął napawać się sytuacją, jak najdłużej grać się w blasku swego oszalałego geniuszu. Oczywiście, w gruncie

rzeczy nie był to jego geniusz, tylko Artemisa. Chłopiec zaplanował całą sytuację od początku do końca, wymyślił nawet, że należy zmesmeryzować Peksa i Chipsa. Pomysł, by wtargnąć na teren Fonetiksa, musiał wyjść właśnie od nich.

Kiedy drzwi windy się otworzyły, Holly była gotowa. Miała naładowaną broń i namierzony cel. Ale nie mogła działać. Kazano jej czekać na sygnał.

Artemis, który uwielbiał dramatyczne role, przeciągał sytuację, jak mógł. Elficzka już miała zlekceważyć rozkaz i otworzyć ogień, gdy powiedział:

–Ja jestem tym mężczyzną, łowcą Artemisem. Upolowałem ciebie.

Łowca Artemis. Sygnał.

Holly zmniejszyła odrzut i opuściła się na skrzydłach, aż znalazła się metr nad ziemią. Następnie przypięła Artemisa do linki przy pasie, po czym zarzuciła na niego płachtę folii maskującej. Ludzie w pomieszczeniu odnieśli wrażenie, że chłopiec nagle zniknął.

–Hop, do góry – mruknęła, choć Artemis nie mógł jej usłyszeć, i energicznie dodała gazu. Po niespełna sekundzie oboje siedzieli bezpiecznie ukryci wśród biegnących pod sufitem kabli i przewodów.

Pod nimi Jon Spiro stracił rozum.

Zamrugał. Chłopak zniknął! Zwyczajnie zniknął! To niemożliwe! Przecież on jest Jonem Spiro! Nikt nie może przechytryć Jona Spiro!

Dziko wymachując bronią, zwrócił się do Chipsa i Peksa:

–Gdzie on jest?

–Ee? – bąknęli ochroniarze idealnie zgodnym chórem. I to bez żadnych prób.

–Gdzie jest Artemis Fowl? Coście z nim zrobili?

–Nic, panie Spiro. Stoimy sobie tutaj spokojnie i przepychamy się dla zabawy.

–Fowl powiedział, że dla niego pracujecie. Więc go oddajcie.

Mózg Peksa pracował gorączkowo – operacja, która przypominała mieszanie cementu mikserem kuchennym.

–Ostrożnie, panie Spiro, pistolet to niebezpieczna rzecz. Zwłaszcza ten kawałek z dziurką na końcu.

–Jeszcze z tobą nie skończyłem, Fowl! – ryknął Spiro do sufitu. – Znajdę cię! Nigdy się nie poddam! Masz na to słowo Jona Spiro! Moje słowo!

I jął strzelać na chybił trafił, dziurawiąc monitory, kable i przewody wentylacyjne. Jeden z pocisków minął Artemisa o niecały metr.

Pex i Chips, nie całkiem pewni, co się właściwie dzieje, doszli do wniosku, że lepiej będzie przyłączyć się do zabawy. Dobyli więc broni i zaczęli rozwalać laboratorium.

Blunt się w to nie mieszał. Uznał, że jego umowa o pracę została rozwiązana. Dla Spiro nie było wyjścia, należało więc zadbać o własną skórę. Ochroniarz podszedł do

obitej metalem ściany i zaczął rozkręcać ją śrubokrętem. Po chwili stalowa płyta odpadła. Za nią ujrzął pięć centymetrów wolnej przestrzeni, mieszczącej kable. Dalej był lity beton. Znalazł się w pułapce.

Za jego plecami rozległ się dzwonek windy.

Julia zamarła skulona na dachu kabiny.

–Nic nam nie grozi – oznajmił głos Holly w słuchawce. – Ale Spiro demoluje laboratorium.

Dziewczyna zasępiła się – jej pryncypał znalazł się w niebezpieczeństwie.

–Ogłusz ich serią z neutrina.

–Nie mogę. Jeżeli w chwili przybycia policji Spiro będzie nieprzytomny, może później twierdzić, że go wrobiono.

–Dobra, w takim razie wchodzę.

–Odmawiam. Czekaj na specgrupę.

–Nie. Zniszcz im broń, ja załatwię resztę.

Julia polala dach windy pastą do skał, którą dał jej Mierzwa, i lśniący metal roztopił się niczym tłuszcz na patelni. Dziewczyna zeskoczyła do środka i przywarła do podłogi – Blunt mógł przecież wpakować wabinę kilka serii.

–Na trzy – powiedziała. – Julio!

–Na trzy wchodzę.

–Dobra.

Julia sięgnęła do przycisku otwierającego drzwi. – Raz.

Holly chwyciła neutrina, automatycznie namierzając przyłbicę na wszystkie cztery cele.

–Dwa.

Elficzka dla pewności wyłączyła tarczę, której wibracja zakłócała układ celowniczy. Cóż, przez kilka sekund będzie trzeba kryć się z Artemisem pod folią.

–Trzy.

Julia nacisnęła guzik.

Holly czterokrotnie nacisnęła spust.

Artemis miał mniej niż minutę. Mniej niż minutę, podczas gdy Holly namierzała i unieszkodliwiała Spiro i s-kę. Okoliczności – wrzaski, strzały i ogólny zamęt – bynajmniej nie sprzyjały skupieniu. Ale, z drugiej strony, czy istniał lepszy moment, aby wprowadzić w życie ostatnią część planu? Część bardzo istotną?

W chwili, gdy Holly wyłączyła tarczę i otworzyła ogień, Artemis wyciągnął z podstawy Kostki K perspeksową klawiaturę i zaczął szybko pisać. W okamgnieniu włamał się do kont bankowych Spiro – a było ich trzydzieści siedem, w instytucjach finansowych od wyspy Man po Kajmany – i uzyskał dostęp do tajnych funduszy przedsiębiorcy.

Zasoby Spiro stały przed nim otworem: 2,8 miliarda dolarów USA, nie licząc zawartości licznych skrytek depozytowych, na razie niedostępnych przez sieć. Prawie trzy miliardy. Wystarczy, by przywrócić pozycję Fowlów wśród pięciu najbogatszych rodzin w Irlandii.

Artemis właśnie miał zatwierdzić operację przelewu, gdy przypomniały mu się słowa ojca – ojca, przywróconego mu przez lud wrózek...

„...A ty, Arty? Czy podejmiesz ze mną tę podróż? Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, czy zaryzykujesz, aby zostać bohaterem?...”

Czy naprawdę te miliardy były mu potrzebne?

Oczywiście, że tak. *Aurum potestas est*. Złoto to władza.

Doprawdy? Zaryzykujesz, aby zostać bohaterem? Zrobisz to, co należy?

Artemis nie mógł głośno jęknąć, jednak przewrócił oczami i zgrzytnął zębami. No trudno. Ale skoro musi zostać bohaterem, przynajmniej będzie bohaterem dobrze opłacanym. Szybko odliczył sobie dziesięć procent jako nagrodę dla znalazcy 2,8 miliarda USD. Całą resztę przelał na konto Amnesty International i polecił zastrzec operację jako nieodwracalną, na wypadek gdyby jego wola osłabła.

Na tym jednak nie koniec – musiał spełnić jeszcze jeden dobry uczynek. Tym razem liczył na to, że Ogierek, zbyt pochłonięty oglądaniem wydarzeń, nie zauważy, iż Artemis włamuje się do systemu SKR.

Wywołał witrynę SKR i kazał systemowi deszyfrującemu odgadnąć hasło dostępu. Zajęło mu to dziesięć cennych sekund, lecz wkrótce wędrował już bez przeszkód po wrózkowej bazie danych. W Profilach Sprawców znalazł to, czego szukał: pełne akta

Mierzwy Grzebaczka. Prześledzenie elektronicznego tropu, wiodącego do pierwotnego nakazu przeszukania lokalu Mierzwy, było już sprawą prostą. Artemis zrobił tylko jedno – zmienił datę owego nakazu na następny dzień po aresztowaniu krasnala. Dzięki temu wszystkie późniejsze zatrzymania i skazania Mierzwy Grzebaczka automatycznie stawały się bezprawne. Każdy dobry prawnik wyciągnie go z więzienia w mgnieniu oka.

–Jeszcze z tobą nie skończyłem, krasnalu – szepnął chłopiec, po czym wylogował się i przypiął Kostkę do pasa Holly.

Julia wbiegła przez drzwi tak szybko, że jej kończyny tworzyły zamazaną smugę. Za nią, niczym przynęta na końcu wędki, leciał na warkoczu nefrytowy pierścień.

Butler nigdy by tak nie ryzykował, wiedziała o tym. Przygotowałby jakiś praktyczny, bezpieczny plan – niewykluczone, że właśnie dlatego miał tatuaż z błękitnym diamentem. Cóż, może ona wcale nie chce tatuażu. Może chce po prostu żyć własnym życiem.

Szybko oceniła sytuację. Holly strzelała celnie: obaj goryle tarli poparzone dłonie, Spiro tupał jak rozkapryszone dziecko. Tylko Blunt opadł na klęczki, sięgając po upuszczoną broń.

I choć dotykał dłońmi podłogi, wciąż miał głowę na poziomie oczu Julii.

–Nie pozwolisz mi wstać? – zapytał.

–Nie – odparła Julia, obracając się z rozmachem. Pierścień śmignął w powietrzu niczym kamień, który powalił Goliata, i uderzył Blunta w nasadę nosa, łamiąc ją i na kilka chwil oślepiając właściciela. Chicagowska policja zyskała mnóstwo czasu, aby zejść szybem windowym. Blunt został unieszkodliwiony. Julia spodziewała się przyływu satysfakcji, ale czuła jedynie smutek. Przemoc nie daje radości.

Pex i Chips uznali, że powinni się włączyć – kto wie, jeśli obezwładnią dziewczynę, może zasłużą na premię od pana Spiro? Unieśli pięści i zaczęli krążyć wokół niej.

Julia pogroziła im palcem.

–Przykro mi, chłopaki. Pora spać.

Nie zwracając na nią uwagi, ochroniarze powoli zacieśniali krąg.

–Powiedziałam, idźcie spać. Żadnej reakcji.

–Musisz użyć dokładnie tych samych słów, na które kazałam im reagować podczas mesmeryzacji – podpowiedziała jej Holly przez słuchawkę.

–Skoro muszę – westchnęła Julia. – Dobra, panowie: Barney mówi idźcie spać.

Pex i Chips zachrapali, zanim jeszcze padli na ziemię.

Pozostał jeszcze Spiro, ten jednak, pochłonięty złorzeczeniem, nie był już groźny. Kiedy specgrupa zakładała mu kajdanki, wciąż jeszcze miotał obelgi.

–Porozmawiamy w bazie – rzekł surowo dowódca do Julii. – Stanowisz zagrożenie dla kolegów i siebie samej.

–Ta jest, sir – odparła Julia ze skrucą. – Nie wiem, co mnie naszło, sir.

Spojrzała w górę. Coś jakby migotliwy gorący opar płynęło z wolna w stronę windy. Pryncypał był bezpieczny.

Holly schowała broń do kabury i uruchomiła tarczę.

–Pora iść – oznajmiła, ścisząc głos do minimum. Ciasno owinęła Artemisa folią, upewniając się, że nie wystają spod niej żadne kończyny. Koniecznie musieli się oddalić, dopóki winda była pusta – wraz z przybyciem techników i prasy nawet małe migotanie mogło zostać utrwalone na filmie.

Unosząc się pod sufitem, patrzyli, jak policja wyprowadza Spiro z laboratorium. Przedsiębiorca wreszcie zdołał się opanować.

–To spisek – powtarzał urażonym tonem. – Moi prawnicy was załatwią.

Przelatując obok jego ucha, Artemis nie oparł się pokusie.

–Żegnaj, Jon – szepnął. – Pamiętaj, nigdy nie zadzieraj z genialnymi chłopcami.

Spiro zawył do sufitu jak oszalały wilk.

Mierzwa czekał na nich po drugiej stronie ulicy, grzejąc silnik furgonetki niczym kierowca Formuły 1. Siedział za kierownicą na skrzynce po pomarańczach z krótką deską, przymocowaną do stopy. Drugi koniec deski był przytwierdzony do pedału gazu.

Julia spojrzała nań z niepokojem.

–Nie powinieneś tego odwiązać na wypadek, gdybyś musiał nacisnąć hamulec?

–Hamulec? – zaśmiał się Mierzwa. – A po co mi hamulec? To nie egzamin na prawo jazdy.

Na tylnym siedzeniu Artemis i Holly odruchowo sięgnęli po pasy bezpieczeństwa.

Rozdział jedenasty

Niewidzialny człowiek

Dwór Fowlów

Dotarli do Irlandii bez większych przygód, aczkolwiek Mierzwa piętnastokrotnie usiłował zbiec spod straży Holly – w tym raz na pokładzie odrzutowca Lear, gdzie odkryto go w toalecie, wyposażonego w spadochron i flaszkę krasnalowej pasty do skał. Potem już Holly nie spuszczała go z oka.

Przy wejściu do dworu czekał na nich Butler.

–Witajcie w domu. Cieszę się, że wszyscy żyją. A teraz idę.

Artemis położył mu dłoń na ramieniu.

–Stary przyjacielu. Nie jesteś w stanie nigdzie iść. Jednak Butler się uparł.

–Ostatnie zadanie, Artemisie. Nie mam wyboru. Poza tym, ćwiczyłem pilates. Jestem o wiele bardziej giętki.

–Blunt? – Tak.

–Ależ on siedzi w areszcie – zaprotestowała Julia.

–Już nie – pokręcił głową Butler.

Artemis pojął, że ochroniarza nie da się przekonać.

–Przynajmniej zabierz Holly. Trochę ci pomoże. Butler puścił oko do elficzki.

–Na to liczę.

Chicagowska policja umieściła Arno Blunta w furgonetce pod opieką dwóch funkcjonariuszy. Uznano, że dwóch w zupełności wystarczy, w końcu zatrzymany miał skute ręce i nogi. Zmieniono zdanie, gdy furgonetka została odkryta dziesięć kilometrów na południe od Chicago, z przykutymi wewnątrz policjantami. Po podejrzanym zaginął wszelki ślad. Sierżant Iggy Lebowski napisał później w raporcie: „Facet rozerwał te kajdanki jak papierowy łańcuch i ruszył na nas niczym lokomotywa. Nie mieliśmy żadnych szans”.

Ale Arno Bluntowi nie udało się zbiec bez szwanku. Wypadki w Iglicy Spiro bardzo nadwerężyły jego miłość własną, ponadto wiedział, że wieści o doznanym

upokorzeniu wkrótce rozniosą się po ochroniarskim środowisku. Świński Brzuch LaRue, piszący do witryny internetowej Najemni Żołnierze, ujął to następująco: „Arno dał się wyrolować jakiemuś smarkaczowi”. Blunt miał bolesną świadomość, że odtąd za każdym razem, gdy wejdzie do pokoju pełnego twardzieli, będzie musiał znosić drwiące uśmieszki – chyba, że pomści afront, jaki zrobił mu Artemis Fowl.

Ochroniarz zdawał sobie sprawę, że ma zaledwie kilka minut, zanim Spiro poda jego adres policji, zapakował więc jedynie zapasową protezę, po czym wsiadł do autobusu jadącego na międzynarodowe lotnisko O’Hare.

Tam z zachwytem odkrył, że władze nie zdążyły jeszcze zablokować karty kredytowej, wystawionej mu przez Przedsiębiorstwa Spiro. Dzięki niej nabył bilet pierwszej klasy na lot concorde’em British Airways do Londynu; zamierzał następnie przedostać się do Irlandii promem do Rosslare jako jeden z pięciuset turystów, którzy codziennie odwiedzali krainę koboldów.

Nie był to szczególnie skomplikowany plan, ale mógłby się powieść, gdyby podczas kontroli paszportów na Heathrow Blunt nie trafił akurat na Sida Commonsa, byłego komandosa, kolegę Butlera z Monte Carlo. Wystarczyło, że Arno otworzył usta, a w głowie Sida zabręczały dzwonki alarmowe. Stojący przed nim dżentelmen jak ulał pasował do opisu przefaksowanego przez Butlera, z dziwnymi zębami włącznie. Niebieski olej i woda, ni mniej, ni więcej! Commons nacisnął umieszczony pod biurkiem guzik i po kilku sekundach oddział ochroniarzy pozbawił Blunta paszportu, a następnie zaprowadził go do aresztu.

Szef ochrony lotniska zaczekał, aż zatrzymany znajdzie się pod kluczem, po czym wyjął telefon komórkowy i wybrał zagraniczny numer. Sygnał odezwał się dwukrotnie.

–Rezydencja rodziny Fowlów.

–Butler? Mówi Sid Commons z Heathrow. Mamy tu człowieka, który może cię zainteresować. Dziwne zęby, tatuaż na szyi i nowozelandzki akcent. Inspektor Justin Barre ze Scotland Yardu przefaksował nam rysopis kilka dni temu; twierdzi, że byłbyś w stanie go zidentyfikować.

–Zatrzymaliście go? – zapytał służący.

–Tak, siedzi w jednej z naszych cel. Właśnie go sprawdzają.

–Jak długo to potrwa?

–Góra dwie godziny. Ale jeśli to taki cwaniak, jak mówiłeś, to w komputerze nic nie znajdziemy. Żeby go przekazać Yardowi, musimy mieć zeznanie świadka.

–Za trzydzieści minut spotkam się z tobą w sali dla przylatujących pod rozkładem lotów – powiedział Butler i odłożył słuchawkę.

Sid Commons wlepił w telefon zdumiony wzrok. W jaki sposób Butler zdoła przybyć z Irlandii w ciągu trzydziestu minut? Zresztą, nieważne. Sid pamiętał tylko, że wiele lat temu w Monte Carlo Butler kilkakrotnie ocalił mu życie, i teraz nareszcie dług miał zostać spłacony.

Trzydzieści dwie minuty później Butler stawiał się w sali przylotów.

Ściskając mu dłoń, Sid Commons obrzucił go baczny spojrzeniem.

–Wyglądasz inaczej. Starzej.

–Stare bitwy dają znać o sobie – odparł Butler z dłonią na zdyszanej piersi. – Chyba pora się wycofać.

–Raczej nie ma sensu pytać, jak się tu dostałeś? Butler poprawił krawat.

–Właściwie nie. Lepiej, żebyś nie wiedział.

–Rozumiem.

–Gdzie nasz człowiek?

Przedzierając się przez hordy turystów i taksówkarzy, Commons poprowadził go na tyły budynku.

–Tędy. Nie jesteś uzbrojony, mam nadzieję? Wiem, że się przyjaźnimy, ale tu obowiązuje zakaz noszenia broni.

–Zaufaj mi – Butler szeroko rozwarł poły marynarki. – Znam zasady.

Pojechali windą ochrony na drugie piętro, po czym ruszyli ciemnym korytarzem, który wydawał się ciągnąć kilometrami.

–Jesteśmy – powiedział w końcu Sid, stając przed szklanym prostokątem. – Tam.

Było to zwierciadło weneckie, za którym Butler ujrzał Blunta, siedzącego przy stole i niecierpliwie bębniącego palcami po krytym laminatem blacie.

–To on? Ten facet, który postrzelił cię w Knightsbridge?

Butler skinął głową. O tak, to był on. Ta sama bezczelna mina. Te same dłonie, które nacisnęły spust.

–Rozpoznanie to już coś, ale w sprawie strzelaniny mamy tylko jego słowo przeciwko twojemu, a ty, szczerze mówiąc, nie wyglądasz na ciężko rannego.

Butler położył dłoń na ramieniu kolegi.

–Pewnie nie...

Commons nawet nie pozwolił mu skończyć.

–Nie. Nie możesz tam wejść. Absolutnie zabraniam. Straciłbym pracę. Poza tym nawet gdybyś wydusił z niego przyznanie się do winy, sąd by go nie uznał.

–Rozumiem – przytaknął Butler. – Pozwolisz, że zostanę? Chciałbym zobaczyć, co z tego wyniknie.

Commons skwapliwie się zgodził, zadowolony, że Butler nie nalega.

–Nie ma sprawy. Zostań, jak długo zechcesz. Ale muszę ci załatwić przepustkę dla gości.

Zawrócił korytarzem, wołając na odchodnym:

–Pamiętaj, Butler, nie wchodź tam. Jeśli to zrobisz, stracimy go na zawsze. A poza tym wszędzie są kamery.

Butler uśmiechnął się uspokajająco – coś, czego nie robił zbyt często.

–Nie martw się, Sid. Nie zobaczysz mnie w tym pokoju.

–Dobrze już, dobrze – westchnął Commons. – Po prostu czasem masz taki błysk w oku...

–Jestem teraz innym człowiekiem. Dojrzałym.

–Akurat – zaśmiał się Commons.

Skręcił za róg, lecz w powietrzu wciąż jeszcze dźwięczał jego śmiech.

Ledwie zniknął, gdy stojąca obok Butlera Holly wyłączyła tarczę.

–Kamery? – syknął ochroniarz kątem ust.

–Sprawdziłam strumienie jonowe. Tu, gdzie stoję, jest czysto – odparła wróżka.

Wyciągnęła z plecaka płachtę folii maskującej i ułożyła ją na podłodze, a następnie przyczepiła zacisk wideo do kabla, ciągnącego się na zewnątrz celi Blunta.

–Okej – powiedziała do mikrofonu. – Jesteśmy w środku.

Przez chwilę uważnie słuchała odpowiedzi centaura, aż w końcu oznajmiła:

–Ogierek zatarł nasze wzorce na nagraniach wideo. Jesteśmy odporni na kamery i mikrofony. Wiesz, co masz robić?

Butler przytaknął. Już raz to przerabiali, ale Holly miała żołnierską potrzebę wielokrotnego sprawdzania.

–Teraz włączę tarczę. Daj mi sekundę na odejście, potem owiń się folią i rób swoje. Masz najwyżej dwie minuty, zanim wróci twój znajomy. Potem możesz liczyć tylko na siebie.

–Jasne.

–Powodzenia – rzekła Holly, migotliwie znikając z widzialnego widma.

Butler odczekał sekundę, po czym zrobił dwa kroki w lewo, podniósł folię i zarzucił ją na głowę i ramiona. Dla zwykłych przechodniów był teraz niewidzialny, co innego, gdyby ktoś się przy nim zatrzymał – wówczas mógłby dostrzec jakąś część ciała ochroniarza. Dlatego należało się śpieszyć. Butler odsunął rygiel i wśliznął się do celi.

Arno Blunt nie martwił się specjalnie. To było dęte oskarżenie – na litość boską, jak długo można człowieka zatrzymywać za posiadanie nietypowej protezy zębowej? Niezbyt długo, to pewne. Może by tak zaskarżyć rząd brytyjski o doznane urazy psychiczne i wycofać się do domu, do Nowej Zelandii?

Drzwi uchyliły się o jakieś trzydzieści centymetrów, a następnie zamknęły. Blunt westchnął – była to stara sztuczka przesłuchujących. Najpierw zatrzymany kisi się przez kilka godzin, po czym ktoś otwiera drzwi, żeby wywołać wrażenie, że przybywa pomoc. Kiedy nikt nie nadchodzi, więzień pogrąża się w jeszcze głębszej rozpacz i łatwiej się załamuje.

–Arno Blunt – szepnął głos znikąd.

Blunt zaprzestał bębnienia palcami i wyprostował się.

–Co to ma być? – warknął szyderczo. – Macie tu głośniki? Cienko, chłopaki. Naprawdę cienko.

–Przyszedłem po ciebie – ciągnął głos. – Przyszedłem wyrównać rachunki.

Arno Blunt znał ten głos; słyszał go we śnie od owej chwili w Chicago, gdy irlandzki

chłopak ostrzegł go, że Butler powróci. Oczywiście, to bzdury śmiechu warte, duchy nie istnieją. Ale we wzroku Artemisa Fowla było coś takiego, że człowiek wierzył we wszystko, co mówił.

–Butler? To ty?

–Aaa – powiedział głos. – Przypomniałeś sobie. Arno zaczerpnął głęboko tchu, żeby się uspokoić.

–Nie wiem, co się tu dzieje, ale nie dam się nabrać. Co, mam się teraz rozplakać jak dziecko, bo znaleźliście kogoś, czyj głos przypomina mojego... jednego z moich... znajomych?

–To nie sztuczka, Arno. Jestem tutaj.

–Pewnie. Skoro tu jesteś, to czemu cię nie widzę?

–Naprawdę nie widzisz? Popatrz uważnie, Arno. Blunt powiódł dzikim wzrokiem po celi. Nikogo tu nie było. Nikogo. Był tego pewien. Ale w kącie widniała plama powietrza, która inaczej załamywała światło, niczym unoszące się nad ziemią zwierciadło.

–Aaa, zauważyłeś.

–Nic nie zauważyłem – odparł chrapliwie Blunt. – Widzę tylko opar cieplny. Z jakiejś wentylacji albo co.

–Doprawdy? – rzekł Butler, odrzucając folię. Bluntowi wydało się, że przeciwnik pojawił się znikąd. Wstał raptownie, odpychając krzesło pod ścianę.

–Boże! Kim ty jesteś?

Butler lekko ugiął nogi. Był gotów do działania – starszy i powolniejszy, owszem, ale magia wróżek przyspieszyła jego reakcje, ponadto miał znacznie więcej doświadczenia niż Blunt. Niewątpliwie, Julia wykonałaby tę robotę za niego, ale są pewne rzeczy, które człowiek musi zrobić sam.

–Jestem twoim przewodnikiem, Arno. Przyszedłem zabrać cię do domu. Czeka na ciebie wiele osób.

–D-do d-domu? – zająknął się Blunt. – Co to znaczy, do domu?

Butler zbliżył się o krok.

–Wiesz, co to znaczy, Arno. Dom. Miejsce, do którego zawsze zmierzałeś. Miejsce, gdzie wysłałeś tylu innych. Między innymi mnie.

Blunt wycelował w niego drżący palec.

–Nie podchodź do mnie! Zabiłem cię i mogę cię znów zabić.

Butler roześmiał się. Nie był to przyjemny dźwięk.

–I tu się mylisz, Arno. Nie można mnie zabić drugi raz. Poza tym, śmierć to nic takiego w porównaniu z tym, co przychodzi później.

–Co przychodzi później...

–Piekło istnieje, Arno. Widziałem je i wierz mi, ty je też zobaczysz.

Blunt był już całkowicie przekonany – w końcu Butler wyłonił się z powietrza!

–Ja nie wiedziałem – zaszlochał. – Nie wierzyłem. Nigdy bym cię nie zastrzelił, gdyby nie rozkazy Spiro. Słyszałeś, jak mi rozkazywał. Byłem tylko cynglem, niczym więcej.

Butler położył mu dłoń na ramieniu.

–Wierzę ci, Arno. Wykonywałeś tylko rozkazy.

–Właśnie.

–Ale to nie wystarczy. Musisz ulżyć swemu sumieniu, oczyścić się. Inaczej będę musiał cię zabrać.

–Jak? – załkał Arno. Miał oczy czerwone od łez. – Jak mam to zrobić?

–Wyznaj swoje grzechy władzom. Nic nie pomijaj, bo wrócę po ciebie.

Blunt zgodził się skwapliwie. Więzienie było lepsze niż ta... alternatywa.

–Pamiętaj, będę cię obserwował. Masz jedną, jedyną szansę, żeby się uratować. Jeśli z niej nie skorzystasz, przyjdę znowu.

Z otwartych ust Blunta wypadła proteza i potoczyła się po podłodze.

–Nie marf szę. Przyznam szę, obaczuję.

–Zrób, co mówię, bo cię diabli porwą – powtórzył Butler, okrył się folią i zniknął.

Na korytarzu szybko wepchnął folię pod kurtkę. Po chwili zza zakrętu wyłonił się Sid Commons z plakieta ochroną w rękę.

Ujrawszy na środku celi oszołomionego Blunta, stanął jak wryty:

–Butler, coś ty mu zrobił?

–Ja? Co ty mówisz? Obejrzyj sobie nagranie. Po prostu zwariował i zaczął mówić do pustego pokoju. Wrzeszczał, że chce się przyznać.

–Chce się przyznać? Tak po prostu?

–Wiem, że to dziwnie brzmi, ale tak właśnie było. Na twoim miejscu zadzwoniłbym do Justina Barre’a ze Scotland Yardu. Mam przeczucie, że zeznania Blunta wyjaśnią wiele zaległych spraw.

Commons przyjrzał mu się podejrzliwie.

–Dlaczego odnoszę wrażenie, że wiesz więcej, niż mówisz?

–Nie mam pojęcia. Ale wrażenia nie stanowią dowodu, natomiast nagrania z waszych własnych kamer zaświadczą, że moja noga nie postąpiła w tej celi.

–Jesteś pewien, że nic na nich nie znajdę? Butler zerknął na plamę rozmigotanego powietrza nad ramieniem Sida Commonsa. – Jestem pewien.

Rozdział dwunasty

Zatarcie pamięci

Dwór Fowlów

Powrotna podróż z Heathrow trwała nieco ponad godzinę ze względu na szczególnie silne turbulencje i wschodni wiatr znad wzgórz Walii. Gdy Holly i Butler wreszcie wylądowali na terenie posiadłości Fowlów, ujrzeli siły SKR, które pod osłoną nocy ciągnęły aleją sprzęt do zacierania pamięci.

Butler odpiął się od pasa Moonbelt i oparł o pień brzozy.

–Dobrze się czujesz? – zapytała Holly.

–Doskonale – odparł ochroniarz, pocierając klatkę piersiową. – Tylko ta tkanka z kevlaru... Może jest przydatna przy postrzale z małego kalibru, ale strasznie utrudnia oddychanie.

–Cóż, odtąd musisz prowadzić spokojne życie – rzekła Holly, chowając mechaniczne skrzydła do pokrowca.

Nagle Butler dostrzegł, że jakiś pilot SKR, usiłujący zaparkować wahadłowiec w garażu, niemal otarł się o błotnik bentleya.

–Spokojne życie? – mruknął, żwawo ruszając w jego kierunku. – Pobożne życzenia.

Skończywszy terroryzować pilota-chochlika, Butler podążył do gabinetu, gdzie czekali już nań Artemis i Julia. Uścisk siostry był tak mocny, że niemal pozbawił go tchu.

–W porządku, siostrzyczko. Dzięki wróżkom jeszcze dociągnę do setki. Będę cię mógł przypilnować.

–Jak poszło, Butler? – zagadnął rzeczowo Artemis. Butler otworzył sejf, ukryty za przewodem wentylacyjnym.

–Nie najgorzej. Mam wszystkie rzeczy ze spisu.

–A robota na zamówienie?

Butler położył sześć małych fiolek na krytym suknie biurku.

–Mój człowiek z Limerick dokładnie wypełnił twoje instrukcje. Całe życie pracuje w

tym fachu, ale jeszcze nie widział czegoś podobnego. Umieścił je w specjalnym roztworze, zapobiegającym korozji. Warstwy są tak cienkie, że przy zetknięciu z powietrzem natychmiast zaczną się utleniać, więc proponuję, byśmy je włożyli dopiero w ostatniej chwili.

–Doskonale. Najprawdopodobniej tylko ja będę ich potrzebował, ale na wszelki wypadek powinniśmy je włożyć wszyscy.

Butler uniósł złotą monetę na skórzanym rzemyku.

–Przekopiowałem twój dziennik i pliki o wróżkach na laserowy minidysk, który następnie pokryłem cienką warstwą złota. Niestety, nie ostoi się przy uważnych oględzinach, lecz gdyby ktoś chciał stopić złoto, cała informacja ulegnie zniszczeniu.

–To musi wystarczyć – rzekł Artemis, zawiązując rzemyk na szyi. – Przygotowałeś fałszywe tropy?

–Tak. Wysłałem e-mail, który trzeba odebrać, oraz wynająłem kilka megabajtów w przechowalni internetowej. Poza tym pozwoliłem sobie zakopać w labiryncie kapsułę czasową.

–Znakomicie. Nie pomyślałem o tym.

Butler przyjął komplement, ale weń nie uwierzył. Artemis myślał o wszystkim.

–Wiesz co, Artemisie? – odezwała się po raz pierwszy Julia. – Może byłoby lepiej zrezygnować z tych wspomnień? Podarować wróżkom trochę spokoju ducha?

–Wspomnienia są częścią tego, kim jestem – oświadczył Artemis.

Przyjrzał się fiolkom na biurku i wziął dwie.

–A teraz, wszyscy, uwaga! Pora, byście je włożyli. Na pewno Mały Lud już czeka, żeby zatrzeć nam pamięć.

Ekipa techniczna Ogierka rozłożyła się w sali konferencyjnej, montując skomplikowany układ elektrod i światłowodów. Kable podłączono do plazmowych ekranów, które przetwarzały fale mózgowe na kod binarny. Mówiąc językiem laika, Ogierek był w stanie czytać w ludzkich myślach niczym w księdze, usuwając z nich wszystko, czego nie powinny zawierać. Być może najbardziej zdumiewająca część całej procedury polegała na tym, iż sam mózg ludzki dostarczał alternatywnych wspomnień, którymi wypełniał puste miejsca.

–Mogliśmy użyć zestawów polowych – zagaił Ogierek – ale stosujemy je tylko do zatarć totalnych. Gdybyśmy wam usunęli wszystkie wspomnienia z ostatnich

szesnastu miesięcy, mogłoby to poważnie wpłynąć na wasz rozwój emocjonalny, nie mówiąc już o IQ. Użyjemy więc sprzętu laboratoryjnego, który zatrze tylko wspomnienia dotyczące Małego Ludu. Oczywiście, dni, które spędziliście w towarzystwie wrózek, zostaną wyrzucone w całości. Nie możemy ryzykować.

Artemis, Butler i Julia siedzieli przy stole. Gnomy z ekipy technicznej przecierały im skronie środkiem dezynfekującym.

–Coś mi się przypomniało – powiedział Butler.

–Nie musisz mi mówić – przerwał centaur. – Chodzi o twój wiek, prawda?

Butler przytaknął.

–Mnóstwo ludzi zna mnie jako czterdziestolatka. Nie możesz im wszystkim wymazać pamięci.

–Już o tym pomyśleliśmy. Kiedy będziesz nieprzytomny, zrobimy ci laserowy peeling, pozbędziemy się starej skóry. Przywieźliśmy nawet chirurga kosmetycznego, żeby zrobił ci w czoło zastrzyk Dewera i trochę wygładził te zmarszczki.

–Zastrzyk Dewera?

–Tłuszcz – wyjaśnił centaur. – Pobieramy go z jednego miejsca i wstrzykujemy w inne.

Butler nie był zachwycony tym pomysłem.

–Mam nadzieję, że to nie będzie tłuszcz z mojego tyłka?

Ogierek niepewnie zaszurał kopytami.

–Hmm, z twojego na pewno nie.

–Wyjaśnij.

–Badania wykazały, że ze wszystkich wrózkowych ras najbardziej długowieczne są krasnale. W Poil Dyne żyje górnik, który ma ponoć dwa tysiące lat. Nigdy nie słyszałeś określenia „gładki jak zadek krasnala”?

Butler odepchnął technika, który usiłował przytwierdzić mu do głowy elektrodę.

–Chcesz mi powiedzieć, że wstrzykniecie mi w głowę tłuszcz z zadka jakiegoś krasnala?

–Cena młodości – wzruszył ramionami Ogierek. – Na zachodnim brzegu są chochliki, które zapłaciłyby fortunę za kurację Dewera.

–Nie jestem chochlikiem – wycedził Butler przez zęby.

–Przywieźliśmy również żel, który zabarwi ci włosy na dowolny pożądaný kolor, oraz farbę pigmentową, która pokryje uszkodzone komórki na twojej klatce piersiowej – ciągnął pośpiesznie centaur. – Kiedy się obudzisz, na zewnątrz będziesz znowu młody, choć twoje wnętrze pozostanie stare.

–Sprytnie – rzekł Artemis z uznaniem. – Czegoś takiego właśnie się spodziewałem.

Weszła Holly, prowadząc Mierzwę. Skuty kajdankami krasnal wyglądał nader żałośnie.

–Czy to naprawdę konieczne – jęknął – po tym, cośmy razem przeszli?

–Stawką jest moja odznaka – odparła Holly. – Komendant kazał mi wrócić z tobą albo wcale.

–Co mam jeszcze zrobić? Jestem dawcą tłuszczu, nie?

–Ratunku! – Butler złapał się za głowę.

–Nie martw się, Dom – zachichotała Julia. – Nie będziesz nic pamiętał!

–Ogłuszcie mnie – zażądał Butler. – Byle szybko.

–Bardzo mi miło – rzekł Mierzwa z urazą, usiłując potrzeć się po zadku.

Holly zdjęła mu kajdanki, lecz na wszelki wypadek nie oddalała się zanadto.

–Chciał się pożegnać, więc go przyprowadziłam. – Szturchnęła krasnala w ramię. – No, żegnaj się.

–Cześć, Smrodku. – Julia puściła oko.

–Na razie, Śmierdzielu.

–Nie żuj za wielu betonowych ścian.

–To mnie wcale nie śmieszy – odciął się Mierzwa z obrażoną miną.

–Kto wie? Może jeszcze kiedyś się zobaczymy? Mierzwa wskazał na techników, zajętych włączaniem komputerów.

–Jeżeli nawet, to dzięki nim będzie to pierwszy raz. Butler przyklęknął, zniżając się do poziomu krasnala.

–Uważaj na siebie, mały przyjacielu. Trzymaj się z dala od goblinów.

–Nie musisz mi mówić – wzdrygnął się Mierzwa. Na ekranie, rozwiniętym przez funkcjonariusza SKR, pojawiło się ogromne oblicze Bulwy.

–Chcecie się pobrać, czy jak? – warknął. – Nie pojmuję, po co te wszystkie emocje. Za dziesięć minut wy, ludzie, nie będziecie nawet pamiętać nazwiska osadzonego!

–Komendant na linii! – oznajmił technik, całkiem niepotrzebnie.

Mierzwa spojrział w kamerę, zamontowaną nad ekranem.

–Juliuszu, bardzo cię proszę. Czy zdajesz sobie sprawę, że wszyscy ci ludzie zawdzięczają mi życie? To dla nich wzruszająca chwila!

Zakłócenia transmisji podkreślały jeszcze różaną cerę komendanta.

–Nic mnie nie obchodzą wasze czułości i tkliwości. Jestem tu po to, by dopilnować, aby zatarcie poszło gładko. Jak znam życie, to nasz przyjaciel Fowl ma jeszcze niejedną sztuczkę w zanadrzu.

–Komendancie, doprawdy – rzekł Artemis z wyrzutem. – Pańskie podejrzenia mnie ranią.

Jednak mały Irlandczyk nie umiał powstrzymać uśmiechu. Wszyscy wiedzieli, że poukrywał we dworze rozmaite przedmioty, które mogłyby później pobudzić resztki jego pamięci. Do SKR należało ich odszukanie. To był ostatni bój intelektów.

Artemis wstał i podszedł do Mierzwy.

–Mierzwo! Ze wszystkich wróżek, jakie poznałem, za tobą i twymi usługami będę tęsknił najbardziej. A mieliśmy przed sobą taką przyszłość...

Mierzwa wzruszył się do łez.

–To prawda. Z twoim rozumem i moimi talentami...

–Nie wspominając o braku zasad, typowym dla was obu – wtrąciła Holly.

–Żaden bank na świecie nie byłby bezpieczny – westchnął Mierzwa. – Stracona okazja!

Chłopiec ze wszystkich sił starał się sprawiać wrażenie szczerego. Był to niezbędny

warunek realizacji planu.

–Wiem – ciągnął – że zdradzając rodzinę Antonellich, ryzykowałeś życie, więc chciałbym ci coś podarować.

Od wizji funduszy powierniczych i rajów podatkowych Mierzwie aż zakręciło się w głowie.

–Ależ nie ma potrzeby. Naprawdę. Choć faktycznie byłem niesamowicie odważny i ryzykowałem życie.

–Właśnie – oznajmił Artemis, zdejmując złoty medalion. – Wiem, że to drobiazg, ale wiele dla mnie znaczy. Miałem zamiar go zatrzymać, lecz zdałem sobie sprawę, że za chwilę utraci wszelkie znaczenie. Chciałbym, żebyś go przyjął, myślę, że Holly również tego pragnie. Na pamiątkę naszych wspólnych przygód.

–Kurde – zdumiał się Mierzwa, ważąc medalion w dłoni. – Pół uncji złota. Wspaniale. Wtedy naprawdę rozbiłeś bank, Artemisie.

Artemis mocno uścisnęła rękę krasnala.

–Nie zawsze pieniądze są najważniejsze, Mierzwa. Bulwa wyciągnął szyję, usiłując dojrzeć coś więcej.

–Co to? Co on dał skazanemu?

Holly chwyciła medalion i podniosła go do kamery.

–To tylko złota moneta, komendancie. Sama ją dałam Artemisowi.

Ogierek zerknął na mały wisior.

–Prawdę mówiąc, w ten sposób załatwiamy dwie glisty za jednym zamachem. Medalion mógłby pobudzić jakieś wspomnienia – mało prawdopodobne, ale możliwe.

–A druga glista?

–Mierzwa będzie miał co oglądać w więzieniu. Bulwa zastanawiał się przez chwilę.

–Dobra. Niech zatrzyma podarek. Teraz wsadźcie osadzonego na prom i skończmy z tym wreszcie. Za dziesięć minut mam spotkanie Rady.

Kiedy Holly wyprowadzała Mierzwę, Artemis uświadomił sobie, że naprawdę przykro mu rozstawać się z krasnałem. Ale jeszcze większą przykrość sprawiła mu myśl, że pamięć o ich przyjaźni mogłaby przepaść na wieki.

Technicy opadli ich niczym muchy padlinę i już po kilku sekundach wszyscy ludzie w pokoju mieli elektrody na skroniach i nadgarstkach. Z każdego zestawu biegł przewód, prowadzący do neuronowego przetwornika, połączonego z ekranem plazmowym. Na monitorach zamigotały pierwsze wspomnienia. Ogierek przyjrzał im się bacznie.

–O wiele za wcześnie – oświadczył. – Skalibrujcie sprzęt na szesnaście miesięcy wstecz. Nie, niech będzie trzy lata. Nie chcę, żeby Artemis powtórzył pierwsze porwanie.

–Brawo, Ogierek! – mruknął gorzko Artemis. – Miałem nadzieję, że o tym zapomnisz.

–To nie wszystko, o czym nie zapomniałem. – Centaur puścił oko.

Na dużym ekranie spikselowane usta Bulwy rozciągnęły się w uśmiechu.

–Powiedz mu, Ogierek, nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć jego minę.

Ogierek zerknął na ręczny komputer.

–Sprawdziliśmy twoją pocztę elektroniczną i zgadnij, co znaleźliśmy?

–Ach, powiedz, powiedz.

–Plik dotyczący wróżek, czekający na dostarczenie. Więc postanowiliśmy przeszukać cały Internet i proszę, ktoś z twoim adresem pocztowym wynajął kilka megabajtów pamięci, gdzie znaleźliśmy kolejne pliki o wróżkach.

–Musiałem spróbować – odrzekł Artemis, wcale niespeszony. – Jestem pewien, że rozumiecie.

–Chcesz nam jeszcze o czymś powiedzieć? Artemis szeroko otworzył oczy, udając uosobienie niewinności.

–Ja? Skądże. Jesteście dla mnie za sprytni. Ogierek wyjął z pudełka dysk optyczny i wsunął go do czytnika płyt w jednym z komputerów na stole.

–Cóż, mimo to zdetonuję bombę informacyjną w twoim systemie komputerowym. Wirus w niczym nie zaszkodzi danym, z wyjątkiem tych, które dotyczą Małego Ludu. Co więcej, będzie monitorował twój system przez następne pół roku, na wypadek, gdyby udało ci się nas jakoś przechytrzyć.

–A mówisz mi o tym dlatego, że i tak wszystko zapomnę.

Centaur wykonał kilka tanecznych kroczków, klaszcząc przy tym w dłonie.

–Otóż to!

Holly pchnęła drzwi i wciągnęła za sobą metalową kapsułę.

–Patrz, co zakopali na terenie. – Otworzyła pokrywę, po czym wysypała zawartość na podłogę. Na tunezyjskim kobiercu rozpostarły się wachlarzem liczne dyskietki oraz kartki dziennika Artemisa.

Ogierek wymownie spojrzął na dyskietki.

–Znowu coś, o czym zapomniałeś wspomnieć? Artemis nie był już tak pewny siebie. Więzi, łączące go z przeszłością, pękały jedna po drugiej. – Jakoś mi to umknęło.

–To wszystko? Nie ma już nic więcej? Chłopiec ponownie usiadł na krześle i założył rękę.

–A jeśli powiem, że nie, pewnie mi uwierzycie? Bulwa dostał szaleńczego ataku śmiechu; wręcz wydawało się, że ekran się trzęsie.

–O tak, Artemisie! Całkowicie ci ufamy! Jakżeby inaczej, po tym wszystkim, na co naraziłeś Mały Lud! Więc chyba nie masz nic przeciwko temu, że zadamy ci kilka pytań w stanie mesmeryzacji, tym razem bez okularów!

Szesnaście miesięcy temu Artemis skutecznie obronił się przed hipnotycznym wzrokiem Holly, zakładając okulary odblaskowe. Wtedy po raz pierwszy udało mu się przechytrzyć wróżki. Ale bynajmniej nie po raz ostatni.

–Dobrze, byle prędej.

–Kapitan Nieduża – warknął Bulwa. – Wiecie, co macie robić.

Holly zdjęła kask i pomasaowała czubki uszu, aby pobudzić krążenie.

–Zamesmeryzuję cię i zadam ci kilka pytań. Nie jest to dla ciebie pierwszozna, wiesz zatem, że zabieg nie jest bolesny. Radzę, żebyś się rozluźnił; jeśli będziesz się opierał, może nastąpić utrata pamięci albo nawet uszkodzenie mózgu.

–Chwileczkę – Artemis uniósł dłoń. – Czy mam rację, sądząc, że kiedy się obudzę, będzie już po wszystkim?

–Tak, Artemisie – uśmiechnęła się Holly. – To pożegnanie, chyba już ostatnie.

Mimo targających nim emocji Artemis zachował spokój.

–Skoro tak, to mam kilka rzeczy do powiedzenia.

–Masz minutę, Fowl – rzekł Bulwa, zaintrygowany mimo woli. – Ale potem dobranocka.

–Doskonale. Po pierwsze, dziękuję. Dzięki Małemu Ludowi mam przy sobie rodzinę i przyjaciół. Szkoda, że muszę o tym zapomnieć.

–Tak jest lepiej, wierz mi – zapewniła Holly, kładąc mu dłoń na ramieniu.

–A po drugie, chciałbym, żebyśmy się wszyscy cofnęli do naszego pierwszego spotkania. Pamiętacie tę noc?

Holly zadrżała. Przypomniała sobie zimnego osobnika, który napadł na nią w magicznym miejscu na południu Irlandii. Komendant Bulwa miał nigdy nie zapomnieć, jak nieomal cudem wy dostał się z płonącego tankowca; Ogierek po raz pierwszy ujrzał Artemisa na filmie, nagrany podczas negocjacji dotyczących uwolnienia Holly. Jakimże godnym pogardy osobnikiem był wówczas ten chłopiec!

–Jeżeli odbierzecie mi wspomnienia o Małym Ludzie i ich dobroczynne oddziaływanie – ciągnął Artemis – mógłbym znowu stać się taki, jak wtedy. Naprawdę tego chcecie?

Ta myśl zmroziła im krew w żyłach. Czy Lud istotnie przyczynił się do przemiany Artemisa? I czy będzie odpowiedzialny za przemianę odwrotną?

–To możliwe? – zwróciła się Holly do ekranu. – Artemis przeszedł długą drogę. Czy mamy prawo zniszczyć wszystko, czego dokonał?

–Ma rację – dodał Ogierek. – Nigdy nie sądziłem, że to powiem, ale nowy model nawet mi się podoba.

Bulwa otworzył na ekranie nowe okno.

–Bractwo Psychologów oszacowało dla nas prawdopodobieństwo regresu. Mówią, że jest znikome. Fowl pozostanie pod silnym pozytywnym wpływem rodziny oraz Butlerów.

–Bractwo Psychologów? – zaprotestowała Holly. – Argon i jego kumple? Od kiedy zaczęliśmy ufać tym szamanom?

Bulwa otworzył usta do wrzasku, zreflektował się jednak – rzecz, która nie zdarzała się codziennie.

–Holly – rzekł niemal czule. – Stawką jest przyszłość naszej kultury. Mówiąc wprost, przyszłe losy Artemisa to nie nasz problem.

Usta Holly zacisnęły się ponuro.

–Jeżeli to prawda, to nie jesteśmy lepsi niż Błotni Ludzie.

Komendant postanowił wrócić do zwykłego sposobu porozumiewania się.

–Słuchajcie no, pani kapitan! – ryknął. – Jak się jest dowódcą, to czasem trzeba podejmować trudne decyzje! A jak się nie jest dowódcą, to czasem trzeba się zamknąć i słuchać rozkazów! Teraz zamesmeryzujcie tych ludzi, zanim stracimy połączenie!

–Tak jest, sir. Według rozkazu, sir.

Holly stanęła przed Artemisem, starając się patrzeć mu w oczy.

–Do widzenia, Holly – powiedział chłopiec. – Już cię nie zobaczę, chociaż ty na pewno będziesz mnie widywała.

–Rozluźnij się, Artemisie. Oddychaj głęboko.

Kiedy Holly znów przemówiła, w jej głosie rozbrzmiewały tony basowe i altowe – hipnotyczne, mesmeryzujące dźwięki.

–Niezła robota z tym Spiro, nie?

–Tak – uśmiechnął się sennie Artemis. – Ostatnia przygoda. Nikomu już nie zaszkodzę.

–Skąd ci się biorą te plany?

–Wrodzona zdolność, jak mniemam... – Powieki chłopca zaczęły opadać. – Spuścizna pokoleń Fowlów.

–Pewnie zrobiłbyś wszystko, żeby zachować wspomnienia o wróżkach?

–Niemał wszystko.

–A więc, co zrobiłeś?

–Splatałem kilka sztuczek – uśmiechnął się Artemis.

–Jakich? – nalegała Holly.

–To tajemnica. Nie mogę ci powiedzieć.

Holly dodała do swego głosu kilka nowych tonów.

–Powiedz mi, Artemisie. To będzie nasz wspólny sekret.

Na skroni chłopca zaczęła pulsować żyłka.

–A nie powiesz? Nie powiesz wróżkom?

Holly zmieszana obejrzała się na ekran. Bulwa gestem kazał jej kontynuować.

–Nie powiem. To zostanie między nami.

–Butler ukrył kapsułę w labiryncie. – I?

–Wysłałem do siebie e-mail. Ale spodziewam się, że Ogierek go odkryje. Chodziło o to, żeby zmylić trop.

–Bardzo sprytnie. A jest coś, czego mógłby nie odkryć?

Na ustach Artemisa zaigrał chytry uśmiezek.

–Ukryłem plik w przechowalni internetowej. Bomba informacyjna Ogiereka nie zdoła go zniszczyć. Właściciel za pół roku przyśle mi wiadomość. Wtedy odzyskam dane, które pomogą mi uaktywnić szczątkowe wspomnienia i być może doprowadzą do odzyskania pamięci.

–Coś jeszcze?

–Nie. Przechowalnia informacji to nasza ostatnia nadzieja. Jeśli centaur ją znajdzie, to świat wróżek jest dla mnie stracony na zawsze.

Na ekranie rozbłysł obraz Bulwy.

–Dobra, połączenie nam się kończy. Oszołomcie ich i zatrzyjcie im pamięć. Nagrajcie całą operację. Nie uwierzę, że Artemis wypadł z gry, dopóki nie zobaczę tego na filmie.

–Komendancie, może powinnam wypytać pozostałych?

–Nie trzeba, pani kapitan. Fowl sam przyznał, że przechowalnia internetowa była ich ostatnią nadzieją. Podłączcie ich i wykonajcie program.

–Tak jest, sir. – Holly zwróciła się do ekipy technicznej. – Słyszeliście. Do roboty. Za dwie godziny wszędzie słońce. Chcę, żebyśmy przedtem znaleźli się pod ziemią.

Technicy sprawdzili, czy elektrody trzymają, po czym rozpakowali trzy pary gogli nasennych.

–Ja to zrobię – rzekła Holly, biorąc maski.

–Wiesz co? – powiedziała, zakładając gumkę pod koński ogon Julii. – Ochrona osobista to bezduszny interes. Masz na to za wiele serca.

Julia powoli pokiwała głową.

–Spróbuję zapamiętać te słowa. Wróżka delikatnie dopasowała gogle.

–Będę mieć na ciebie oko.

–Do zobaczenia we śnie – odparła Julia.

Holly nacisnęła mały przycisk na masce usypiającej; hipnoświatła, zamontowane w goglach, w połączeniu ze środkiem nasennym w zaciskach skroniowych, uspiły Julię w niespełna pięć sekund.

Przyszła kolej na Butlera. Aby dopasować zapięcie maski do jego ogolonej czaszki, technicy musieli je przedłużyć kawałkiem gumy.

–Ale dopilnujesz, aby Ogierek nie zaczął szaleć z tym zacieraniem? – upewnił się ochroniarz. – Nie chcę się obudzić z czterdziestoletnią pustką w głowie.

–Nie martw się – uspokoiła go Holly. – Ogierek na ogół wie, co robi.

–Dobrze. Pamiętaj, jeśli Lud kiedykolwiek będzie potrzebował pomocy, jestem do dyspozycji.

Holly nacisnęła guzik.

–Będę pamiętać – szepnęła.

Ostatni w kolejności był Artemis. Zamesmeryzowany, wyglądał na niemal uspiętego. Chociaż raz jego czoło nie marszczyło się w namyśle; ktoś, kto go nie znał, mógłby go wziąć za normalnego ludzkiego trzynastolatka.

–Jesteś pewien? – zwróciła się Holly do Ogierka. Centaur wzruszył ramionami.

–A mamy jakiś wybór? Rozkaz to rozkaz. Holly nałożyła maskę na oczy chłopca i wcisnęła guzik. Po kilku sekundach Artemis osunął się na krzesło, a na ekranie za jego plecami rozbłysły linijki gnomickiego języka. Za czasów Paproci gnomicki zapisywano spiralnie, jednak czytanie owych spirali przyprawiało większość wróżek o migrenę.

–Rozpocząć usuwanie – polecił Ogierek. – Ale zachowajcie kopię. Kiedyś, jak będę miał kilka wolnych tygodni, to sprawdzę, co kręci tego kolesia.

Holly patrzyła na ekran, gdzie zapisywane zielonymi znakami rozwijało się przed nią życie Artemisa. – Mam wrażenie, że źle robimy – powiedziała. – Skoro raz nas odnalazł, to znowu może nas odnaleźć. Zwłaszcza jeżeli znów stanie się takim potworem, jak kiedyś.

–Być może – mruknął Ogierek, klepiąc w ergonomiczną klawiaturę. – Ale tym razem będziemy przygotowani.

–Szkoda – westchnęła elficzka. – Prawieśmy się zaprzyjaźnili.

Centaur parsknął:

–Jasne. Równie dobrze mogłabyś przyjaźnić się ze żmiją.

Holly zatrzasnęła przyłbicę kasku, kryjąc oczy.

–Oczywiście, masz rację. O przyjaźni nie mogło być mowy. Połączył nas zbieg okoliczności, nic więcej.

–Zuch dziewczyna. – Ogierek pogładził ją po ramieniu. – Uszy do góry. Dokąd idziesz?

–Do Tary – odparła wróżka. – Zamierzam się przelecieć. Potrzebuję świeżego powietrza.

–Nie masz zezwolenia na lot – zaprotestował Ogierek. – Bulwa zabierze ci odznakę!

–Za co? – odparła Holly, odpalając skrzydła. – Przecież mnie tu nie ma, zapomniałeś?

I odleciała, wykonując leniwą pętlę w holu, pokonała drzwi wejściowe z zapasem kilku centymetrów, po czym szybko wzbiła się w nocne niebo. Przez chwilę jej sylwetka rysowała się jeszcze na tle pełnego księżyca, po czym zawibrowała i zniknęła z widzialnego spektrum.

Ogierek odprowadził ją wzrokiem. Wrażliwe stworzenia z tych elfów. Pod pewnymi względami są najgorszymi agentami Rozpoznania – wszystkie decyzje podejmują sercem, nie głową. Lecz Bulwa nigdy nie zwolniłby Holly – była urodzoną policjantką. A poza tym, kto ratowałby Mały Lud, gdyby Artemis znowu go odnalazł?

Mierzwa tkwił w luku towarowym wahadłowca i wielce się nad sobą użalał. Usiłował sięść na ławce, nie dotykając jej obolałym zadkiem, ale nie było to zadanie łatwe.

Musiał przyznać, że jego przyszłość nie rysowała się zbyt różowo. Mimo że tyle zrobił dla SKR, zamierzali mu wlepić co najmniej dychę. Za kradzież kilku nędznych

sztabek złota! Wszystko wskazywało na to, że tym razem nie zdoła uciec; otaczały go stalowe oraz laserowe kraty i tak miało pozostać co najmniej do chwili lądowania w Oaza City. Następnie szybka jazda do Komendy, rutynowa rozprawa przed kolegium, później zaś pobyt w zakładzie zamkniętym, aż mu posiwieje broda. A posiwieje mu na pewno, jeżeli spędzi poza tunelami więcej niż pięć lat!

Ale była jeszcze dla niego nadzieja. Maleńka iskierka. Mierzwa zmusił się, by poczekać, aż ekipa techniczna zabierze swój sprzęt z wahadłowca, po czym od niechcienia rozwarł prawą dłoń. Udając, że pociera skronie kciukiem i palcem wskazującym, przeczytał ukrytą w ręce maleńką karteczkę – karteczkę, którą Artemis Fowl wsunął mu przy pożegnaniu:

Jeszcze z Tobą nie skończyłem, Mierzwo Grzebaczku – głosił liścik. – Po powrocie poproś adwokata, żeby sprawdził datę pierwotnego nakazu przeszukania Twojej jaskini. Kiedy Cię zwolnią, postaraj się nie narażać przez kilka lat, a potem przyjdź do mnie z medalionem. Razem nic nas nie powstrzyma.

Twój przyjaciel i dobroczyńca *Artemis Fowl Drugi*

Mierzwa zmiął karteczkę i zwinąwszy dłoń w trąbkę, pośpiesznie wessał papier do ust. Krasnalowe trzonowce szybko rozprawiły się z obciążającym dowodem.

Głęboko sapnął przez nos. Jeszcze nie przyszła pora, by otworzyć skaliańskie wino Skalny Smok – rewizja sprawy mogła trwać miesiące, być może lata. Ale istniała nadzieja.

Krasnal zacisnął palce na medalionie Artemisa. Razem nic ich nie powstrzyma.

Epilog

Wyjątek z dziennika Artemisa Fowla. Dysk 1. Zaszyfrowany

Postanowiłem prowadzić dziennik. Prawdę mówiąc, dziwię się, że ta myśl wcześniej nie przyszła mi do głowy. Dokonania intelektu takiego jak mój powinny zostać dokładnie opisane, aby przyszłe pokolenia Fowlów mogły zrobić użytek z moich genialnych pomysłów.

Oczywiście, pisząc ten dokument, muszę zachować najwyższą ostrożność. Choć niewątpliwie cenny dla mych potomków, byłby jeszcze cenniejszy dla funkcjonariuszy organów ścigania, którzy nieustannie usiłują zgromadzić dowody przeciwko mnie.

Jeszcze ważniejsze jest zatajenie dziennika przed moim ojcem. Od czasu ucieczki z Rosji nie jest sobą. Dostał obsesji na punkcie szlachetności i heroizmu, które są co najwyżej pojęciami abstrakcyjnymi. O ile mi wiadomo, szlachetność i heroizm to walory, których nie akceptuje żaden większy bank na świecie. Fortuna rodziny jest zatem w moich rękach, ja zaś zamierzam strzec jej tak, jak dotychczas – czyli knując misterne intrygi. Większość owych intryg będzie nielegalna, jak to zazwyczaj bywa w wypadku najlepszych planów. Prawdziwe zyski bowiem leżą w mrocznych regionach poza granicami prawa.

Z szacunku dla wartości, wyznawanych przez moich rodziców, postanowiłem jednak zmienić kryteria wyboru ofiar. Ochrona środowiska na świecie dobrze wyjdzie na bankructwie kilku globalnych korporacji, więc zamierzam im w tym dopomóc. Oczywiście, znajdą się poszkodowani, lecz nikt nie będzie płakał nad ich losem. Nie należy przez to rozumieć, że stałem się czymś w rodzaju słabego, współczesnego Robin Hooda. Nic z tych rzeczy – zamierzam czerpać z moich przestępstw znaczne korzyści.

Nie tylko ojciec się zmienił. Butler zestarzał się niemal z dnia na dzień. Wygląda tak samo jak przedtem, ale zrobił się znacznie powolniejszy, chociaż bardzo stara się to ukryć. Jednak nie zamierzam go nikim zastąpić. Okazał się lojalnym pracownikiem, a jego znajomość kwestii wywiadowczych jest dla mnie wprost bezcenna. Kiedy będę potrzebował ochrony osobistej, być może zechce mi towarzyszyć Julia, choć ostatnio zaczęła twierdzić, że nie nadaje się do takiego życia. W przyszłym tygodniu jedzie do Stanów Zjednoczonych na eliminacje do drużyny zapaśniczej; na macie zamierza występować pod przydomkiem „Nefrytowa Księżniczka”. Mogę jedynie mieć nadzieję, że nie przejdzie przez eliminacje, choć wątpię, by tak się stało – jest w końcu Butlerówną.

Rzecz jasna, prowadzę kilka przedsięwzięć, które mogę realizować bez pomocy

ochroniarza. W ostatnich latach opracowałem oprogramowanie, służące do odprowadzania środków z rozmaitych kont bankowych. Będę musiał zaktualizować te programy – nie mogę dać się wyprzedzić wydziałom ds. przestępstw komputerowych. Za niecałe dwa miesiące powinienem uruchomić wersję 2.0. Ponadto mam talent do fałszowania dzieł sztuki. Niegdyś preferowałem impresjonistów, ale teraz z jakiegoś powodu skłaniam się do tematów bardziej fantastycznych, jak na przykład istoty z krainy wróżek, przedstawione przez Pascala Hervego w jego cyklu *Czarodziejski świat*. Jednak wszystkie te plany muszą na razie ulec zawieszeniu, albowiem dzisiaj odkryłem, że padłem ofiarą spisku.

Dzień zaczął się osobliwie. Po przebudzeniu ogarnęła mnie chwilowa słabość; zanim otworzyłem oczy, poczułem głębokie zadowolenie i chwilowo zapomniałem o swej żądzy bogactwa. Nigdy przedtem mi się to nie zdarzało. Być może ów nastrój był następstwem jakiegoś magicznego snu, być może udzieliła mi się nowa optymistyczna postawa ojca. Bez względu na przyczynę, muszę w przyszłości unikać takich wpadek – obecny stan umysłu ojca każe mi wytrwać w stanowczości. Muszę dążyć do celu z równą determinacją jak dotychczas. Drogą do fortuny Fowlów jest przestępstwo; *aurum potestas est*.

Po kilku chwilach stanąłem przed jeszcze większą zagadką. Kiedy myłem twarz nad umywalką, z oka wypadł mi maleńki przedmiot, który okazał się na wpół skorodowaną, barwną soczewką kontaktową. Co więcej, pod zabarwionym szkłem odkryłem lustrzaną warstwę. Pomysłowa rzecz, niewątpliwie dzieło znakomitego rzemieślnika. Ale jaki jest cel tego urządzenia? Dziwna sprawa – choć nic mi nie wiadomo o tej soczewce ani o tym, jak znalazła się w moim oku, czuję, że odpowiedź tkwi gdzieś głęboko w mózgu, skryta w mroku niepamięci.

Wyobraźcie sobie moje zdumienie, kiedy Julia i Butler również odkryli w swych oczach lustrzane soczewki! Te szkła są tak sprytne, jakbym sam je wymyślił, a więc bez wątpienia nie wolno mi nie doceniać nieznanego przeciwnika.

Oo, odkryję, kto za tym stoi, tego możecie być pewni. Zbadam każdy trop. Butler ma znajomego w Limerick, specjalistę w dziedzinie soczewek i teleskopów. Może ten rozpozna robotę naszego intruza. W chwili, gdy piszę te słowa, Butler już do niego jedzie.

A zatem w życiu Artemisa Fowla Drugiego otwiera się nowy rozdział. Za kilka dni wraca mój ojciec ze swym nowo odkrytym sumieniem. Wkrótce potem zostanę wyekspediowany do szkoły z internatem, gdzie będę miał dostęp do żalosego centrum komputerowego i jeszcze żałośniejszego laboratorium. Mój ochroniarz jest najwyraźniej za stary do zadań wymagających sprawności fizycznej, a nieznaną przeciwnik umieszcza dziwne przedmioty w moim własnym ciele.

Przytłaczające trudności, pomyślicie zapewne. Normalny człowiek zaciągnąłby

zasłony i ukryły się przed światem. Ale ja nie jestem zwykłym człowiekiem. Jestem Artemis Fowl, ostatni z przestępczej dynastii Fowlów, i nie cofnę się ze swej drogi. Ten, kto podrzucił mi soczewki, drogo mi zapłaci za tę bezczelność. A gdy pozbędę się kłopotu, już nic nie stanie mi na przeszkodzie. Uruchomię falę przestępczości, jakiej świat nie widział. Ludzkość zapamięta to nazwisko – Artemis Fowl.

Spis treści

TOC \o "1-2" \z \u Prolog. PAGEREF _Toc182382204 \h 3

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

Część I Atak. PAGEREF _Toc182382205 \h 4

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

Rozdział pierwszy Kostka. PAGEREF _Toc182382206 \h 5

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

Rozdział drugi Blokada. PAGEREF _Toc182382207 \h 17

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

Rozdział trzeci Na lodzie. PAGEREF _Toc182382208 \h 26

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

Rozdział czwarty W rodzinie. PAGEREF _Toc182382209 \h 59

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

Rozdział piąty Cyngiel i małpa. PAGEREF _Toc182382210 \h 66

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

Rozdział szósty Natarcie na dwór Fowlów... PAGEREF _Toc182382211 \h 77

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

Rozdział siódmy Najlepsze plany. PAGEREF _Toc182382212 \h 90

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

Część II Kontratak. PAGEREF _Toc182382213 \h 97

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

Rozdział ósmy Ubrany jak dziecko. PAGEREF _Toc182382214 \h 98

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

Rozdział dziewiąty Diabeł w pudełku. PAGEREF _Toc182382215 \h 118

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

Rozdział dziesiąty Palce i kciuki PAGEREF _Toc182382216 \h 145

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

Rozdział jedenasty Niewidzialny człowiek. PAGEREF _Toc182382217 \h 172

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

Rozdział dwunasty Zatarcie pamięci PAGEREF _Toc182382218 \h 179

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

Epilog. PAGEREF _Toc182382219 \h 191

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/